

ISSN 0023-5148

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 10/409

1981



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

J.J. LIPSKI : **DWIE OJCZYZNY - DWA PATRIOTYZMY**

ZB. BYRSKI : **WOLNOŚĆ CZY RÓWNOŚĆ ?**

J. KOWALSKI : **ROZKŁAD PARTII I PAŃSTWA**

J. RAKOWSKI : **KONSOLIDACJA DŁUGÓW PRL**

SPIS RZECZY

Jan Józef Lipski:	<i>Dwie ojczyzny — dwa patriotyzmy</i> ..	3
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	30
Marek Nowakowski:	<i>Widoki przed zachodem słońca</i>	46

ARCHIWUM POLITYCZNE

Zbigniew Byrski:	<i>Wolność czy równość?</i>	51
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	68

K R A J

Jan Kowalski:	<i>Rozkład partii i Państwa</i>	74
Tomasz Mianowicz:	<i>Czego nam trzeba? czyli rzecz o Polsce</i>	80
Marek Borowik:	<i>Na marginesie ustawy o cenzurze</i> ..	98
Janusz Rakowski:	<i>Konsolidacja długów PRL</i>	101
—	<i>Problemy narodowościowe w PRL:</i>	
—	<i>Naprawa krzywd</i>	107
Dymitr Stańczak:	<i>Nadzieja Łemków</i>	108
J. P.:	<i>Jeszcze o Ukraińcach w Polsce</i> ..	109
—	<i>Studenci ukraińscy</i>	111
Tadeusz Kadenacy:	<i>Kto go uczył historii?</i>	112

SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	113
—	<i>List Komitetu Założycielskiego Wolnych Zw. Zawodowych w ZSSR</i> ..	118
—	<i>„Przełamanie do ludzi pracy Europy Wschodniej”</i>	119
—	<i>„Braciom na otuchę”</i>	120
—	<i>Głód w ZSSR z powodu... Polski</i>	120
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	121

WIDZIANE INACZEJ

Kisiel:	<i>Czy zanudzą na śmierć?</i>	125
---------	-------------------------------------	-----

KSIĄŻKI

Janina Katz Hewetson:	<i>Rzeczywistość</i>	133
—	<i>Samodzielny Ośrodek Badań Emigracyjnych</i>	139
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	141



A. S. Ehrenkreutz, St. Ne- dzyński:	<i>Listy do Redakcji</i>	149
--	--------------------------------	-----

DOKUMENTY

Stefan Bratkowski:	<i>Przemówienie Prezesa SDP, St. Bratkowskiego na przedjazdowej konferencji sprawozdawczo-wyborczej PZPR 28. VI. 1981</i>	151
—	<i>List zbiorowy do Rady Państwa PRL z 31. 8. 1981 w związku z ustawą o ustanowieniu Warszawskiego Krzyża Powstańczego 1944</i>	158

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Październik - Octobre 1981

INSTYTUT  LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Andrzej Brzeski, Davis, CA (USA) — zamiast kwiatów w rocznicę śmierci Zygmunta Hertzta — \$ 100,00	F. 540,00
Krzysztof Friedel, Flagstaff Hill, S.A. (Australia)	F. 100,00
Bronisława Karst, Buffalo, N.Y. (USA) — \$ 35,00	F. 190,00
Bolesław T. Łaszewski, New York, N.Y. (USA), po raz 15-ty — \$ 60,00	F. 324,00
Dr & Mrs. J. H. Miller, USA — \$ 41,00	F. 221,50
Irena Orski, New York, N.Y. (USA) — zamiast kwiatów na grób Drogiego Przyjaciela, prof. Aleksandra Turyna, zmarłego 26 sierpnia 1981 roku — \$ 50,00	F. 270,00
Prof. M. E. J. Richardson, Editorial Assistant, Journal of Semitic Studies (wyd. University of Manchester, Dept. of Near Eastern Studies), Manchester (Wielka Brytania) — dla uczczenia pamięci prof. Stefana Strelcyna — sumy przekazane przez kolegów Zmarłego — £ 109,11 i \$ 30,00	F.1.264,00
Irena Strutyńska, Knutange-Nilwange (Francja), po raz 4-ty	F. 100,00
Teatr Ósmego Dnia z Poznania — £ 50,00	F. 505,00
Bezimiennie z Guelph, Ont. (Kanada) — na pomoc dla potrzebujących w Polsce	F.1.000,00
Bezimiennie z Paryża — po raz 18-ty	F. 90,00
Bezimiennie z USA, po raz 14-ty	F.2.142,50
Bezimiennie z Winnipeg, Man. (Kanada) — \$ 100,00 gotówką	F. 540,00
Dla uczczenia pamięci Juliana Szwickiego ze Sztokholmu — Przyjaciół z Los Angeles — \$ 45,00	F. 243,00

DZIĘKUJEMY!

◆
We wrześniowej Kulturze we wpłatach na Fundusz „Kultury” przez pomyłkę wydrukowano, że p. Alfred Kołodziej z Londynu przekazał po raz trzeci £ 10.000, czyli F. 109,00. Tymczasem nazwisko ofiarodawcy brzmi *Alfred Kolator*. Za tę pomyłkę najmocniej przepraszamy (Redakcja).

WPLĄTY NA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

Bezimiennie z Grenobli (Francja)	F. 200,00
Maria Bielczyńska, Kopenhaga (Dania)	F. 27,00
Dla uczczenia pamięci Heleny Marusewicz z domu Zbilut, matki Krystyny Bałut — Przyjaciela w Seattle, WA (USA) — \$ 60,00	F. 324,00
K. i M. Lawina, Dübendorf (Szwajcaria) — zamiast kwiatów na grób Stanisława K. de Lorme	F. 80,86
Maria Laskowska, Buffalo, N.Y. (USA) pieniądze przekazane przez pp. Suzuki i dr. Ohki z Tochigi-Ken (Japonia) z prośbą o złożenie — w dowód ich przyjaźni — wieńca na grobie jej Zmarłego Męża, prof. Michała Laskowskiego, sr. — \$ 300,00	F.1.590,00
Igor A. Melčuk, Montreal, Que. (Kanada) — \$ 35,00	F. 189,00
Irena Strutyńska, Knutange-Milwange (Francja)	F. 100,00
Barbara i Jan Zuchowscy, Spanga (Szwecja) — Krs 100,00	F. 110,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 160)

Dwie ojczyzny — dwa patriotyzmy *

(UWAGI O MEGALOMANII NARODOWEJ
I KSENOFOBII POLAKÓW)

Ojczyzna istnieje tylko wtedy, gdy istnieje też obczyzna; nie ma „swoich”, gdy nie ma „obcych”. Od stosunku do „obcych” bardziej niż od stosunku do „swoich” zależy kształt patriotyzmu. Jest w tym zawsze coś paradoksalnego, że miłość do kraju i do własnego narodu określana być może dopiero przez stosunek do innych krajów i innych narodów, lecz jest to paradoks właściwy wszelkiemu myślowemu i uczuciowemu wyodrębnieniu.

Kto to są „swoi” — a kto „obcy”? Czym się różni „mój” kraj — od nie mojego? Mój naród — od nie mojego?

Nie chodzi w tych pytaniach o jakieś treści opisowe: że my mówimy po polsku — a „oni” w innych językach; że żyjemy np. w innej strukturze kulturalnej niż „oni” — bo przyjęliśmy chrześcijaństwo w X wieku z Zachodu, bo z Zachodu przyszedł do nas Renesans, Oświecenie, Romantyzm itd. — bo nawet jeśli uważa ktoś z nas, że największym poetą, jakiego ludzkość wydała, jest Goethe, albo Dante, albo Shakespeare — to jednak Mickiewicz i Słowacki jakoś inaczej tkwią w nas (czy my w nich) — bo wrosły nam chyba już na zawsze w narodową pamięć lata niewoli i walki o wyzwolenie się z niej itd., itd.; że nawet być może (choć to sporne) cechuje nas w większości coś takiego, jak polski charakter narodowy. Rzecz nie w stwierdzeniach opiso-

* Wydała NOW-a jako 144-tą pozycję, czerwiec 1981.



P. 9786 Chr. Arch.

wych, a w wartościach i ocenach; czy uważamy się za lepszych — czy tylko za innych; czy sądzimy, że w tej inności jest jakaś szczególna wartość (i jaka?); czy uważamy, że przysługują nam z jakiegoś tytułu szczególne prawa i przywileje — a może obowiązki. Zależnie od odpowiedzi na te pytania — wyznajemy różne patriotyzmy. W skrajnych wypadkach — należymy właściwie do różnych ojczyzn — jeśli ojczyzna to przede wszystkim dobra duchowe i wartości, a nie tylko fakt takiej a nie innej przynależności etnicznej.

Świat wartości, z którego trzeba spojrzeć na zagadnienie ojczyzny — to przede wszystkim, choć nie wyłącznie, świat wartości moralnych. Należymy do tego kręgu kulturowego, którego pojęcia etyczne ukształtowało głównie chrześcijaństwo. Wierzący i niewierzący — zostaliśmy ukształtowani przez nakaz miłości bliźniego, podstawowy drogowskaz moralny naszej kultury. Nie chciałbym przez to stwierdzenie odbierać wagi dorobkowi moralnemu innych religii i światopoglądów. Judaizm, z którego wyszło chrześcijaństwo, islam, buddyzm, hinduizm, najbardziej laicka z nich kultura etyczna konfucjanizmu itd. — dopracowały się godnego szacunku dorobku w dziedzinie etyki. Myśliciele naszego kręgu kulturowego, reprezentujący nurt areligijny, laicki — wzbogacili również naszą refleksję etyczną i świadomość. Niemniej jednak wychowało nas przede wszystkim właśnie chrześcijaństwo — i w podstawowych ideach tej etyki chcemy pozostać.

Sądzę, że szowinizm, megalomania narodowa, ksenofobia, czyli nienawiść do wszystkiego co obce, egoizm narodowy — nie dadzą się pogodzić z nakazem chrześcijańskim miłości bliźniego. Patriotyzm natomiast — daje się pogodzić. Tak jak szczególna miłość w rodzinie nie musi i nie powinna być przeszkodą dla miłości bliźniego — tak i szczególna miłość dla członków tej samej wspólnoty narodowej winna być podporządkowana tej samej nadrzędnej normie moralnej. Patriotyzm jest z miłości — i do miłości ma prowadzić; wszelka inna jego forma jest deformacją etyczną.

„Miłość do wszystkiego co polskie” — to częsta formuła narodowej, „patriotycznej” głupoty. Bo „polskie” były przecież i ONR i pogromy we Lwowie, Przytyku i Kielcach, i getto ławkowe, i pacyfikacje wsi ukraińskich, i Brześć, i Bereza, i obóz w Jabłonie w 1920 roku — by poprzestać na 20 zaledwie latach naszej historii. Patriotyzm — to nie tylko szacunek i miłość do tradycji, lecz również nieubłagana selekcja elementów tej tradycji, obowiązek intelektualnej pracy w tym zakresie. Wina za

fałszywą ocenę przeszłości, za utrwalanie fałszywych moralnie mitów narodowych, za służące megalomanii narodowej przemilczenie ciemnych plam własnej historii — jest zapewne mniejsza z moralnego punktu widzenia niż praktykowanie zła wobec bliźnich, lecz przecież jest przesłanką aktualnego zła i drogą do przyszłego.

Nie lubimy przypominać sobie podboju ogniem i mieczem Jadźwingów — to psułoby nam obraz narodu polskiego, który rzekomo nikogo nigdy nie podbijał. Nie lubimy umieszczać w naszych kompendiach historycznych wiadomości o wymordowaniu załogi Wielkich Łuków po kapitulacji — bo to niezgodne z rycersko-humanitarnym stereotypem naszych dziejów. Zapominamy o metodach zwalczania buntów i powstań ukraińskich, o rajdzie naszego bohatera narodowego Stefana Czarnieckiego, mordującego wieś za wsią, aż do niemowlectwa; o obłądnym kołowrocie wzajemnych odwetów i kontrowetów, stanowiących od paruset lat ponurą treść historii polsko-ukraińskiej. Szczycimy się polską tolerancją — by półgębkiem tylko wspominać, kiedy się skończyła i jak. Szczycimy się tragicznym udziałem polskich żołnierzy w kampanii hiszpańskiej Napoleona — tak jakby Samosierra, rozgromienie żołnierzy broniących niepodległości swej ojczyzny, była kartą chwały, a staramy się zrobić co można, by zapomnieć o hańbie Saragossy, lub ją zakłamać. O niektórych ciemnych kartach okresu dwudziestolecia międzywojennego już wspominałem.

Nie wolno nam tak postępować! Każde przemilczenie — staje się oliwą do ognia megalomanii narodowej, jest chorobą; każde uchylenie się od uznania własnych win — jest niszczeniem etosu narodowego.

Mamy w polskiej literaturze historycznej dwie tradycje: jedna służy megalomanii narodowej, druga to tradycja Żeromskiego, gorzka tradycja obrachunków: Saragossa jest tu tragedią i hańbą narodową zarazem; zaborca austriacki przychodzi z ustawodawstwem niosącym pewien postęp socjalny; chłop polski z okresu Powstania Styczniowego pokazany jest z naturalistyczną prawdą, jakżeż daleką od „patriotycznych” malowanek; Polska niepodległa, jej aparat władzy zostaje straszliwie — i ostrzegawczo — oskarżony w „Przedwiośnie”. Musimy wrócić do Żeromskiego i jego patriotyzmu, którego wyrazem jest jego twórczość. Trzeba paradoksów lat sześćdziesiątych w PRL, by Andrzej Wajda został z pozycji „patriotycznych” zaatakowany właśnie za to, co znalazł u Żeromskiego; by twórczość autora „Rozdziobią nas kruki, wrony” stała się tematem czytane historyczno-literackich w okresie ofensywy moczaryzmu.

Strzeżmy się i podejrzliwie patrzmy na każdą nową ofensywę

„patriotyzmu” — jeśli jest bezkrytycznym powielaniem ulubionych sloganów megalomanii narodowej. Za frazeologią i rekwizytornią miłą przeważnie Polakowi — czają się przeważnie cyniczni socjotechnicy, którzy patrzą, czy ryba bierze na ułańskie czako, na husarskie skrzydło, na powstańczą panterkę. „Jest to coś na kształt bagniska, traf tam, a coraz głębiej wciska” — pisze Miłosz w „Traktacie moralnym”.

Ojczyźniano-patriotycznej frazeologii w prasie oficjalnej towarzyszy od lat już wielu nagonka na tych, którzy ośmielają się psuć malowanki i panoramki dla głuptasków. Utkwiła mi w pamięci szczególnie ofensywa na „Wariacje pocztowe” Kazimierza Brandysa. Jest to jedna z najambitniejszych i najmądrzejszych książek tego autora. Cała sfera bardzo „patriotycznych” dziennikarzy i krytyków rzuciła się na niego, jako na tego... który ośmiesza i wyszydza naszą przeszłość. Było to zdumiewające. Brandys w sposób przejmujący przedstawił los jednej polskiej rodziny, która w każdym kolejnym pokoleniu zrywa się wraz z narodem do walki o niepodległość ojczyzny — i w każdym pokoleniu ponosi klęskę, strącającą pokonanych na dno nędzy, chorób, wykołejenia społecznego i psychicznego. Taka właśnie jest tragiczna prawda o losie jeśli nie całego narodu — to przynajmniej elity, niosącej w sobie jego samoświadomość. Czytałem tę powieść tak, jak czyta się relacje historyków o kolejnych klęskach narodowych, chorując prawie podczas lektury; jeszcze raz przeżywałem tragizm naszych dziejów. I potem dowiaduję się, że autor „Wariacji pocztowych”... ośmiesza i wyszydza. To zależy, jakie kto ma poczucie humoru i na jaki temat...

Kampanię tę — i inne podobne — prowadziły z reguły te same pisma i przeważnie te same pióra, które poznaliśmy w pamiętnym roku 1968. Lokaj sowiecki przebrał się w mundur ułański...

Nad tym trzeba się zastanowić: jaką funkcję spełniać mają te maskarady „ułańców rakowieckich”?* Kogo mają ogłupić, kogo zwabić na „patriotyczną” przynętę, kogo zatruć jadem szowinizmu? Co to ma wspólnego z miłością ojczyzny? I jakiej ojczyzny?

Stare hasło „Bij Żyda, spasaj Rassiju” odżyło na naszych oczach... Jak za cara, jak za ochrony. Nawet metody niewiele się zmieniły w swej istocie — choć kamuflaż „patriotyczny” na tę skalę i w tym stylu jest tu czymś nowym: ONR też był „patriotyczny” — tym razem jednak jest to antysemityzm państwowy niesuwerennego państwa. „Spasaj Rassiju”.

* Komentarz dla czytelników nie znających Warszawy: przy ulicy Rakowieckiej mieści się Ministerstwo Spraw Wewnętrznych.

Gdyby to była sprawa tylko prasy oficjalnej, gdyby nikt nie łąpał się na tę przynętę „patriotyczną”, gdyby nie było w tradycjach polskich tych wątków, które nagle jak czuły kamerton zaczynają współdziałać — nie byłoby o czym pisać ani z czym polemizować. Ale tak niestety nie jest. Akcenty megalomanii narodowej i ksenofobii znaleźć można też w prasie nieocenzurowanej, a więc autentycznej.

Trzeba wyraźnie i jasno tu powiedzieć: nie zawsze możliwy jest dialog; często sama próba podjęcia go bywa hańbą (jeśli nie jest zwykłą głupotą). Z bohaterami antysemitycznych wybryków w „marcowej” prasie dialogu być nie może — ani z tymi, którzy widzą w tej brudnej publicystyce wyraz swych przekonań. Nie mamy z nimi wspólnej ojczyzny, ani nie chcemy z nimi mieć w ogóle niczego wspólnego. Ale między patriotyzmem Słonimskiego, Ossowskich, Jasienicy (specjalnie wymieniam nazwiska twórców bardzo różniących się między sobą — i zarazem podobnych do siebie we wspólnym mianowniku humanizmu i patriotyzmu; najbliższych ideowych patronów, więcej, współtwórców dzisiejszego ruchu demokratycznej opozycji) — a „patriotyzmem” Filipskich, Gontarzów, Kąkolów rozciąga się ogromna przestrzeń społeczna, wypełniona gęsto ludźmi, o których rozgrywa się dopiero walka: którą ojczyznę wybiorą? Nie wolno pod żadnym pozorem zrezygnować z tych wszystkich, którzy zaczadzeni są ksenofobią i megalomanią narodową, ale nienawiść i pycha nie zdeformowały jeszcze ostatecznie i nieodwracalnie ich umysłów i uczuć. Walka o kształt polskiego patriotyzmu będzie rozstrzygająca dla losów naszego narodu — dla losów moralnych, kulturalnych, politycznych.



Ksenofobia i megalomania narodowa wzajemnie się żywią i wspierają. Wiemy, ile wycierpiała Polska od Rosjan i Niemców — co nie usprawiedliwia przekraczania granic głupoty i nienawiści w stosunku do tych narodów; głupotą i nienawiścią człowiek i naród sam sobie szkodzi. Sfaszowani Ukraińcy dali się nam we znaki w latach czterdziestych — tu jednak nawet rachunek krzywd i win jest już inny, niż z Niemcami, co nic nie pomaga Ukraińcom w potocznej świadomości polskiej. Ale czemu tak często Polak pogardza Czechem („Pepiczkiem”)? Tu widać, jak spleta się ze sobą ksenofobia ze zidioceniem, by zgodnie doprowadzić w sierpniu niektórych naszych rodaków do wewnętrznego przyzwolenia na to, co było zarówno przeciw moralności, jak i przeciw naszym narodowym interesom, na inwazję w Czechosłowacji.

Wróćmy do sprawy stosunku ogromnej większości Polaków do Niemców i Rosjan. Trzeba powtórzyć, że nienawiścią i głupotą człowiek i naród sam sobie szkodzi. Niedostrzeganie moralnych problemów tam, gdzie są, bo tak jest wygodniej — deprawuje moralnie. Do Niemców mamy od wieków wiele pretensji. To cesarze niemieccy najeżdżali nasz kraj, by go sobie podporządkować, nie odwrotnie. Teutoński Zakon Krzyżowy Najświętszej Marii Panny był zmorą Prusów, Litwinów, Pomorzan i Polaków. Prusacy wraz z Rosjanami i również niemieckojęzycznymi Austriakami rozebrali I-szą Rzeczpospolitą. Rugi, Hakata, prześladowania narodowo-religijne pod pruskim zaborem były już pierwszą zapowiedzią tego, co stało się w czasie drugiej wojny światowej. O ogromie zbrodni hitlerowskich na ziemi polskiej nie ma się co rozwodzić. Musiał jednak przyjść moment — jeśli chcieliśmy pozostać w kręgu chrześcijańskiej etyki i cywilizacji zachodnioeuropejskiej — by powiedzieć: „Wybaczymy i prosimy o wybaczenie”. W sytuacji zniewolenia narodu powiedział to największy niezależny autorytet moralny, jaki nam pozostał: Kościół polski. To zdanie — mimo wszelkich resentymentów, opartych na rzeczywistych krzywdach — musimy uznać za swoje. By je przyjąć, wystarczyłaby jego treść moralna. Ale obok treści moralnej jest w nim też narodowa i kulturalna: jako naród o poczuciu przynależności do zachodniego kręgu kultury śródziemnomorskiej — marzymy o powrocie do naszej szerszej ojczyzny, do Europy. Stąd konieczność pojednania z Niemcami, którzy w tej Europie już są — i nadal będą. Wyciągnięcie ręki przez Episkopat Polski do Episkopatu Niemiec — było najśmielszym i najbardziej dalekowzrocznym czynem powojennej historii Polski.

Głos Episkopatu Polski do Episkopatu Niemiec stawia jednak przede wszystkim problem, którego nie wymienie się, jeśli chce się pozostać wiernym chrześcijaństwu: problem również naszych win wobec Niemców. W Polsce nie znosi się takiego postawienia sprawy — i nietrudno to zrozumieć, gdyż proporcje są uderzająco nierówne. Nie można się jednak godzić z lekceważeniem własnych win, nawet gdy są nieporównywalnie mniejsze od cudzych.

Wzięliśmy udział w pozbawieniu ojczyzny milionów ludzi, z których jedni zawinili na pewno poparciem Hitlera, inni biernym przyzwoleniem na jego zbrodnie, jeszcze inni tylko tym, że nie zdobyli się na heroizm walki ze straszliwą machiną terroru — w sytuacji, gdy ich państwo toczyło wojnę. Zło nam wyrządzone, nawet największe, nie jest jednak i nie może być usprawiedliwieniem zła, które sami wyrządziliśmy. Wysiedlanie ludzi z ich domów może być w najlepszym razie mniejszym złem, nigdy — czynem dobrym. To prawda, że z pewnością nie byłoby spr-

wiedliwe, by naród napadnięty przez dwóch zbirów miał płacić na dodatek sam wszystkie tego koszty. Wybór wyjścia, które — jak się zdaje — jest mniejszą niesprawiedliwością, wybór mniejszego zła nie może jednak znieczulać na zagadnienie moralne. Zło jest złem, a nie dobrem, nawet gdy jest mniejszym i niemożliwym do uniknięcia złem. To trudno: albo chce się być chrześcijaninem, albo nie... Jeśli nim się jest — wie się, że zasada zbiorowej odpowiedzialności nie ma nic wspólnego z etyką, którą wyznajemy; że nawet jeśli musielibyśmy wybrać mniejsze zło — nie wolno nam zła nazywać dobrem; że wyrządzenie zła stwarza zobowiązanie moralne, choćby ten, kto go od nas doznał, wyrządził nam stokroć więcej zła — a na dodatek w słabym stopniu odczuwał potrzebę zadośćuczynienia.

Zasada mniejszej niesprawiedliwości, konieczność urządzenia życia milionom Polaków opuszczających z konieczności swą ojczyznę na wschodnich ziemiach II-giej Rzeczpospolitej — jest zresztą jedynym usprawiedliwieniem tego, co się stało. Nie usprawiedliwiałyby tego w żaden sposób racje historyczne — bardzo wątpliwe, jak dalej zobaczymy — ani etniczne, z wyjątkiem może Opolszczyzny, co też jest dyskusyjne. Przejdźmy się po Warmii i Mazurach, by na własne oczy zobaczyć, ilu tam napotkamy autochtonicznych Polaków, tzn. Mazurów i Warmiaków! Tym bardziej niepokoi, jako objaw zatrucia etyki narodowej przez nacjonalizm, że od czasu do czasu pokazują się artykuły, których autorzy przechwalają się, iż jeszcze przed drugą wojną światową — a więc przed faktem napadu na Polskę, przed eksterminacją milionów obywateli polskich przez Niemców, przed pojawieniem się problemu znalezienia terenów do życia milionom Polaków z Kresów Wschodnich — grupy polityczne, z którymi byli ci autorzy związani, żądały Polski po Odrę i Nysę, ze Szczecinem i Wrocławiem. To nie są artykuły stwierdzające interesujący fakt — to akceptacja ówczesnych programów, które wówczas były planami zaborczymi, sprzecznymi z zasadami układania stosunków między narodami zgodnie z etyką chrześcijańską. Przypominać te wstydlive epizody historii ideologicznej z aprobatą — to objaw degeneracji etycznej, a zarazem zresztą głupota polityczna.

W polskiej świadomości naszych stosunków historycznych z Niemcami narosło masę mitów i fałszywych wyobrażeń, które trzeba będzie kiedyś odkłamać — w imię prawdy i w celu leczenia siebie samych: fałszywe wyobrażenia o własnej historii są chorobą ducha narodu, służą przeważnie za pożywkę ksenofobii i megalomanii narodowej.

Prawie każdy Polak (nawet wykształcony!) wierzy dziś, że wróciliśmy po drugiej wojnie światowej na ziemię, zagrabioną nam przez Niemców. Tyczyć to może Gdańska i Warmii, od

pokoju toruńskiego (1466) do rozbiorów należących do I-szej Rzeczypospolitej — choć zresztą i Gdańsk i Warmia były wówczas i do końca drugiej wojny światowej w większości etnicznie niemieckie. Reszta Prus Wschodnich nigdy polska nie była, a Niemcy zdobyli te ziemie nie na Polakach, a na Prusach, narodził się pokrewnym Litwinom. Polska mniejszość na tym terenie (Mazurzy), zresztą słabo uświadomiona w swej masie, to ludność napływowa, sprowadzona głównie przez Albrechta Hohenzollerna z Polski; nie wiedział biedak, że powinien realizować ideę *Drang nach Osten* i Prusy zaludnić tylko Niemcami. Zachodnie Pomorze — etnicznie też nie polskie, choć słowiańskie — zrzuciło parokrotnie z uporem swą zależność od Polski i wytworzyło własną organizację państwową, zniszczoną przez Szwedów dopiero w XVII wieku. Prusacy wzięli te ziemie, zamieszkałe nie przez Polaków, Szwedom, nie Polsce. Zniemczenie Pomorza Zachodniego odbyło się bez gwałtów, drogą naturalną. Śląsk jeszcze w Średniowieczu zhołdowany został przez Czechów — i wraz z Czechami wszedł w skład monarchii austriackiej. Prusy zabrały go Austriakom, nie Polsce, dopiero w XVIII wieku, gdy procesy niemczenia się Dolnego Śląska, również naturalnego, dokonujące się bez przymusu, były już mocno zaawansowane. Śląsk Opolski i Śląsk Górny zachowały swą etniczną polskość. Zorganizowany i skuteczny w pewnym stopniu nacisk germanizacyjny na tych ziemiach to dopiero druga połowa wieku XIX i XX wiek.

Natomiast my nie chcemy z kolei dziś pamiętać, że są to ziemie, na których przez parę setek lat kwitła kultura niemiecka. Czytamy rzewne felietony o Piastach Śląskich, ich zamkach i pałacach, ale nikt nam nie mówi, że już Henryk Probus znany jest niemieckim podręcznikiem literatury jako *Minnesänger* (niemieckojęzyczny trubadur), układający swe poezje w tym samym języku, co Walter von der Vogelweide, co Hermann von Aue, gdy polska liryka miłosna miała powstać i rozkwitnąć dopiero po dwu wiekach. To postać symboliczna w dziejach Śląska.

Po wiekach rozwoju kultury niemieckiej obok polskiej na Śląsku, Ziemi Lubuskiej, Warmii i Mazurach, w Gdańsku (przytłaczająco niemieckim) — i od dawna wyłącznie niemieckiej na Pomorzu Zachodnim — przypadł nam w wyniku historycznych przemian bogaty spadek architektury i innych dzieł sztuki oraz pamięątek historycznych niemieckich. Jesteśmy wobec ludzkości depozytariuszami tego dorobku. Zobowiązuje nas to, by z całą świadomością, że strzeżemy dorobku kultury niemieckiej, bez zakłamań i przemilczeń w tej dziedzinie — chronić te skarby dla przyszłości, również naszej.

Pokutuje w Polsce mit *Drang nach Osten* — wychwycony z głupiej i zbrodniczej mitologii wilhelmińskich Niemiec. Rozpra-

wiał się kiedyś z jego przejęciem przez polską publicystkę Antoni Gołubiew w *Tygodniku Powszechnym*, w artykule zbyt mało dostrzeżonym, który powinien wejść do podstawowych lektur polskiego inteligenta. Wiadomo, że zachodnia granica I-szej Rzeczypospolitej była przez wieki jedną z najspokojniejszych i najtrwałszych w Europie. Zaborczość państwa krzyżackiego była zaledwie fragmentem dziejów Niemiec średniowiecznych.

Natomiast nie lubi się u nas pisać i pamiętać o tym, co zawdzięczamy cywilizacyjnie i kulturalnie Niemcom. Że dach i cegła, że murarz, drukarz, malarz i snycerz, że setki słów polszczyzny dokumentują, co zawdzięczamy naszym sąsiadom zza zachodniej miedzy. Piękny dorobek architektury i rzeźby, malarstwa i innych sztuk i rzemiosł w Krakowie i wielu innych miastach i miasteczkach Polski, nie tylko w Średniowieczu, lecz częściowo i później, aż po wiek XIX — to w dużej części dzieła Niemców, którzy tu osiedlali się i wzbogacali naszą kulturę. Każdy prawie Polak wie o Wicie Stwoszu, nie każdy wie, że był to etniczny Niemiec (chwała nauce polskiej, że przeprowadziła w tej sprawie pracami ks. Bolesława Przybyszewskiego dowód ostateczny), wielu wyobraża sobie, że był Polakiem i gotowi spoliczkować każdego, kto temu zaprzeczy, nikt zaś poza specjalistami nie zna setek, a może nawet tysięcy imion i nazwisk twórców-Niemców, którzy zostawili niezatarty ślad w naszej kulturze.

Historia winna być wrotami w przyszłość. Co chcemy wybrać jako symbole dla przyszłości: czy Grunwald — czy Legnicę, gdzie Polacy i Niemcy stanęli razem na drodze tumanom (dziś powiedzielibyśmy: dywizjom konnym) Batuchana? Grunwald pozostanie oczywiście na zawsze w pamięci narodowej — ale czy ma to być tylko Grunwald? Niszczenie polskiej kultury przez hitlerowców podczas drugiej wojny światowej — czy jej wzbogacanie przez Wita Stwosza i setki mniej znanych znakomitych artystów ma dominować w naszej świadomości? Czy z Oświęcimią chcemy zapamiętać tylko Niemców-oprawców, czy też i tych Niemców, choć była ich garstka, którzy nie tylko jako więźniowie, ale też jako członkowie załogi obozu walczyli ze złem? (Pisze o tym w swej źródłowej, wydanej przed kilkunastu laty w Londynie pracy pt. „Oświęcim walczący” emigracyjny pisarz i historyk Józef Garliński — a celnicy polscy odbierają tę książkę na granicy). Czy Niemcami mają być w naszej świadomości tylko gestapowcy i SS? Czy Niemcami nie byli także bohaterowie ze związku „Weisse Rose” z Monachium, podejmujący w samym jądrze ciemności najtrudniejszą z walk, walkę przeciw „swoim”, w czasie toczącej się wojny?

„Weisse Rose” była to szaleńcza grupa prawdziwych chrześcijan, którzy czynem — takim, na jaki było ich stać — zaświad-

czyli, że inaczej niż większość ich rodaków w owych latach byli chrześcijanami nie tylko za nazwy, że gotowi byli przyjąć męczeństwo, by dać świadectwo prawdzie i dobru. Ich kult — choć nic z Polską nie mieli bezpośrednio wspólnego — powinien być i u nas żywy: po pierwsze właśnie dlatego, że są to Niemcy, że są to ludzie należący do tego samego narodu, co mordercy milionów podczas drugiej wojny światowej; po drugie — by uświadomić nam dyrektywę etyczną, głoszącą, że gdy własny naród i własne państwo wchodzi na drogę zbrodni i zła — obowiązkiem moralnym jest przeciwstawić się temu, choćby nawet naród i państwo toczyły wojnę na zewnątrz. Czy bohaterowie z „Weisse Rose” niegodni są nazwania ich patriotami niemieckimi? Czy byli zdrajcami swego narodu? Przeciwnie, to oni ratowali resztki godności i wartości moralnych swego narodu — i oni tworzyli wartości niezbędne dla przyszłych Niemiec. W duszach swych nosili inną ojczyznę niż ta, w której mieli nieszczęście żyć i umrzeć męczeńską śmiercią.

Lęk i nieufność, jaką żywi wobec Niemców znaczna część Polaków — są zrozumiałe. Byłoby lekkomyślnością i głupotą zakładać, że w Niemczech, w ich stosunku do nas i w ogóle w ich mentalności bez śladu zanikły toksyny nacjonalizmu, narastające się od ery bismarckowsko-wilhelmińskiej — a jeśli ktoś chce, to może i wcześniej, od początku XIX wieku. Nie brak faktów — rozdmuchiwanych zresztą przez naszą urzędową propagandę ponad ich proporcje w życiu dzisiejszych Niemiec — świadczących, że z uwagą winniśmy śledzić stan potencjalnej gotowości części Niemców do recydywy. Zarazem jednak winniśmy zrobić maksimum tego, co można, by z naszej strony stworzyć optymalne przesłanki do pojednania naszych narodów. Przede wszystkim musimy niejedno zmienić w nas samych i naszej świadomości historycznej, by to było możliwe.

Z Rosjanami stan polskiej przeciętnej świadomości wygląda inaczej, niż z Niemcami. Do Niemców zebrało się dużo nienawiści zmieszanej z lękiem — lecz i dużo respektu. W stosunku do Rosjan przeważa — również obok nienawiści (chyba znacznie mniej głęboko zakorzenionej niż wobec Niemców i łagodniejszej) i lęku (lęk z koszmarnych snów o czołgach sowieckich strzelających do zbuntowanych Polaków) — lekceważenie, poczucie wyższości. Skąd się ono wzięło — diabli wiedzą, ale Polacy na ogół przekonani są o niższości kultury rosyjskiej wobec polskiej. „Wyższość” i „niższość” kulturalna narodów to temat cienki i niebezpieczny. Narody przypominają pod wieloma względami

osoby ludzkie. Tak jak dla człowieka wychowanego w etyce chrześcijańskiej i świadomie, rozumiejąco ją akceptującego każda osoba ludzka ma wartość i godność nie mniejszą od innej osoby, choć jeden jest mądry, drugi głupi, jeden dobry, drugi zły — tak i każdy naród ma swą wartość i godność niezależnie od tego, czy opętany jest w danej chwili przez hitlerizm, czy ma bogatą sztukę itd. Wiem, że Litwini nie mają poetów miary Mickiewicza i Słowackiego, dramaturgów klasy Wyspiańskiego itd. (z „i tak dalej” lepiej być ostrożnym: Ciurlionis należy moim zdaniem do najwybitniejszych malarzy świata w swej epoce) — i nie ośmieliłbym się mimo to odczuwać lekceważenia wobec ich kultury narodowej. Nie ma tu miejsca na rozważania, dlaczego tak jest. Być może chodzi o to, że wiem, iż człowiek żyjący w kulturze litewskiej znajduje w niej dostateczną podstawę, by rozwinąć pełnię człowieczeństwa w sobie. Ale tym bardziej dziwne, skąd to częste w Polsce przekonanie o własnej wyższości kulturalnej wobec Rosjan?

Mieć poczucie wyższości kulturalnej wobec narodu, który wydał Dostojewskiego i Tołstoja, nie licząc co najmniej dwu dziesiątków pisarzy, którzy mogliby być chlubą każdej literatury europejskiej, wobec narodu Rublowa i Mendelejewa, i Strawińskiego — to chyba duże nieporozumienie. Jest to naród, który stworzył byliny i wielkie malarstwo cerkiewne już wówczas, gdy my mieliśmy literaturę narodową jeszcze uboższą — a malarstwo w powiśkach. Żaden z polskich pisarzy nie wywarł takiego wpływu na literaturę Zachodu, tego Zachodu, do którego chcemy należeć — jak Dostojewski, Tołstoj, Turgieniew, Czechow. Nic też nie wskazuje, by kultura duchowa chłopów polskich była bogatsza niż rosyjskich. Są tylko inne. Jest coś groteskowego i żalnego zarazem w megalomańskim poczuciu wyższości wielu Polaków nad Rosjanami.

Postawa ta bywa zresztą uzasadniana również od innej strony. W polskiej ideologii od dawna, od czasów romantyzmu, mają obieg koncepcje, według których rosyjska kultura została uwarunkowana dwojako — i negatywnie — przez skrzyżowanie się wpływów bizantyjskich i mongolsko-tatarskich (turańskich). W ostatnich czasach można zauważyć w prasie i innych publikacjach nieocenionych zawrotną karierę koncepcji Feliksa Konecznego w tym zakresie. W wielkim skrócie można powiedzieć, iż rezultatem tej krzyżówki bizantyjsko-turańskiej jest kultura, w której podporządkowanie jednostki hierarchicznej władzy jest czymś oczywistym, kolektywizm dominuje nad osobą, etyka hordy nad etyką jednostki.

Jak zwykle w wypadkach takich uogólnień — coś jest na rzeczy i zarazem aż zbyt wiele nie chce się zgadzać. Tradycje

despotyzmu moskiewskiego pewnie coś genetycznie mają w sobie z wzoru władzy chińskiej, a pozycja i rola cara oraz jego dworu w tym systemie z pewnością świadomie wzorowana była na Bizancjum. Ale przeciw tej tradycji jest w Rosji tradycja inna, tradycja duchowej niepodległości, od kniazia Kurbskiego bądź dawniej się poczynająca: tradycja niezgody i szukania oparcia ideowego na Zachodzie. Rosja dekabrystów, Hercena, Bezkishina i innych uczestników Powstania Styczniowego, *Ziemi i Woli, narodników* — to nie Rosja bizantyjsko-turańska. W naszym czasie Rosjanie stworzyli niedawno słowo *samizdat*, którym i my się nieraz dziś posługujemy, byli pierwsi, pokazali drogę, płacąc za to wielką cenę, a komitet wielkiego Sacharowa jest natchnieniem i wzorem dla nas. U nich w dodatku trudniej — i więcej trzeba odwagi.

Pamiętajmy, że wyzwolenie całej środkowo-wschodniej Europy z totalizmu sowieckiego zależy głównie od ruchów emancypacyjnych w ZSRR. Najlichnieszy i największą rolę odgrywający w imperium naród rosyjski daleki jest jeszcze od tego, by upomnieć się o demokratyczne prawa. Jako naród uciskany jest przy tym, naturalną rzeczą koleją, szczególnie zdemoralizowany. Tu najbardziej rozkwita nowe zjawisko: „patriotyzm” sowiecki (niestety, z tym zjawiskiem można zetknąć się nie tylko u Rosjan); tu najłatwiej znaleźć zwolenników polityki interwencyjno-pacyfikacyjnej, trzymającej w ryzach państwa satelickie; tu każda wzmianka o tym, że samostanowienie narodów ZSRR może stać się faktem — budzi przeważnie gniew. Tym większy szacunek — wyzbyty groteskowego i głupiego poczucia wyższości — i tym żywsze braterstwo winno nas łączyć z Rosjanami walczącymi o wolność. Jeszcze kilka lat temu i w Polsce nie było dużo odważnych, by przeciwstawić się systemowi policyjnemu i totalitarnemu — gdy policzyć zaś Rosjan, którzy się odważyli, gdy porównać represje, można czuć tylko podziw i szacunek.

Im trudniej niż nam — bo są po dziesięcioleciach najkrwawszego terroru wewnętrznego w dziejach świata, po straszliwej i w znacznej części krwawej selekcji negatywnej dokonującej się od tak dawna, a represje karne biją w nich mocniej i bezwzględniej.

My, Polacy, nie chcemy też pamiętać, gdy mowa o Rosjanach, że co prawda ZSRR jest dziedzicem i kontynuatorem dążeń i stylu nawet caratu; że w związku z tym nacjonalizm rosyjski odgrywa ogromną rolę w ekspansji sowieckiej — ale zarazem sowietyzm, usiłując zniszczyć tożsamość narodową Polaków, Litwinów, Łotyszów, Ukraińców, Gruzinów, Ormian itd. — z wielką mocą niszczy też tożsamość narodową, tradycję, kulturę Rosjan.

Sowietyzm jest groźny i zabójczy zarówno dla Polaków — jak i dla Rosjan.

◆
Szczególne miejsce w naszej świadomości winny zajmować narody litewski, białoruski i ukraiński. Należy tu raz jeszcze przypomnieć kazanie ks. Jana Zieji w archikatedrze św. Jana w Warszawie 17. IX. 1975 roku, które — wierzę w to — jest faktem o znaczeniu historycznym nie tylko w płaszczyźnie moralnej, choć o moralne pryncypia w nim chodziło. Są to narody przez wieki związane wspólnym z nami losom. Mało zdajemy sobie sprawę jednak, że mniej sobie one chwalą tę wspólnotę losów, niż my. Polonizacja elit szlacheckich na Litwie i Rusi zepchnęła te narody do rzędu „niehistorycznych” ludów, które dopiero w drugiej połowie XIX wieku z trudem zaczęły wytwarzać swe nowe elity, inteligencję. Polonizacja była co prawda procesem naturalnym, bez użycia siły — ale była też zarazem klęską, opóźniająca wytworzenie się narodów *sensu stricto*. Tego się łatwo nie zapomina. Ukraińcy pamiętają ponadto dobrze wiek XVII i XVIII, tzn. pamiętają straszliwe, barbarzyńskie polskie pacyfikacje buntów kozackich i ukraińskich chłopskich powstań — nie chcą natomiast pamiętać o straszliwościach mordów na Polakach i Żydach w 1648 roku i o rzezi humańskiej. Polacy — odwrotnie. I-sza Rzeczpospolita nie zostawiła zbyt dobrych wspomnień.

II-ga Rzeczpospolita tego nie naprawiła. Przeciwnie. Polsko-litewski konflikt o Wilno był, to prawda, trudny do załatwienia. Obydwa narody czuły się związane z tym miastem emocjonalnie — podczas gdy (rzadko o tym pamiętamy) przynajmniej południowo-zachodnia Wileńszczyzna, włącznie z Wilnem, miała większość etnicznie polską. Rozwiązania federacyjnego, do którego parł Piłsudski, mało kto sobie życzył, udaremnił je ostatecznie polscy nacjonałiści. Do dziś Litwini żywią do nas zapiekłą niechęć za Wilno — pomnożoną o pamięć idiotycznego roku, gdy ulicami polskich miast przeciągały pochody skandujące: „Wodzu — prowadź nas na Kowno!”, jakby w polskim godle narodowym widniał nie biały orzeł, lecz Koziołek-Matolek. My do dziś żywimy do Litwinów niechęć za to, że wydali z siebie w czasie drugiej wojny światowej formacje kolaboracyjne, szczególnie dotkliwe dla Polaków (jeszcze bardziej dla Żydów). To błędne koło musimy przerwać! Gdy w Kownie doszło niedawno do rozruchów na tle narodowo-religijnym — nastrój solidarności (niestety — tylko nastrój) był w Polsce powszechny. Może to dobry omen.

Z łagodnymi, cichymi Białorusinami nigdy nie mieliśmy tak ostrych konfliktów, jak z Ukraińcami. Warto jednak przypomnieć, że II-ga Rzeczpospolita też zostawiła wobec nich bilans win, pod postacią tendencji polonizacyjnych, wyrażających się głównie upośledzeniem szkolnictwa białoruskiego. Naszym dążeniem powinno być, by tego rodzaju zjawiska nie powtórzyły się.

Najgorzej było z Ukraińcami. Pierwszą wojną II-giej Rzeczpospolitej była — o czym nie każdy pamięta — polsko-ukraińska wojna we Wschodniej Galicji. Lwów zrosł się przez wieki z historią i kulturą Polski do tego stopnia, że — będąc miastem, w którym ludność polska wyraźnie przeważała nad ukraińską — trudno było sobie wyobrazić w owym czasie rezygnację z niego. Rozstrzygnęła siła. To smutne, ale nie niezwykłe w dziejach, że dwa narody nie znajdują innego rozwiązania konfliktów, jak wojna. Rachunek krzywd ukraińskich zaczyna się później. Irredenta ukraińska, nieustannie stymulowana przez — nie ma co ukrywać — faszystujących nacjonalistów ukraińskich szukających oparcia to w Niemczech, to w niechętnej nam Pradze — była trudnym problemem dla II-giej Rzeczpospolitej. A jednak wojewoda Józewski na Wołyniu umiał rozładowywać napięcia i dla dobra Rzeczpospolitej popierał kulturalne inspiracje ukraińskie. Ignorowanie narodowych i kulturalnych potrzeb Ukraińców było drogą do nikąd. Pacyfikacje — tak jak były robione — są hańbą, niezależnie od tego, jak trudną sytuację stwarzali aktami terroru i sabotażu nacjonałiści ukraińscy. Dla przyszłości obydwu narodów lepiej byłoby, gdyby okres II-giej Rzeczpospolitej został w pamięci Ukraińców jako epoka, w której we Wschodniej Galicji i na Wołyniu kwitły instytucje kulturalne ukraińskie pod mecenatem Rzeczpospolitej, z uniwersytetem ukraińskim we Lwowie na czele. Ten dorobek profitowałby do dziś i dłużej dla obu narodów. Stało się inaczej.

Druga wojna światowa nierówno obciążyla rachunki win, które obydwie narody wzajemnie sobie wypominają. Tym razem niewiele mieliśmy sobie do wyrzucenia. Za to zaraz po wojnie, gdy oddziały UPA po klęskach zadanych im przez armię sowiecką zostały zepchnięte na południowo-wschodnie krańce protektoratu polskiego i rozgorzała walka w Bieszczadach — pomysł załatwienia problemu, jaki stanowiła partyzantka ukraińska na tych ziemiach, przez zamienienie ich w pustynię, tj. przez wysiedlenie Łemków i rozproszenie ich po Polsce — był pomysłem szatańskim, który zrodził się zapewne w głowie któregoś z „doradców” z KGB, praktykujących z talentem rzymską zasadę *divide et impera* — a znających precedensy na skalę o ileż większą ze swego kraju.

Jeszcze tylko parę zdań o naszych stosunkach z Czechami, choć o tym już była wzmianka. Czesi bynajmniej nie mają podstaw, by mieć wobec nas wyłącznie czyste sumienie. Jednostronne rozwiązanie za pomocą siły zbrojnej problemu Śląska Zaolziańskiego w momencie, gdy ważyło się istnienie państwa polskiego w 1920 roku — nie przynosi Czechom zaszczytu. Ale udział Polski w rozbiórce Czechosłowacji, wraz z Hitlerem, był mimo to haniebny. W 1968 roku, a więc w 30 lat później, polskie wojska wzięły udział w okupacji Czechosłowacji. W pięknym songu o Hradcu Kralovym, który śpiewa się od 1968 roku do dziś w środowiskach opozycyjnej młodzieży, słusznie jest to ujęte w publicystycznej ostatniej zwrotce: „Nie z twojego to rozkazu grzmiały buty wojskowe, lecz co ty zrobiłeś, co ty zrobiłeś dla Hradca Kralove?”. Naród polski nie może odpowiadać za władzę, narzuconą nam przez obcych i na obcej głównie siłę opartą — ale fakt, że w wielkim kraju, o pięknych tradycjach walki o „naszą wolność i waszą”, głos protestu podnieśli tylko Jerzy Andrzejewski i Zygmunt Mycielski w swych listach do czeskich i słowackich braci — oraz mała grupka studentów w Warszawie, próbujących rozpowszechnić ulotki ze sprzeciwem — nie przynosi nam, którzyśmy się bali, zaszczytu. Gorzej: można było spotkać ludzi tak niemądrych, że akceptowali tę inwazję, bzdurząc beźmyślnie a to o zagrożeniu niemieckim, a to o wrogości Czechów wobec nas... Megalomania narodowa i ksenofobia znów złożyły się na to, że akurat wobec tych, którzy powinni nam być zawsze, a w szczególności dziś, szczególnie bliscy, wobec braci zza Sudetów, zza Olzy i zza Karpat okazaliśmy małostkowy brak solidarności.

Każdy Polak powinien dziś rozumieć, że dwie są racje, moralna i polityczna, dla których dziś nasze tradycyjne fobie i megalomanie wobec wszystkich otaczających nas narodów są samobójstwem: racja moralna — oraz okoliczność, że jesteśmy już w dużym stopniu zatruci sowietyzmem, że grozi nam utrata więzi duchowej z naszą przeszłością i z kulturą Zachodu, z tradycjami etycznymi chrześcijaństwa; to co dawniej było plamą na naszych dziejach i na naszej mentalności narodowej — plamą analogiczną do zauważalnych u wielu innych narodów — dziś może okazać się zwiastunem śmierci i rozkładu; racja polityczna mówi nam, że trzeba liczyć się z tezą, według której od grozy śmierci i rozkładu uwolnimy się albo wszyscy razem, zarówno narody ZSRR jak i narody od ZSRR zależne — albo nikt. Znikome jest prawdopodobieństwo, by totalitarny i trzymający w ryzach narody wchodzące w skład ZSRR sowietyzm mógł być zmuszony do wypuszczenia z pazurów swej zdobyczy, którą dziś jesteśmy w jakimś stopniu.

Antysemityzm jest tak różnym rodzajem ksenofobii, o tak odmiennej funkcji i roli w historii, że wymaga osobnego omówienia.

Przede wszystkim pytanie, czy jest to ksenofobia. Gdy w Polsce żyli ludzie, różniący się wszystkim: językiem, poczuciem narodowym, religią, tradycją, obyczajem, często ubiorem itd. i antysemityzm ku nim się kierował — była to zapewne ksenofobia. Gdy antysemityzm obejmował też ludzi, nie różniących się językiem i ubiorem i oderwanych już od religii swych przodków — można by mniemać, że jednak działo się tak z powodu ich rzeczywistej czy domniemanej solidarności z tamtymi — i wciąż była to ksenofobia. Gdy jednak przenosił się na ludzi często od pokoleń spolonizowanych, niejednokrotnie wyznających nie formalnie, lecz faktycznie tę samą religię co większość Polaków, przesiąkniętą polską kulturą do szpiku kości, a często nawet mających za sobą działalność niepodległościową i walkę o wolność Polski — to już coś więcej i gorzej niż zwykła ksenofobia, która jest zjawiskiem ujemnym i niepożądanym, niekoniecznie jednak zawadającym o psychopatologię społeczną.

Jedyną możliwością uzasadnienia takiego antysemityzmu jest rasizm — często podświadomy, głośno nie wyznawany. Przeświadczenie o mniejszej, niepełnej wartości ludzi ze względu na ich biologiczne, rasowe determinanty jest jednak nie do pogodzenia z naszym chrześcijańskim spadkiem etycznym, z przykazaniem miłości bliźniego i Pawłowym „nie masz Greczyna ani Żyda”.

W praktyce znamy jeszcze inną próbę uzasadnienia, religijną, pseudochrześcijańską. Odrzucenie Chrystusa przez Żydów — a nawet wzięcie na siebie i potomnych Jego krwi, przelanej pod ich naciskiem — miałoby spowodować dla Żydów skutki analogiczne do grzechu pierwotnego ludzkości, a więc immanentne zło, które przyjęli w siebie. Konstrukcja to raczej kołtuńska niż teologiczna i modelowo antychrześcijańska. Chrześcijaństwo nie zna winy zbiorowej, ani dziedziczenia winy, ani zbiorowej odpowiedzialności za winę. Grzech pierwotny w teologii chrześcijańskiej nie jest dziedziczeniem winy, lecz skażeniem natury ludzkiej. Może więc Żydzi, według tej koncepcji, mieliby naturę ludzką podwójnie skażoną? W takim razie jako bliźni winni być przedmiotem szczególnej troski, a nie prześladowań — chrzest zaś ostatecznie zmywałby to skażenie, co dla endeckiego i onerowskiego kołtuna jest koncepcją nie do przyjęcia. Ale II-gi Sobór Watykański, po wiekach tolerowania takiej postawy, a nawet jej faktycznego, choć dyskretnego zaadoptowania, odrzucił i ten wariant uzasadnienia antysemityzmu. Szkoda, że tak późno, dobrze, że tak się stało. Istotnym składnikiem etyki chrze-

ścijańskiej, przyswojonej zarówno przez wierzących jak i niewierzących, jest przeświadczenie, że człowieka oceniać można tylko po jego czynach, że każdy człowiek jest pod tym względem równy (wierzący dodadzą: wobec Boga), i że żadna ocena jego uczynków nie może uchylić nakazu miłości bliźniego.

Niemniej jednak w chrześcijańskim od wieków narodzie polskim — antysemityzm zakorzenił się w sposób budzący niepokój.

Antysemityzm — czy antysemityzmy? Wiemy dobrze, jak szeroka to skala zjawisk: od poczucia wyższości i pogardy (najbardziej groteskowy rodzaj ksenofobii — wobec narodu, który odkrył czy też wynalazł jedyne, wszechogarniającego, wszechmocnego, czysto duchowego Boga; który wydał z siebie tylu wielkich uczonych, artystów, pisarzy, co proporcjonalnie chyba żaden inny naród świata; który dał dowody nadludzkiej niezłomności, przez tysiąclecia zachowując w warunkach jak najbardziej niesprzyjających swą religię, kulturę, tożsamość), przez poczucie zagrożenia i stąd płynące dyskryminacje różnego rodzaju, aż po nienawiść wyzwalającą się w masowych mordach. Nie można powiedzieć, że to wszystko jedno i to samo — różnica jest ogromna, niemniej jednak mają rację i ci, którzy wskazują, jak łatwo formy łagodniejsze i „pocziwe” antysemityzmu stają się pożywką dla form najgroźniejszych. Wszystkie zaś one — niejednakowo co prawda — są nie do pogodzenia z nakazem miłości bliźniego.

Historia Polski przez wieki należała w tej dziedzinie do najpiękniejszych (stosunkowo) w Europie. Tumulty i inne odrażające zjawiska zdarzały się i w Rzeczypospolitej, nie na skalę jednak straszliwych pogromów średniowiecznych w Zachodniej Europie. Światli królowie i elita rządząca umieli rozsądnie sterować współżyciem narodów w Rzeczypospolitej. Paweł Jasienica w „Polsce Jagiellonów” ze słuszną dumą wskazuje na braci Józefowiczów, z których jeden, wychrzt (protoplasta rodu Józefowiczów-Hlebnickich) został jednym z najwyższych dostojników Rzeczypospolitej Obojga Narodów, a drugi, pozostając przy wyznaniu mojżeszowym, został przez Zygmunta Starego pasowany na rycerza. W Złotym Wieku wszystko to było jeszcze możliwe: Żyd pasowany rycerzem, chłop jednym z czołowych poetów epoki, mieszczanie w elicie intelektualnej, a nawet politycznej.

Mimo jednak późniejszego upadku państwa i narodu — dopiero druga połowa wieku XIX przyniosła początki „nowoczesnego” antysemityzmu („nowoczesnego” — tzn. wykraczającego poza szlacheckie poczucie niedopuszczalności przekraczania barier stanowych — i wyznaniową awersję). Było to już wówczas, gdy w okresie walk o niepodległość ukształtowała się tradycja, znacząca imieniem oficera Insurekcji i Legionów, Berka Joselewi-

cza, poległego pod Kockiem w 1809 roku (mniej pamięta się o żołnierzach jego pułku, skrwawionego w 1794 w obronie Pragi) i jego rówieśnika oraz krajana z Litwy, Jankiela z „Pana Tadeusza”; tradycja rabinów Meiselsa i Cyłkowa, wprowadzających język polski do synagog, solidarnych z katolickim klerem w walce przeciw rosyjskiemu zaborcy; tradycje manifestacji na Krakowskim Przedmieściu w 1861 roku, gdy po salwie, od której padł zakonnik niosący na czele pochodu krzyż — młody uczeń szkoły rabinackiej, Landy, wznosił znowu krzyż do góry („krzyż Polaków” — czytamy w relacjach), by paść od następnej salwy; tradycja Żydów-oficerów i żołnierzy Powstania Styczniowego. Tradycje te były zawsze hamulcem, choć jakże niedoskonałym, dla polskiego antysemityzmu, mimo że zostały wzmocnione tradycją żarliwych patriotów polskich żydowskiego pochodzenia, walczących o polską kulturę i naukę, o polską oświatę pod zaborami — a później znowu udziałem Żydów w czynie zbrojnym Legionów. Bolesław Prus genialnie uchwycił ten proces, gdy na progu nowej epoki, wywołanej industrializacją w Królestwie, drogi tych, którzy byli solidarni w roku 1863, rozchodzą się, gdy Żydzi zostają odepchnięci od polskości; dla dra Szumana, wrośniętego w kulturę polską — to tragedia; dla Szlangbauma, nie zasymilowanego w tym stopniu, to przesłanka do poczucia się obcym. Pamiętajmy, że oni obydwa — jak Wokulski! — są powstańcami 1863 roku!

Nastroje antysemickie, coraz bardziej nurtujące polskie mieszczaństwo, a podniecane przez prowokacje Ochrany w innych częściach imperium carów i w Królestwie Polskim (wiadomo już dziś mniej więcej, kto organizował falę pogromów po 1905 roku i skąd poszły w świat „Protokoły Mędrców Syjonu”) — weszły do ideologii i praktyki endecji, stopniowo wyostrzając się i coraz wyraźniej dehumanizując: od hasel bojkotu ekonomicznego przez kwestionowanie praw obywatelskich mniejszości żydowskiej — aż do krwawych pogromów w miasteczkach i na wyższych uczelniach, czyli od Ligi Narodowej przez Stronnictwo Narodowo-Demokratyczne i Obóz Wielkiej Polski — do ONR i grup młodocendekich. Pojawiły się nawet głosy w prasie ONR, postulujące eksterminację Żydów w Polsce.

Niestety, odpór społeczny był za słaby. Główna, najsilniejsza partia polskiej lewicy, PPS, silna w środowiskach robotniczych — była słaba na uczelniach, skąd głównie rekrutowały się bojówki ONR. Lewicowa i liberalna inteligencja zdobywała się na piękne dowody solidarności z ofiarami bojówek — ale były to głównie akty indywidualnej odwagi (ciekawe, że zdarzały się i wśród starej profesury endeckiej). Władza, coraz bardziej ewoluująca po śmierci Piłsudskiego ku faszyzującej prawicy, nie pró-

bowiała zbyt energicznie przeszkadzać awanturom, wyprawianym częściowo przez grupy znajdujące się w opozycji wobec sanacji, częściowo jednak przez jej sojuszników (ONR „Falanga”). Kościół przyglądał się temu obojętnie (z wyjątkiem tak drastycznych wypadków jak pobicie w kościele księdza Pudra, neofity), a nawet część prasy katolickiej (np. *Mały Dziennik*) popierała antysemityzm.

W tej sytuacji nadeszła wojna i okupacja, wraz ze strasliwą eksterminacją Żydów przez okupanta. Ocena egzaminu zdanego w tej sytuacji przez Polaków nie może być niestety prosta i jednoznaczna.

Na Zachodzie, głównie w środowiskach żydowskich, porażonych tragedią zagłady milionów, pojawiły się nieodpowiedzialne i prawie nic nie mające wspólnego z rzeczywistością oskarżenia narodu polskiego o współuczestnictwo w eksterminacji. Pojawiły się nawet obelżywe określenia, jak „naród szmalcowników”. Antypolonizm powinien być uważany za postawę nie mniej hańbiącą niż antysemityzm. Zdanie „wszyscy Polacy to antysemitów” lub „wszyscy Polacy to pijusy” jest tyleż warte, co „wszyscy Żydzi są oszustami”.

Zjawisko tzw. „szmalcownictwa”, tzn. szantażu uprawianego na ukrywających się Żydach oraz współpracy z gestapo przy ich tępieniu, wypominane Polakom na Zachodzie i przez wielu Żydów — było marginesem. Każde społeczeństwo ma swój margines zbrodniczy. Dla Żydów był to margines tak groźny, że wielu z nich mogło mieć nim przesłoniętą całą resztę Polski. Nie można winić o takie zdeformowane widzenie proporcji ludzi, którzy przez kilka lat byli obiektem polowania. Trzeba jednak pamiętać, że gestapo umiało, posługując się zdrajcami, nie tylko wyłapywać ukrywających się Żydów, lecz dekonspirować całe jednostki podziemnej armii (por. wpadka dyspozycyjnego oddziału dywersyjnego KG AK „Osa-Kosa”) i działaczy tego nawet szczebla co Komendant Główny AK „Grot”-Rowecki. Nie o antysemityzm więc w zasadzie chodziło, lecz o obrzydliwy proceder, kierujący się przeciwko wszystkim, których tropiło gestapo.

W zapędzie polemicznym przeciw krzywdzącym opiniom o stosunku społeczeństwa polskiego do Żydów — nie bez złej woli peerelowska propaganda uogólniała, że jest to stanowisko ogółu Żydów na świecie, co jest kłamstwem o tendencji antysemickiej, obliczonym na złą informację. Długa jest lista — i zapewne nie zamknięta — Polaków odznaczonych izraelskim medalem „Sprawiedliwy między Narodami”. Świadczy ona, że Żydzi w Izraelu doceniają zasługi Polaków dla ratowania Żydów w Polsce podczas drugiej wojny światowej. Co więcej — przy okazji nadania niedawno tegoż medalu b. szefowi kierownictwa Walki Podziemnej

Instytut Yad Vashem, rozstrzygający o nadaniu odznaczenia, w uzasadnieniu wskazał oficjalnie na zasługi polskiego państwa podziemnego w tej sprawie. Uczni żydowscy, tacy jak Philip Friedman, przyczynili się istotnie do zbadania prawdy o udziale Polaków w ratowaniu Żydów. Antypolonizmu wśród części Żydów na Zachodzie nie można przypisywać całej zbiorowości — jak nie wolno całemu narodowi polskiemu przypisywać antysemityzmu.

Trzeba jednak z bólem lecz odważnie powiedzieć, że prawda w tej sprawie nie wydaje się też tak prosta i jasna, jak to nieraz bywa przedstawiane. Nie prześladowaniem i tropieniem ukrywających się Żydów zawinili głównie Polacy, mimo że byli wśród nas uprawiający taki proceder — lecz obojętnością. To prawda, że trzeba było aż bohaterstwa, by Żydów ratować. Znam ludzi, schwytanych przez Niemców z bronią w rękę, którzy jednak przeżyli w obozach koncentracyjnych — nie znam człowieka, ukrywającego Żyda, który by przeżył wpadkę — ani o takim nie słyszałem. Co więcej: żołnierz AK wiedział, że jeśli zostanie aresztowany, czekają go tortury, może aresztują jego żonę, zapewne wkrótce rozstrzelają go; ale mógł liczyć, że małe dzieci ocaleją. Kto ukrywał Żyda — i na to nie mógł liczyć. Tej ceny nie płacili Francuzi czy Holendrzy — mimo to ich sukcesy w ratowaniu Żydów nie wydają się zawrotne — a winy Francuzów przy wydawaniu Żydów nawet znaczne. Wysiłek społeczeństwa polskiego w dziedzinie ratowania Żydów był duży, godny szacunku, opłacony owicie krwią — i nie pozbawiony sukcesów. Obok poszczególnych osób i rodzin ratujących swych przyjaciół, a często przypadkowych obcych ludzi — działały takie instytucje jak Rada Pomocy Żydom, korzystająca z poparcia i pomocy podziemnego państwa polskiego. Stanowisko polskich władz było w tej sprawie jasne. Sądzę jednak, że znaczna część społeczeństwa była obojętna wobec zagłady Żydów — i że winę za to ponosi m.in. panoszenie się antysemityzmu przed wojną. Ba, konspiracyjna prasa skrajnej prawicy — jest nadal antysemitka w czasie wojny! Co więcej — czy naprawdę nie słyszeliśmy w czasie okupacji zdania: „Po wojnie Hitlerowi postawi się pomnik!”? Gdyby nie zatruwano narodu polskiego przed wojną antysemityzmem — z pewnością mniej byłoby obojętnych. Nie byłoby też może tych mętów, które w miasteczkach Mazowska zareagowały na wywożenie z gett ludzi, współobywateli — rabunkiem i brutalnością (pisał o tym otwarcie — protestując i grożąc represjami — *Biuletyn Informacyjny*, oficjalny organ AK).

Historia antysemityzmu w Polsce na tym się nie kończy. Bezpośrednio po wojnie krajem wstrząsnęła wiadomość o pogro-

mie kieleckim. Wiele wskazuje na to, że była to prowokacja NKWD i bezpieki. Trzeba było opinii Zachodu przedstawić Polskę jako kraj w gruncie rzeczy zhitlerzony, w którym tylko komuniści mogą zaprowadzić porządek. Ale dowodów na to nie mamy w stu procentach, gdyby zaś nawet znalazły się — pozostaje faktem, że tego rodzaju prowokacje udać się mogą tylko wówczas, gdy padają na glebę, gotową je przyjąć.

Lata stalinowskie przyniosły stymulację antysemityzmu. Stało się to, co było do przewidzenia: przed wojną, jak to zwykle bywa z mniejszościami nieterytoryjalnymi, podlegającymi różnym dyskryminacjom, skrajna internacjonalistyczna lewica była popularna wśród młodzieży i inteligencji żydowskiej — toteż w aparacie nowej władzy, a szczególnie w aparacie ucisku (nazywając po imieniu: w bezpiecie) znalazło się niemało Żydów lub ludzi żydowskiego pochodzenia. Kto wie, czy nie towarzyszył temu zjawisku makiawelizm płynący z Centrali w Moskwie; mniejszości dobrze się do takiej roli nadają dzięki swemu wyobcowaniu (por. krwawa rola Polaków, Żydów, Łotyszów w CzeKa) — a w razie czego dobrze nadają się i do roli kozła ofiarnego.

To zjawisko, udział znacznej części ocalałych Żydów polskich, a również Polaków żydowskiego pochodzenia w bezpiecie i zresztą w całym aparacie komunistycznej władzy — nałożyło się na pamięć roku 1939, gdy znaczna część ludności żydowskiej Kresów Wschodnich z demonstracyjną radością — krótkotrwałą — powitała załamanie się Rzeczpospolitej i okupację. Nie wolno jednak pamiętać tylko o tym, a zapominać np. o heroicznym aktach lojalności przywódców Bundu, Altera i Ehrlicha, wobec Rzeczpospolitej i o ich proteście wobec władz sowieckich. Przypłacili to życiem po niewielu latach — a więc nie weszli do Panteonu pamięci polskiej.

Październik 1956 roku pokazał jednak — mimo odosobnionych ekscesów — że motywacje antysemityczne nie są tak silne, by spowodować spontaniczne a groźne działania społeczne — chociaż tlą się do dziś. Po kilku latach jednak podjęta została zorganizowana próba wykorzystania tego motywu w walce politycznej. Grupa idąca do władzy pod wodzą Mieczysława Moczara rzuciła zrazu pół jawnie, w 1967 jawnie, a w 1968 z fanfarami i werblami hasło antysemityzmu (pod pretekstowym i wprowadzającym w błąd hasłem walki ze syjonizmem). Był to zresztą cały kompleks chwytów propagandowych, które wstyd nazwać ideologią, lecz w tej roli jednak użytych: „patriotyzm” podbijający bębenka megalomanii narodowej („my Polacy złote ptacy” — jak w wylizance dziecinnej), kurs na bezkrytyczny stosunek do mitów narodowych, próba ich przywłaszczenia, apelowanie do przeciętnej mentalności kombatanckiej, militaryzacja wyobraźni,

propaganda represywnego działania wymiaru sprawiedliwości, ksenofobia skierowana m.in. przeciw naszym związkom z Zachodem oraz poczuciu solidarności z Czechami i Słowakami. Pewne sukcesy odniesiono, ale akurat nie w kampanii antysemitkiej. Były obawy, że ta bardziej poruszy społeczeństwo, które zareagowało jednak ospale i ostrożnie, a w poważniejszej części niż można się było spodziewać — niechętnie, nawet wrogo. Sam fakt, że płynęło to z góry — skazywał akcję na mierne tylko powodzenie. W gruncie rzeczy okazało się, że już tylko aparat i akty partyjny (plus przybudówki tego typu co np. PAX, o tradycjach oenerowskich) są zainteresowane tą sprawą, na tej samej zasadzie, na której przed wojną drobnomieszczanin polski nienawdził Żyda — konkurenta. Drobnomieszczanina zastąpił kołtun partyjny, nienawidzący konkurenta do eksponowanego biurka — co w roku 1968 było jeszcze aktualne. Szczególnie młodzież w swej masie przyjęła wrogo antysemityzm.

Wypchnięcie z Polski w 1968 roku tysiacy Żydów i Polaków żydowskiego pochodzenia jest jedną z hańb w dziejach naszego kraju. Policyjny antysemityzm sowiecki, szalejący w ZSRR wówczas, gdy nic go jeszcze nie zapowiadało w PRL (m.in. wymordowanie znacznej części inteligencji żydowskiej w ZSRR, w tym prawie wszystkich pisarzy używających języka jidisz) — został teraz przeszczepiony do nas. Nie bez racji po paru miesiącach cała czołówka „marcowych” publicystów partyjnych udekorowana została Złotymi Odznakami Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Obok niepowetowanych strat moralnych, które ludzie ci i ich sojusznicy z aparatu spowodowali — odnotować trzeba straty również przeliczalne: w exodusie z Polski tych, co nerwowo nie wytrzymali — nie brak było trudnych do zastąpienia fachowców.

Nie poczuwam się do wspólnej ojczyzny z marcowymi publicystami i aparatczykami organizującymi w 1968 roku antysemitkę nagonkę. Wstydzę się za kombatantów ze ZBOWiD-u, którzy pozwolili, by wykorzystano ich przeszłość do firmowania tej ohydy. Byli wśród nich, niestety, moi towarzysze broni, różnych rang, z AK.



Z różnymi odmianami ksenofobii idzie w parze megalomania narodowa. „My Polacy złote ptacy”. Jesteśmy niby nieporównanie lepsi, mądrzejsi, bardziej utalentowani itd. od wszystkich narodów świata, a w szczególności od tych, którzy żyją bliżej nas. Już ksiądz Dębołęcki napisał na ten temat stek bzdur na początku XVII wieku i tak to trwa i rozwija się.

W beznadziejnej sytuacji międzynarodowej, po upadku Powstania Listopadowego, rozkwitł polski mesjanizm. Najwięksi nasi poeci i myśliciele zaangażowali się w tę ideę. Była w niej autentyczna wielkość, uskrzydłona ich geniuszem. Myślę, że odegrała to jakąś rolę w przetrwaniu klęsk, choć pytanie, czy nie przyczyniało się do następnych. Ale spadek, który do dziś przechował się w przeciętnej mentalności jako tako wykształconego Polaka po tych romantycznych wlotach jest żałosny: poczucie jakiejś szczególnej wyższości tylko z tego tytułu, że jest się Polakiem, poczucie wyższości często doprawionej religijną egzaltacją. Może zresztą egzaltacja to za duże słowo: to raczej karykatura egzaltacji, wyzywająca się w narodowo-religijnej rekwizytorni.

Warto i należy zwrócić uwagę na spłot wątków narodowych z religijnymi w tej postawie (ma to zresztą tę dobrą stronę, że patriotyczna tromtadracja partyjno-zbowidowska słabo dociera do społeczeństwa). Co to znaczy „Polak-katolik”, o tym pisał obszernie, kompetentnie i celnie Bohdan Cywiński w „Rodowodach niepokornych”. Chciałbym tu zwrócić mimo to uwagę na parę aspektów tej sprawy — bo dla odpowiedzi na pytanie „patriotyzm — ale jaki?” mają one zasadnicze znaczenie.

Hasło-twierdzenie o nierozłączności polskości i katolicyzmu może mieć różne interpretacje. Rzuca się je przeważnie bez bliższego sprecyzowania — i dzieje się to tak często, że można dopatrzeć się w tym metody. Ponieważ slogan ten w najbardziej narzucającej się interpretacji może znaczyć, że kto nie jest katolikiem, nie jest pełnowartościowym, zupełnym Polakiem (jeśli jest w ogóle Polakiem *sensu stricto*) — należałoby za każdym razem, gdy się nim ktoś posłuży, wyraźnie zaznaczyć czy o to rozumienie go właśnie chodzi. Niedawno można było przeczytać o nierozłączności polskości i katolicyzmu w artykule księdza Sroki w gdańskim *Bratniaku*. Autor, interpelowany przeze mnie osobiście, odpowiedział, że został źle zrozumiany, chodzi mianowicie o to, że katolicyzm wywarł tak wielki i wielostronny wpływ na kulturę polską, tak w nią wrósł, że kultura ta jako całość nie da się od katolicyzmu oderwać bez utraty swej tożsamości. Jest to teza rozsądna i nikogo nie powinna dotykać, choć też mogłaby być przedmiotem dyskusji, można by np. spytać, wiedząc jak mocno prawosławie zdeterminowało kulturę Rosji, czy gdyby odrodzenie religijne Rosji dokonało się nieoczekiwanie przez połączenie ze Stolicą Piotrową — nastąpiłaby nie poważna zmiana w narodzie rosyjskim, lecz w ogóle utrata przezeń tożsamości narodowej? Czy — uogólniając — katolicyzacja jakiegokolwiek narodu niechrześcijańskiego musi spowodować jego wynarodowienie? Ale zostawmy tę dyskusję na boku — bardziej mi chodzi o pierwszą interpretację polsko-katolickiego hasła, dość powszech-

na jak mi się zdaje wszędzie tam, gdzie spotykamy się jednocześnie z ksenofobią i megalomanią narodową, a wciąż żywioną niesprecyzowanymi zdaniem, które tu rozważamy.

Sens pierwszy bowiem jest zarówno fałszem, jak i złą przysługą wyrządzoną tradycji narodowej oraz dzisiejszemu stanowi poczucia narodowego. Wyobcowuje bowiem z tradycji narodowej ogromne i ważne jej obszary, a z dzisiejszego życia narodowego tych ludzi, którzy do katolicyzmu się nie poczuwają.

Co w dziejach i tradycji polskiej jest nie-katolickie? Pomijając epizody, które mało wpłynęły na bieg naszych dziejów, jak np. polski husytyzm — zacząć trzeba od polskiej tradycji reformacji i protestantyzmu. Niemałe to w XVI i XVII wieku tradycje, tradycje Mikołaja Reya i arian polskich, tradycje współżycia różnych wyznań w tolerancji, przypieczętowane aktem Konfederacji Warszawskiej. Nie brak protestantów wśród naszych bohaterów narodowych (przykład: generał Sowiński), nie brak pastorów wśród narodowych działaczy polskich. To prawda, że Kościół katolicki odegrał wielką rolę w trwaniu przy polskości, szczególnie pod zaborem pruskim i na dalekich kresach pod zaborem rosyjskim. Ale na Śląsku Cieszyńskim i na Mazurach polskość pielęgnowały zbory ewangelickie i ich pastory. Ostatnim aktem heroicznej postawy narodowej ewangelików polskich było męczeństwo nieugiętych pastorów i działaczy w okresie okupacji hitlerowskiej. Symboliczne jest tu nazwisko Bursche — ale nie jedyne. Wkład polskich protestantów w kulturę polską i w walkę o byt narodowy jest tak wielki, że wszelkie próby wyłączenia ich z naszej polskiej wspólnoty narodowej muszą budzić ostry sprzeciw.

Podobnie nie sposób zgodzić się na zanegowanie żywego i bogatego udziału w kulturze polskiej od czasów Oświecenia, a ze szczególną intensywnością od okresu pozytywizmu, bezwyznaniowego nurtu laickiego, często ateistycznego, niekiedy agnostycznego, wśród nich większości bohaterów „Rodowodów niepokornych” Bohdana Cywińskiego i ich kontynuatorów. Trudno wyobrazić sobie kulturę polską ostatniego stulecia bez Edwarda Abramowskiego i małżeństwa Dawidów, bez Wacława Nałkowskiego i Ignacego Redlińskiego, bez Stefana Żeromskiego i Andrzeja Struga, bez Stefana Czarnowskiego i Tadeusza Kotarbińskiego, bez Edwarda Lipińskiego oraz Marii i Stanisława Ossowskich, bez Antoniego Słonimskiego i Marii Dąbrowskiej, bez Leszka Kołakowskiego. A są to nazwiska sygnały, reprezentujące tu często całe szkoły i nurty myśli polskiej, setki nazwisk Polaków, którzy wnieśli ogromny i niezatarty wkład w dorobek polskiej kultury.

Jedną z odmian ksenofobii jest kult „swojskości” przeciwstawiany „modom” płynącym ze świata (głównie z Zachodu). Dziwaczność tej postawy polega głównie na tym, że jej rzecznicy przeważnie głoszą zarazem tezy o naszym związku z kulturą Zachodu. Dziwny związek, który ma polegać na izolowaniu się. Wygląda na to, jakby zwolennicy tej postawy uważali, że związki związkami — ale już starczy tego dobrego.

Postawa to śmieszna i nonsensowna. Żadnej kulturze nie wysła jeszcze izolacja na dobre. Polacy doświadczyli tego na sobie w znacznym stopniu. Od braci Czechów wzięliśmy chrześcijaństwo, zaszczerpione następnie przez Czechów, Niemców i innych ludzi z Zachodu. Po naukę zaczęli Polacy jeździć do Paryża, Pragi, na włoskie i niemieckie uniwersytety, zrazu cieniutkim strumyczkiem, poszerzającym się stale z korzyścią dla naszej kultury. Zachodni mentorzy, Niemcy i Francuzi, uczyli nas wznosić budowle romańskie, a później gotyckie, zapełnione rzeźbami i obrazami, będącymi dziełem cechowych artystów-Niemców. Obyczaj zachodnioeuropejskiego rycerstwa przyjął się w Polsce. Sprowadzone z Zachodu zakony krzewiły cywilizację i kulturę. Poczynając od końca XV wieku zaczęliśmy czerpać pełnymi garściami z Włoch, przeżywających Renesans, a potem z całej renesansowej Zachodniej Europy, sprowadzając stamtąd artystów, pisarzy i uczonych. Cała elita polska kształciła się na zachodnioeuropejskich uniwersytetach, głównie we Włoszech i w Niemczech. Z Niemiec przyszła Reformacja, która wzbogaciła polskie życie umysłowe. Z bliskiego Orientu turecko-tatarskiego szlachta polska brała stroje, wyposażenie wnętrza, broń (i niestety barbarzyński zwyczaj wbijania na pal). W literaturze polskiej od XVI wieku widać gołym okiem inspiracje płynące z Włoch, Niemiec, Francji, Hiszpanii. Dopiero wiek XVIII przyniósł ze sobą osłabienie tych więzów i osłabnięcie importu kultury, ze skutkiem dla Polski tragicznym. Na szczęście już od połowy XVIII wieku więzy te znów się wzmocniły, artyści polscy znów jeżdżą do Włoch po naukę, światła część arystokracji — nie tylko po fraczki i perukę, lecz i po myśl oświeceniową, która rozkwitła Komisją Edukacji Narodowej i reformami Sejmu Wielkiego. I odtąd czerpiemy nadal pełnymi garściami: z Zachodu przychodzi romantyzm i pozytywizm, symbolizm i impresjonizm, ekspresjonizm i futuryzm.

Są to rzeczy znane i oczywiste — ale wciąż muszą być przypomniane. Kultura polska rozkwita zawsze w symbiozie z tymi podnietami, a nie w opozycji do nich. Rzadko kiedy czerpaliśmy tak obficie, jak w wieku XVI — z tak pięknym sukcesem dla kultury narodowej. Mickiewicz jest cały przesiąknięty zachodnim romantyzmem — i zarazem oryginalny, twórczy, niezwykły. I tak

dalej. Przerwanie tego rodzaju związków wpędzić nas może co najwyżej w neosarmatyzm, podobny do sarmatyzmu epoki saskiej.

Boli nieraz, że znacznie więcej wzięliśmy niż daliśmy. W całości kultury europejskiej liczy się co prawda nie tylko eksport, lecz sam fakt stworzenia oryginalnych wartości, niemniej jednak chcielibyśmy w syntezie europejskiej brać udział nie tylko przez sam fakt posiadania dla siebie bogatej kultury. Z nielicznymi wyjątkami — nasze wpływy są tylko regionalne. Wiele zawdzięczają im Ukraińcy, Białorusini, Litwini — mało Francuzi, Anglicy, Niemcy, Włosi. W sytuacji o ileż lepszej są Rosjanie — z Dostojewskim i Tołstojem, staroruskim malarstwem cerkiewnym... Myślę, że bez megalomanii narodowej można mniemać, że Europa dużo traci przez faktyczną nieznamość Mickiewicza, Słowackiego, Norwida. Zna natomiast już stosunkowo nieźle Gombrowicza i Witkacego. To też jest wskazówką, że oryginalne wartości artystyczne, mające szansę przekraczania granic naszej kultury narodowej, powstają nadal na rozstajnych drogach wiodących ze świata do nas — i w świat z powrotem.



Myśli tu wyrażone nie są odkryciami, a wiele zagadnień tu poruszonych wymagałoby za pewnością pogłębienia. Wyobrażam sobie jednak, że dla dość licznej grupy czytelników będą to myśli co najmniej kontrowersyjne, a częściowo nie do przyjęcia. Dlatego właśnie powstał ten szkic, z myślą o tym, jak bardzo rozpowszechnia się w Polsce ksenofobia i megalomania narodowa, choć nie sądzę, by było to zawsze równoznaczne z ostrym szowinizmem. W dodatku w różnych sprawach granice postaw zacierają się poważnie, trochę na skutek doświadczeń historycznych, nie sprzyjających rozkwitowi postaw chrześcijańskich w stosunkach między narodami, trochę na skutek nawyków wychowania — tak że w rezultacie i autor tych uwag łąpie się niekiedy na tym, że to co pisze uważa co prawda za słuszne, ale bynajmniej nie może stwierdzić, by przyswoił sobie w zupełności, we wszystkich punktach postawę, którą głosi, tak by kierowała jego reakcjami emocjonalnymi bez potknięć. Tym potrzebniejsze jest propagowanie tej postawy. Jestem przekonany, że jednym z najistotniejszych zagadnień naszej teraźniejszości i przyszłości jest wyzbycie się megalomanii narodowej i ksenofobii, a przynajmniej ich stopień do stanu niegroźnego dla dalszych losów narodu polskiego. Jeśli to się nie stanie — byle agent, przebrawszy się w ułańskie czako i zawiesiwszy ryngraf na piersi, poprowadzi naród dokąd zechce, podbijając bębenka „dumy narodowej” i

manipulując fobiami; stracimy wszelkie szanse, nawet jeśli się one otworzą, współdziałania z innymi, jak my uciskanymi przez sowietyzm narodami — a tymczasem nie wolno nam czekać na szczęśliwe zbiegi okoliczności, musimy zacząć pracować nad zbudowaniem solidarności uciskanych; zamkniemy w rezultacie sobie drogę do Zachodniej Europy, w której widzimy naszą kolebkę kulturową — na zawsze; nie łudźmy się, że jeszcze w tej Europie się znajdujemy; może trochę: wspomnieniami, tęsknotami, pragnieniami. Z roku na rok pograżamy się coraz głębiej w sowietyzm, rozkładający nasz system wartości, więzi społeczne, widzenie przez nas samych naszych tradycji narodowych. Czasami wydaje się, jakbyśmy sami pchali się ku temu, tak wyglądało w 1968 roku. Miejmy nadzieję jednak, że naród nasz okaże się za mądry na tego rodzaju manipulacje.

Jan Józef LIPSKI

Dziennik pisany nocą

Capri, 20 lipca 1981

W odległości kilku metrów od prostopadłego urwiska ściany skalnej, między ruinami pałacu Tyberiusza, *Villa Jovis*, i resztkami jego latarni morskiej, *Torre del Faro*, urządzono prymitywną kawiarenkę pod słomianym dachem z lampionami. Nie było jej, gdy przed laty zachodziłem często na *Monte Tiberio* podczas capryjskich wycieczek. Inną nowością jest duża *Madonna del Soccorso* na masywnym postumencie, obok starego kościółka na samym szczycie imperatorskiej góry. Jej poprzedniczka była mniejsza i skromniejsza, formalnie nazywano ją również Matką Boską Ratowniczą, ale mieszkańcy wyspy mówili o niej między sobą ładniej *Madonna dei Marini*, Matka Boska Żeglarczy. Nowa, jak obwieszcza dumnie napis na postumencie, została pobłogosławiona przez Jana Pawła II i ustawiona na swoim miejscu przez helikopter *US Navy*. Kto pamięta bardzo kiedyś poczytne noweletki Guareschiego *Don Camillo i Peppone*, łatwo odgadnie jak do owej majestatycznej zmiany warty doszło. Była to prawdopodobnie odpowiedź capryjskiego kleru i demokracji chrześcijańskiej na wygraną w końcu przez capryjskich komunistów, długoletnią walkę o wmurowanie w skałę ogrodu na wyspie tablicy ku czci Lenina.

O „ideologicznym” pojedynku lokalnym myśli się tylko przelotnie i z rozbawionym uśmiechem, popijając białe wino capryjskie tuż koło ruin Wielkiej Historii, patrząc na mitologiczne Wyspy Syrenie w oddali, słysząc miarowe obmywanie podnóża skalnej ściany przez morskie fale. Przedwieczorny powiew, wzdęcie białego żagla powietrza, migotliwa gra światła nad łuską

morza, mocny naraz zapach drzew i kwiatów, cichy i suchy poswist ostów. Zamykają już szkielet imperatorskiego gniazda, paru spóźnionych turystów może jedynie przeczytać u wejścia niewinną próbkę tego, co o Władcy Świata pisali Tacyt i Swetoniusz. I dowiedzieć się, dla zachęty do jutrzejszej wizyty, od klucznika ruin że „tutaj Imperator zapoznał się z raportem gubernatora Judei o procesie i ukrzyżowaniu Pana Naszego Jezusa Chrystusa”.

Klucznik reklamuje okoliczność uważaną przez historyków za pewną. Mniej jest pewne jak Tyberiusz zareagował na raport Poncjusza Piłata. Od Tertulliana wywodzi się tradycja Tyberiusza marszczącego brwi, zadraśniętego w swej słabości do mistycyzmu wschodnich wierzeń, stanowczego w zaleceniu aby na przyszłość okazywano tolerancję wyznawcom nowej religii. Tradycja przeciwna posługuje się obrazem okrutnika zadowolonego z raportu, lecz nie bardzo wiadomo czy w dobrej wierze korzysta z wystawionego Tyberiuszowi przez Tacyta i Swetoniusza patentu na antycznego markiza de Sade, czy też po prostu z biegiem stuleci uprawomocniła oszczerstwa Tacyta i Swetoniusza w imię współodpowiedzialności Imperatora za wyrok wydarty z umytych rąk jego gubernatora. Rzecz bowiem w tym, że wdług większości późniejszych historyków Tacyt i Swetoniusz namalowali oszczerczy portret Tyberiusza na Capri. A Capri, przez wieki i po dziś dzień jeszcze przede wszystkim wyspa Tyberiusza, zdawała się i zdaje wciąż lubować w tych oszczerstwach, ciągnąc z nich soki żywotne, zyski i dwuznaczny splendor. Czym byłaby bez tajemniczych grot, mniej lub więcej lazurkowych, bez podziemnych chodników, mrocznych pieczar i wyrąbanych w skałę plaż, bez całego tego apanażu nocnych orgii, efebów i dziewcząt gwałconych i zabijanych na ołtarzu rozpusty, bez „kuracji odmładzających” podszeptanych boskiemu starcowi na ucho przez jego przybocznego medyka Celsusa?

Spokojny, wyważony szkic o Tyberiuszu napisał Norman Douglas, autor powieści *Południowy wiatr* oraz dwóch podróżniczo-erudycyjnych książek *Kraj Syren* i *Stara Kalabria*, świetny pisarz i archeolog amator, honorowy obywatel Capri, zmarły po półwieczu dobrowolnego wygnania na wyspie przy stoliku *Piaz-zetty* (podobno w stanie nietrzeźwym). Jego Tyberiusz to „prawie obsesyjna pasja stronienia od tumultu życia, pociąg do samotności, do przebywania sam na sam z własnymi myślami i wybranymi książkami”. A równocześnie: geniusz wojskowy, mądrość polityczna, dar rządzenia, proste i surowe życie na Capri. Słowem, *la vieille roche*, jak go z francuska określa Douglas. „Stara skała” była jednak drażona od wewnątrz niechęcią do ludzi (zwłaszcza dobrze urodzonych), goryczą i podejrzliwością, urazami

z przeszłości, wstrętem do własnego drzewa genealogicznego („jestem — mawiał — przodkiem samego siebie”). Warto też mieć na uwadze, że tacytowo-swetoniuszowy Okrutnik i Szaleniec nie wymagał nigdy kultu swej imperatorskiej osoby i odpychał hołdy składane mu z tytułu boskości, a Mistrz Orgii (capryjskich) nie znosił wszelkich igrzysk, znieawidzony zresztą za to przez lud rzymski (pokrzykiwano niekiedy w tłumie na jego widok: „Tyberiusz do Tybru!”). I takiego Imperatora należy sobie wyobrazić, gdy w szóstym roku swej rezydencji na Capri, a na cztery lata przed śmiercią, czyta zamyślony w orlim gnieździe *Villa Jovis* raport Poncjusza Piłata. O wyspę, zaszczyconą pobylem raczej antycznego Króla Lira niż antycznego markiza de Sade, otarł się wówczas pierwszy Wiatr ze Wschodu.

Ale, jak się rzekło, obmowa Tacyta i Swetoniusza wzięła górę. Na początku zeszłego stulecia urodziła swój romantyczny pomiot, „filozofię Lazuruwej Groty”, według trafnej definicji Douglasa. Odkrył rzekomo Lazuruwą Grotę, jedną z domniemanych melin orgiastycznych Tyberiusza, malarz niemiecki Kopisch. I pooszło! Na wyspę zwaliły się tabuny złych malarzy, zbankrutowanych poetów, wędrowców o smętnym obliczu chorych na *Weltschmerz* i spragnionych faustowskiego eliksiru w powietrzu którym oddychał mefistofeliczny Imperator, rozmnożyły się trupoblade pejzaże-bohomazy smarowane przy „jasnym odbłasku księżycy”, zakwitły amory z miejscowymi efebami i dziewczętami, capryjskim specjałem stała się ucieczka od świata w poetycznych dekoracjach i z ostrą przyprawą erotikonu na rozmaite modły. Pod koniec zeszłego stulecia szał romantyczny udrapował się w szaty dekadentyzmu, w stylu D'Annunzia. To już epoka Axela Munthe, z kakofoniczną rupieciarnią wszystkich stylów w jego willi San Michele, z czerwonym sfinksem egipskim, wyłowionym jakoby w tajemniczy sposób z dna morza, na straży skarbów prawdziwych czy farbowanych, jakie przedsiębiorczemu lekarzowi szwedzkiemu udało się wykopać, wydobyć, wyłowić i zgromadzić na wyspie w świątyni Wiecznego Ducha, Wiecznej Sztuki i Wiecznej Pogoni za Pełnią Życia.

Na początku obecnego stulecia otarł się o wyspę drugi Wiatr ze Wschodu. *Villa Behring*, zwana także *Casa Rossa*, gościła przez jakiś czas brzemienną w skutki szkołę. Jej pełna, długa nazwa brzmiała: „Szkoła techniki rewolucyjnej dla naukowego przygotowania propagandystów socjalizmu rosyjskiego”. Kierownikami byli najpierw Lenin i Gorkij, potem Łunaczarskij. Wykładowcami, naturalnie prócz samych kierowników: Bogdanow, Plechanow, Wiera Zaulicz, Aleksinskij, Ładyżnikow. Nocą, w harmonii z fluidami wyspy, wesoła rewolucyjna kompania oddawała się śpiewom i picu w pieczarze na plaży koło *Pensione delle*

Sirene. Ten właśnie Wiatr ze Wschodu upamiętnia świeżo wmurowana tablica z płaskorzeźbą w ogrodzie wyspy: *A Lenin — Capri*.

Wracając do miejsca, w którym wieczorem popija się białe wino między ruinami *Villa Jovis* i ruinami *Torre del Faro*. Tyberiuszowska Wieża była jednocześnie latarnią morską, „wskazującą — powiada poeta — żeglarzom drogę swym słodkim światłem które w zawody idzie z księżycem”, i centralą imperatorskiego przewodu sygnalizacyjnego do floty w Misenum i dalej do Rzymu. Runęła na kilka dni przed śmiercią Tyberiusza, co od razu poczytywano za zły omen. Jej resztki były przez wiele wieków schronieniem i siedzibą kolejnych pustelników. Ostatni bodaj pustelnik zainteresował Conrada; i tym akcentem wypada zamknąć miniaturowy wizerunek miniaturowej wyspy.

Conrad przyjechał na Capri w styczniu 1905. Spędził tam cztery miesiące, nudząc się śmiertelnie i narzekając w listach na „deszcz, grad i grzmoty”. Może dla rozrywki zaczął obmyślać powieść „której akcja rozgrywałaby się w Zatoce Neapolitańskiej, na Capri i w Sorrento”, co jego zdaniem dawałoby książce *a better chance of popularity*. Zapłon pomysłu stanowiła informacja capryjskiego dziejopisa i archiwisty, że w roku 1808, w roku zdobycia Capri przez Francuzów, ówczesny pustelnik w *Torre del Faro* był szpiegiem Murata i sygnalizował mu szyfrem świetlnym ruchy wojsk Hudsona Lowe. Projekt Conrada nie wyszedł poza stadium pomysłu.

Neapol, 31 lipca

Natychmiast po zamachu na Jana Pawła II poproszono mnie w *Giornale* o komentarz. Położyłem w nim główny nacisk na cios, jakim zamach był dla Polaków; i wysunąłem hipotezę spisku, dając dość przejrzyście do zrozumienia gdzie i przez kogo został ukartowany i przygotowany. Komentarz wydrukowano bez skreśleń, ale nazajutrz redaktor naczelny odciął się w artykule wstępny od hipotezy spisku, i to z ostrzeżeniem by nie ulegać pokusom nowej i niebezpiecznej wiedzy tajemnej, którą we Włoszech ochrzczono ostatnio mianem *dietrologia*. Jak to na polski przełożyć? Z grubsza sens włoskiego nowotworu oddawałaby sklecona na prędcę „zakulisologia”. Czyli szukanie „zakulisów”, ukryte ręki reżysera, za plecami każdego terrorysty; choćby wszystko wskazywało, jak w wypadku owego tureckiego zamachowca, że mamy do czynienia z atakiem wściekłego psa uzbrojonego w pistolet.

No pięknie. Upłynęło trochę czasu, zaczęły przeciekać do prasy z organów śledczych skąpe co prawda, lecz treściwe wiadomości o Turku z pianą na pysku: że, jakkolwiek „neonazista” z przekonań i afiliacji politycznych, spędził kilka miesięcy w Bułgarii, co dla posiadacza paszportu tureckiego nie jest rzeczą tak prostą; że jego dwaj towarzysze przeskoczyli zaraz po zamachu z NRF do NRD; że pewien nie wymieniony z nazwiska Włoch, gotów stawić się na procesie w charakterze świadka, widział go parokrotnie w Libii. Wolno więc było oczekiwać, że proces rzuci tzw. snop światła. Był żałosną komedią. Wszyscy — sędzia, prokurator, obrońca z urzędu — zachowywali się na nim tak, jakby szybko chcieli odrzucić możliwie najdalej i w możliwie nieokreślonym kierunku odbezpieczony granat. Rozprawa odbyła się błyskawicznie, „maniaka który popełnił zbrodnię głupią, niezrozumiałą, absurdalną” skazano na dożywocie. Skazaniec palnął mowę, oświadczył mianowicie trzęsąc się z oburzenia, że chce być sądzony przez poszkodowane i suwerenne państwo Watykańskie, w przeciwnym zaś razie ogłosi 20 grudnia głódówkę. Ktoś odczytał w tym pogroźkę pod adresem architektów zamachu: jeżeli do tego czasu nie wydobędziecie mnie z więzienia... Odbicie z więzienia nie należy we Włoszech do rzadkości, ale sprawniejszy jeszcze jest tu mafijny system zatkania na zawsze gęby potencjalnemu gadule za kratami potrawą lub filiżanką kawy ze szczyptą trucizny.

A mój niezbyt fortunny, zdaniem redaktora *Giornale*, komentarz „dietrologiczny”? Jego pierwsza część nie wymaga z mojej strony dodatkowych wyjaśnień. Klemski, w swoim artykule o zmarłym Prymasie, bardzo słusznie podkreślił nie przypadkową chyba zbieżność w czasie (nawet co do dnia) między zamachem na Wojtyłę i spodziewanym przez lekarzy zgonem Wyszyńskiego; nie musiał dodawać, czym takie *udane* zgranie dwóch śmierci byłoby dla posierpniowej Polski. Odnosnie drugiej części, „zwraca mi honor” pośrednio sam *Giornale* w dzisiejszym artykule swego watykańskiego korespondenta, zatytułowanym „Cień spisku w zamachu na Papieża”. Padają w nim bez obłonek inicjały reżysera: KGB; korespondent donosi, że „cień spisku” nabiera w Watykanie z każdym dniem większej konsystencji na podstawie poufnych materiałów dostarczonych przez „wywiad jednego z państw zachodnich”; mowa dalej w artykule o irytacji i rozżaleniu, jakie za Spizową Bramą wywołał płytki i galopujący proces tureckiego „maniaka”; przytacza się na zakończenie krótką, cierpką i nie zanadto zawołowaną wypowiedź prymasa Glempa w telewizji włoskiej.

„Zakulisologia” jest istotnie — i niestety! — wiedzą tajemną. Gdyby nią była w nieco mniejszym stopniu, trochę mniejszą

również efektywność posiadałaby może broń terroryzmu w rękach różnych reżyserów i współreżyserów. A wiedzą niebezpieczną jest dla tych, którzy niewiedzę wołają od „powikłań dyplomatycznych i handlowych”. W pewnym sensie wszystko w nowoczesnym terroryzmie dzieje się za kulisami; sam strzelający nie wie najczęściej z czyjego naprawdę mandatu strzela, czyj naprawdę Mózg porusza jego palcem na cynglu.

Dragonea, 12 sierpnia

W tomiku *The Mortal Danger* szkic Sołżenicyna o tym „jak fałszywe poglądy na Rosję narażają Amerykę na niebezpieczeństwo” wydrukowano z głosami jego amerykańskich krytyków (i jednego czeskiego, Loebła) oraz z jego repliką końcową. Obie strony, Sołżenicyn i jego krytycy, popełniają dokładnie taki sam błąd, tyle że w dwóch odwrotnych kierunkach. Trochę, w interesie większej ostrości, upraszczając: dla Sołżenicyna za wszystko odpowiedzialny jest komunizm jako „międzynarodowy i uniwersalny fenomen historyczny”, a nie „lokalny epizod rosyjski”; dla jego krytyków wszystko da się zwać na Rosję historyczną i wyprowadzić z „tradycji rosyjskiej”. Sołżenicyn za mało istotne uważa rosyjskie składniki reżymu sowieckiego, jego krytycy lekceważą składniki nowoczesnego totalitaryzmu (obecne jako „pokusa totalitarna” wszędzie) w fundamentalnie rosyjskim reżymie sowieckich spadkobierców caratu. Polemika jałowa i właściwie nudna, gdyby nie to, że za oba „przegięcia” trzeba słono płacić. Za „przegięcie” Sołżenicyna nieufnym stosunkiem do antykomunizmu rosyjskiego, za „przegięcie” jego krytyków koncepcją „normalnego” państwa rosyjskiego, z którym można rozsądnie negocjować i rozgraniczać „strefy wpływów”, nie przywiązując nadmiernej wagi do zewnętrznej sowieckiej fasady totalitarnej.

Jeden z krytyków, Alexander Dallin, powiada: „Punkt widzenia Sołżenicyna jest szczególny; jego własna prawda jest prawdą ofiary, prawdą przenikającą jego poglądy i wartości, kształtującą jego apokaliptyczną wizję. Te cechy czynią zeń bohatera i proroka; nie ich potrzebę odczuwa się w analizie politycznej czy u mężów stanu”. Wielki format Sołżenicyna, nawet zważywszy jego rosyjskie zaślepienia bądź niedowidzenia, polega właśnie na tym: jest ofiarą i prorokiem, posiada coś czego skromna choćby dawka (w formie ludzkiej wrażliwości i intuicji moralnej) przydałaby się zachodnim „analizom politycznym”, a zwłaszcza zachodnim „mężom stanu”.

Jego słynna mowa harwardzka, drugi przedmiot rozdrażnio-

nych i zgorzonych protestów na Zachodzie, była wystąpieniem Rosjanina, proroka i ofiary na nutę *Untergang des Abendlandes*. Pokazał to i uwydatnił wyśmienicie Wojciech Karpiński, którego *Prorok* (w książce *W Central Parku*, wydanej poza cenzurą przez Klin) jest najlepszym jakie dotąd napisano, najsprawiedliwszym, najgłębiej przemyślanym studium „Sołżenicyna w Vermont”. Większość w nim motywów, prześwieleń, przesłuchanych na nowo ech (Bierdiajew, Dostojewski, Herzen) krąży wokół bardzo wyraźnego ośrodka: „Cierpienie uszlachetnia, formalizm prawny wyjaławia — te twierdzenia Proroka, które wpisał w deterministyczną wizję historii kultury europejskiej, są mi obce. Stanowią odpowiedź na pytanie o przyczyny współczesnego kryzysu na Zachodzie. Kryzys w wielu dziedzinach nie budzi wątpliwości i został przez Proroka trafnie uchwycony. Ale wskazane przez niego drogi wyjścia? Podobne rozpoznanie sytuacji padało już nieraz. Wielokrotnie zapewne powróci. Można je ubrać w frazeologię lewicową, bądź prawicową. Ten nurt krytyki europejskiej świadomości prawnej doszedł do głosu wyjątkowo jaskrawo w historii rosyjskiej myśli społecznej XIX wieku. Nie tylko tam. Również w polskim mesjanizmie. Również w niemieckiej myśli zachowawczej. Rosjanie dali jednak wzorzec tego rodzaju krytyki. Wynikało to z ich interpretacji własnego miejsca w Europie. Czasem uważali się za część tej kultury, część nieraz bardziej „naturalną”, bardziej „prawowierną”, czasem widzieli w sobie przedstawicieli innej formacji. Europa była dla nich filozoficznym problemem”.

Należy z Sołżenicynem dyskutować, toczyć z nim spory gwałtowne, ale tak jak to robi Karpiński. Myślę że jest konieczne, aby *dzisiaj* Rosja i jej sowiecki totalitaryzm stały się dla Europy i w ogóle Zachodu problemem filozoficznym i moralnym, a nie tylko politycznym, wojskowym i gospodarczym.

17 sierpnia

W podarowanym mi wczoraj przez moich gości *Polskim kształcie dialogu* księdza Tischnera (*Editions Spotkania*) znajduję rozdział o Janie Strzeleckim, moim przedwojennym przyjacielu. Traf chciał że kilka dni temu, grzebiąc w zdeponowanych tu starych papierzyskach, natknąłem się na wydarty z *Twórczości* tekst Strzeleckiego *Zapiski 1950-1953*.

Rozdział księdza Tischnera nie jest może wzorem jasności (przy całej jego sympatii do Strzeleckiego), ale i sam Janek nie celował nigdy w jasności. Budził za to od wojny prawie zawsze, i prawie u wszystkich którzy mi o nim opowiadali, sympatię

swoją czystością i prawością, swoim ogromnym odczytaniem, swoim bezustannym zmaganiem się ze sobą, tak upartym i hamletycznym (co sympatię zabarwiło niekiedy domieszką zniecierpliwienia), że robił wrażenie człowieka organicznie już niezdołnego do wyplątania się z własnych zacisków, uchwytów, pokrętnych węzłów, pętli. Po wojnie zetknęliśmy się parę razy zaledwie, z obopólnym jak sądzę poczuciem, że coś w naszej dawnej młodzieńczej przyjaźni pękło i nie da się chyba naprawić.

Ksiądz Tischner zalicza Strzeleckiego do „błędnych rycerzy budownictwa socjalistycznego”, a kiedy indziej nazywa go „zawiedzionym socjalistą”. W rozdziale mówi się często i gęsto o „ethosie socjalistycznym”, z objaśnieniem że dla ludzi pokroju Strzeleckiego „socjalizm i marksizm zrodziły się jako wyraz buntu myślącego sumienia przeciwko sytuacji, w jakiej znalazła się w nowożytnym społeczeństwie ludzka praca i pracujący człowiek”. Słowem „na początku był ethos, doktryny przyszły potem”.

Czy istnieje „ethos socjalistyczny”? Istnieje i jest mi ości bardzo bliski. Ciekawe jednak, że ilekroć o nim myślę i usiłuję go sobie na własny użytek dokładniej opisać, więdną, usychają i odpadają szybko wszelkie formuły, natomiast widzę go żywo poprzez konkretnych socjalistów (nielicznych, takich powiedzmy jak Orwell i Silone, albo na rodzimym gruncie Ciolkosz). „Ethos socjalistyczny” był dla nich absolutną identyfikacją z krzywdzonymi, wyzyskiwanymi, poniżanymi, pozbawianymi godności i praw, pętanymi w życiu indywidualnym i zbiorowym. Posunąłem się aż do hipotezy, że zachowałyby u nich swoją pierwotną moc i niesłabnące ani na chwilę napięcie nawet gdyby nie „przyszły potem doktryny” (choć byli w „doktrynach” biegli). Bo głównym, jeśli nie jedynym, jego impulsem i zarazem metrem była śledzona, badana i osądzana bez przerwy rzeczywistość dookoła. Prawdziwy „ethos socjalistyczny” w tym przypomina nieskazony ethos chrześcijański (co najjaskrawiej wystąpiło u Silonego), że żadne „względy wyższe”, żadne „racjonalizacje” w obrębie „doktryn” dopasowywanych do „wymogów historii” nie są w stanie zawiesić w nim sądu o bieżącej rzeczywistości i spontanicznego oporu wobec jej gwałtów.

W „ethosie socjalistycznym” reprezentowanym przez Strzeleckiego „doktryny” może i „przyszły potem”, ale uderza od razu że bez nich czułby się on niepewnie, jakby nie potrafił znieść braku „naukowej” czy tylko intelektualnej legitymizacji. *Zapiski 1950-1953* pochodzą z najcięższego okresu stalinizmu. Co się wówczas dokoła zapisującego działo, jaka była polska rzeczywistość owych lat, wiadomo. A przecież, mimo niewątpliwego już rozbratu wewnętrznego z Doktryną, *Zapiski* są niemal w całości

szelestem zadrukowanego papieru, obolałym szmerem cytatów z uczonych ksiąg, odgłosem kartek przewracanych z uderką po nocach w zamkniętej szczelnie kabinie, która szybuje wysoko nad padolem codziennej rzeczywistości. Dwie w *Zapiskach* noty posługują się w tytułach słowem „przestrogi”: *Przestrogi personalisty* i *Przestrogi starego liberała*. Pierwsza jest cytatem z Emmanuela Mouniera, odkrywającym że „udział w życiu politycznym i publicznym może się stać narzędziem odczłowieczenia”. Druga cytatem z *Autobiografii* J. S. Milla, odkrywającym poprzez krytykę *Systemu polityki pozytywnej* Comte'a groźbę powstania „najpełniejszego systemu duchowego i świeckiego despotyzmu, jaki kiedykolwiek wyłonił się z mózgu ludzkiego, z wyjątkiem może głowy Ignacego Loyoli”. Bliżej w czasie (1950-1953) i niżej w przestrzeni (codzienna rzeczywistość Polski stalinowskiej) te „przestrogi” były przypuszczalnie mniej widoczne.

Wczorajszy Strzelecki to, dla mnie przynajmniej, historia zdradzonego „ethosu socjalistycznego”. A nie, jak sugeruje ksiądz Tischner, historia „postrzępionej wiary w socjalizm”.

19 sierpnia

Wątpię czy w stulecie śmierci Dostojewskiego ukazało się na świecie wiele publikacji równie interesujących jak numer specjalny *Znaku*, przygotowany przez Zbigniewa Podgórcia i zatytułowany *Polacy o Dostojewskim*. Jego ozdobą jest *Śmierć Antychrysta* Ryszarda Przybylskiego, rzecz o Kiryłowie, samobójcy z *Biesów*. Od dawna staram się czytać wszystko co pisze Przybylski (uhonorowany niegdyś interwencją ambasadora sowieckiego w Warszawie po ogłoszeniu szkicu o Stawroginie w *Tekstach*) i nie mogę odżałować, że urwał na pierwszym tomie swoją książkę o Dostojewskim. W *Śmierci Antychrysta* widać najwyższą klasę lektury Dostojewskiego, z jednym zastrzeżeniem czy uzupełnieniem, o którym za chwilę.

Samobójstwo Kiryłowa, który według własnych słów „trzy lata szukał atrybutu swej boskości i znalazł go w akcie samowoli”, rozgrywa się do pewnego stopnia w sferze wolności naturalnej, lecz zdaniem Przybylskiego jest przede wszystkim „redukcją wolności chrześcijańskiej”. Kiryłow, w odróżnieniu od „zachodniej” apologii samobójstwa jako pełnej afirmacji „ja” i nagiętego wyzwania rzuconego Bogu poza dobrem i złem, gotów jest odstąpić swoje prawo do wolnego wyboru, i w tym jego „wschodniość”. Gotów je jednak odstąpić „organizacji”, a nie Bogu oczywiście (byłby wtedy po prostu dobrym chrześcijaninem), ani nie „wspólnocie prawosławnej” (wstąpiłby wtedy, w oczach Dos-

tojewskiego, na drogę do prawdy). Redukcji wolności chrześcijańskiej dokonał sam autor *Biesów*, który Kiryłowa traktował mylnie jako człowieka „zachodniego” i określał jako „postać w rodzaju Bielińskiego”.

W ujęciu Przybylskiego mamy zatem do czynienia z „przeraziwą dwuznacznością chrześcijaństwa wyznawanego przez Dostojewskiego”. Kiryłow jest Antychrystem parodiującym i karykaturującym Chrystusa, okradającym chrześcijaństwo z antropologii Nowego Testamentu; jego samobójstwo jest parodią Golgoty. W moim przekonaniu „przeraziwa dwuznaczność chrześcijaństwa wyznawanego przez Dostojewskiego” sięga o wiele głębiej, niż sądzi Przybylski. Jest dwuznacznością tak radykalną i nieuleczalną, tak zakorzenioną w jego osobowości i geniuszu pisarskim, że lepiej pasowałoby do niej miano wiecznego rozdwójenia. „Problemem głównym — pisał do Majkowa w toku pracy nad *Biesami* i już w wyobraźni zarysowując *Braci Karamazow*, — problemem który mnie męczył całe życie w sposób świadomy i podświadomy, jest istnienie Boga. Bohater jest w ciągu swego życia ateistą, to wierzącym, to fanatykiem i sekciarzem, to znowu ateistą”. Część krytyków dostrzega w owym bohaterze mglistą prefigurację Iwana Karamazowa; ja skłonny byłbym podejrzewać poboczny refleks tworzony właśnie Kiryłowa. Zapewne i jedno i drugie. Bo rzecz w tym, że tylko łączne studium o Kiryłowie i Iwanie Karamazowie, ich postawienie obok siebie, mogłoby dać pojęcie o „głównym problemie” Dostojewskiego.

Bezpośrednio związane z *Legendą o Wielkim Inkwizytorze* są słynne słowa Dostojewskiego: „Nawet w Europie nie ma i nie było wypowiedzi ateistycznych o takiej sile, nie jak dziecko więc wierze w Chrystusa i Jego naukę, lecz Hosanna moja przeszła przez ognisty piec zwątpienia”. Bierdiajew za prototyp Iwana Karamazowa uważał Bielińskiego. Zona Dostojewskiego na miejsce Bielińskiego podstawiła Władimira Sołowiewa. A przecież Bielińskiego, jak przypomina Przybylski, miał Dostojewski przed oczami kreując postać Kiryłowa. Z kim utożsamiał się Iwan Karamazow w swojej *Legendzie*? Z Wielkim Inkwizytorem, w którym widziano parodię Comte'a i jego „religii Ludzkości”? Czy z milczącym Chrystusem? Jałowe pytania! Drżał w duchu równocześnie przed piorunującą argumentacją Wielkiego Inkwizytora i przed smutnym milczeniem Chrystusa. Jak Kiryłow, przejrany na wskroś przez bystrego Stawrogina: „Gdyby pan się dowiedział, że pan wierzy w Boga, to by pan uwierzył, ponieważ jednak pan nie wie, więc pan jeszcze nie wierzy”. Jak Antychryst parodiujący i równocześnie nie parodiujący Chrystusa, ze swoim samobójstwem które jest i równocześnie nie jest parodią Golgoty. Jak wreszcie sam Dostojewski,

dla którego czysta, „bezproblemowa” wiara w Boga była tylko wiecznym marzeniem i wieczną tęsknotą w wiecznym rozdwojeniu.

22 sierpnia

Mój włoski znajomy F. jest zakochany (trudno o inne słowo) w Wojtyśle, jak go nazywa z ostentacyjnym trochę uporem i nie bez odcienia niechęci do włoskiej tradycji papieżstwa. Od pewnego czasu — zaczęło się to jeszcze przed zamachem — spędza mu sen z powiek polski film o papieżu. Pomysł wydaje mu się „zuchwały”, „niedelikatny”, rozumie co prawda dumę rodaków Wojtyły, ale żaden film nie zdoła oddać tej syntezy dobroci, mądrości i *spiritualità* bez narażenia jej na spłoszczenie. Nawet Włosi, którym zamiastkowy język ekranu zastąpił już autentyczny język myśli i uczuć, i których z rytualnego zobojętnienia wobec papieżstwa „domowego wypieku” wytrąciły pontyfikaty Jana XXIII i Jana Pawła I, nie poważyliby się na podobną imprezę. Po co taka dodatkowa, natrętna wizualizacja duchowej drogi, dostępnej każdemu kto ma oczy do patrzenia i czytania, a uszy do słuchania? Przecież musi się to sprowadzić do serii epizodów z życia Wojtyły, zubożałych, zbanalizowanych, wywotowanych retoryczną ekspresją, w ułomnej mowie taśmy filmowej.

Dziś F. wstąpił tu w drodze do Palermo i przywiózł „dowód” swych „słusznych obaw”. Jest nim wydany w książeczce przed siedmiu laty scenariusz Liliany Cavani do filmu, nigdy zresztą nie nakręconego, o Simone Weil *Lettere dall'interno*.

— Nie porównuję Wojtyły z Simone Weil — gorączkował się — ale popatrz. Nazywa się to *Listy z wewnątrz*, czyli już w tytule przyznanie się do zamiaru niewykonanego aparatem filmowym. A dalej jakieś zdawkowe dialogi, migawkowe zdarzenia wydrążone z prawdziwej treści, i co parę stroniec *Voce mentale Simone*, głos myśli Simone, przyrządzony kolaż z jej pism. Jak by się to miało w filmie odbywać? Recytująca aktorka prezentowałaby w antraktach, między jedną sceną a drugą, wyheblowane wióry myślicielki? Albo może „głos myśli” dochodziłby zza ekranu, czy dobywałby się brzuchomówczym sposobem „z wewnątrz”? Więc na domiar wszystkiego jeszcze łyżka cyrkowego ekshibicjonizmu. I to czym kosztem!

Próbowałem go uspokoić, że prawdopodobnie polski film o polskim papieżu będzie bardziej filmem o Polsce ostatniego półwiecza, niż o Wojtyśle. I że można mieć zaufanie do Zanussiego i do jego dwóch scenarzystów, Szczepańskiego i Kijowskiego. Nie wyglądał na przekonanego.

Po jego odejździe zastanawiałem się, czy film wykorzysta epizod rozmowy młodego księdza Wojtyły z młodym żołnierzem sowieckim, w dniu wkroczenia Czerwonej Armii do Krakowa; epizod opowiedziany krótko przez kardynała Wojtyłę w rekolekcjach dla Pawła VI, wycięty przez cenzurę w ich poznańskim wydaniu. I czy, chociaż skończono zdaje się kręcić film na początku tego roku, został nadprogramowo wydłużony do dnia 13 maja na placu Świętego Piotra.

24 sierpnia

Przed laty, podczas mojej wizyty u Džilasa w Belgradzie, nie mogłem się oprzeć natarczywemu wrażeniu: ilekroć w naszej rozmowie pojawiał się Tito, autor *Nowej klasy* przybierał minę i odruchowo wpadał w ton rozgoryczonego syna, który żali się na surowego ojca. Surowego, tak, ale jednak ojca. Syna marnotrawnego czy wyrodnego, ale jednak syna. I, kto wie, była w tym ukryta gdzieś głęboko, spychana gniewnie w podświadomość, nadzieja pojednania. Dopóki żył ojciec, scena padnięcia sobie w objęcia, długiego niemego uścisku, snuła się po kątach mieszkania na ulicy Palmoticeva, śledzonego dniem i nocą przez policję z okna kamienicy naprzeciwko.

Ojciec umarł, scena rozplynęła się na zawsze w belgradzkim powietrzu czarnym od kadzidlanego dymu, przy wtórze dość szczerego szloch osieroconych poddanych; syn poczuł się wolny definitywnie. I napisał książkę *Tito — The Story from Inside*. Obijają się w niej resztki synowskiej miłości do ojca, lecz przez zaciśnięte zęby. I już bez dawnych hamulców, które za życia ojca działały na zasadzie tyleż mimowolnego lęku, co owej sekretnej, podświadomej nadziei. Tito występuje w książce jako stuprocentowe zwierzę polityczne o węchu otrzymanym od losu, zainteresowane niemal wyłącznie władzą, jej konkretnymi atrybutami i zewnętrznymi insygniami. Suwerenność Jugosławii bezspornie, do upadłego. Gorzej z „ideologią” i „jugosłowiańską drogą do socjalizmu”. Wszędzie gdzie się da pałace i wille, mundury ciężkie od szamerunku i orderów, komu się to w otoczeniu „Starego” nie zanadto podoba, niech się ma na baczości. Słuchać, wykonywać bez szemrania rozkazy. Władza, władza nad wszystkimi i wszystkim, jedyny narkotyk i jedyna zarazem prawdziwa oznaka godności człowieka. Willę na wyspie Brioni zbudowali więźniowie. W roku 1952 lub 1953, gdy Džilasa podejrzewano już o „anarcholiberalizm”, Vukmanovic-Tempo przywiózł mu z Brioni „osobiste pozdrowienia” od marszałka: „Opo-

wiedz Dżilasowi jak wygląda moja willa, i powiedz mu że wszystko co wielkie w historii zbudowali niewolnicy”.

Narkotyk władzy nie oszczędza demokracji, jak wynika z dowcipnej odpowiedzi Andreottiego, „permanentnego ministra” i parokrotnego premiera włoskiego, na pytanie czy władza zużywa: „Zużywa tych, co jej nie posiadają”. W dzienniku wybitnego publicyście angielskiego Malcolma Muggeridge’a trafitem na zabawny zapis jego odwiedzin u Churchilla, po powojennej przegranej konserwatystów w wyborach. Churchill bez władzy miota się jak lew w klatce. Na pożegnanie prowadzi gościa do domowego akwarium, żeby mu zademonstrować swoją władzę nad złotymi rybkami. „Przypływają natychmiast na mój rozkaz”. Okazuje się, że nie przypływają. Lekko zakłopotany sekretarz wyciąga z kieszeni torebkę i podsypuje na powierzchnię wody trochę płatków. Wtedy rzeczywiście przypływają. „To tak — odzywa się Muggeridge — jak z wyborcami, trzeba stale podsypywać”. Churchill wybucha śmiechem, w demokracji utrata władzy nie zabija przynajmniej *sense of humour*.

W filmie francuskim, nakręconym na życzenie panującego wówczas miłościwie władcy Ugandy, Amin Dada zaprasza kinooperatorów na przejażdżkę łódką. Piaszczysta łąka na brzegu rzeki roi się od krokodyli. Amin Dada chce się popisać przed gośćmi analogiczną sztuką magnetyzmu władzy w swoim domowym akwarium. I z analogicznym skutkiem: krokodyle nie ruszają się na jego rozkaz z miejsc. „Są dziś w złym humorze”, komentuje ze znaczącym przymrużeniem oka i rechem. Oznacza to przypuszczalnie, że przez delikatność wobec gości nie kazał załadować tego dnia do łódki używanych w Ugandzie „płatków” do „podsypywania”. Różnica między narkomanami władzy w ustrojach parlamentarnych i dyktatorskich tkwi w odmiennych beneficjentach karmienia i w odmiennych gatunkach pokarmu.

27 sierpnia

Napisano ostatnio, że rok 1980 jest w polskich dziejach najnowszych decydującą cezurą. Rok 1956 wstrząsnął krajem, ukształtowanym przed rokiem 1945. Powszechna erupcja 1980 dojrzała w społeczeństwie całkowicie już uformowanym po wojnie, pod panowaniem „dyktatury proletariatu”. Daty 1968, 1970, 1976 były wybuchowymi przesłami w procesie dojrzewania oporu społecznego i narodowego przeciw „nowej rzeczywistości”.

Jak w większości układów „linearnych”, duża doza prawdy przemieszana tu jest z nadmierną schematyzacją. Bardzo pouczają

jąca książka *Poznański Czerwiec 1956*, wydana świeżo w Poznaniu pod redakcją Jarosława Maciejewskiego i Zofii Trojanowiczowej, dostarcza niby dowodów że pierwszy kryzys był dziełem społeczeństwa ukształtowanego przed rokiem 1945. Ot takiego choćby, drobnego na pozór lecz znamienitego. Znany pisarz Egon Naganowski, akowiec z Powstania Warszawskiego, opowiada o swoim ranieniu na balkonie poznańskiej kamienicy: „Zaprowadzono mnie do pokoju, gdzie zadziwiająco szybko zjawily się dwie dziewczyny, które przedstawiły się jako „powstańcza służba sanitarna” (zupełnie jakby przyfrunęły z dni Powstania Warszawskiego), ściągnęły mi marynarkę i założyły prowizoryczny opatrunek”. Ale obok tego wojennego „syndromu powstańczego” uwaga Maciejewskiego w wprowadzającym do książki szkicu *Po dwudziestu pięciu latach*: „Dopiero niedawno ujawniono fakty dotyczące nielicznego zespołu ludzi działających poza oficjalnymi strukturami organizacyjnymi ówczesnych związków zawodowych. Ludzie ci stworzyli grupę opiniodawczą, która miała decydujący wpływ na postawę załogi W-3, która próbowała nawiązywać porozumienie między załogami różnych wydziałów ZISPO i na terenie kilku zakładów przemysłowych w Poznaniu, głównie z Zakładami Naprawczymi Taboru Kolejowego (ZNTK), planowała użycie różnych sposobów protestacyjnego nacisku: najpierw milczące demonstracje niepokojące dyrekcję i partię w ZISPO, potem masówki, postoje, solidarnościowe strajki, wyjście na ulice miasta w czasie Międzynarodowych Targów Poznańskich, co uniemożliwiło władzom stworzenie blokady informacyjnej. Była to więc pierwsza w PRL organizacja niezależnych związków zawodowych, poprzedniczka „Solidarności”. Trzeba chyba wzmoczyć wyśiłki, aby zebrać na jej temat więcej wiadomości i poszukać śladów jej istnienia także w obrębie innych zakładów przemysłowych ówczesnego Poznania, o czym bardzo mało wiemy. Należy bowiem odpowiedzieć na zasadnicze pytanie: jak to się stało, że apel do strajku i wyjścia na ulicę dany przez cegielszczaków znalazł tak masowe i szybkie poparcie w całym Poznaniu, a były to przecież czasy, kiedy ludzie się bali, a liczni konfidenci informowali milicję, partię i służbę bezpieczeństwa o rozmowach poszczególnych osób”. Stanisław Matyja, robotnik z ZISPO, wspomina w zamieszczonym w książce świadectwie: „Ludzie z okien krzyczeli i wyrażali dla nas poparcie. Tak doszliśmy do umówionego miejsca, do Placu Wolności na wysokości ulicy Ratajczaka. Byłem zdumiony, że tak głęboko zakonspirowana łączność między zakładami takie sprawne dała rezultaty. Po tamtej stronie bowiem już czekali na nas ludzie z Rzeźni i innych zakładów. Umówiliśmy się, że kto przyjdzie pierwszy, zaczeka na drugiego. Teraz już wielką ławą ruszyliśmy ulicą Ratajczaka i doszliśmy do

ulicy Czerwonej Armii pod gmach partii, pod Zamek". Wojenny „syndrom powstańczy” szedł zatem w parze, już w czerwcu 1956, z pierwszym posiewem ruchu, który miał w pełni obrodzić po ćwierćwieczu w społeczeństwie całkowicie uformowanym po wojnie.

Obrodził klasyczną rewolucją a nie żadną „odnową”, rewolucją jednak nieskończoną, „samoograniczającą się”, zatrzymaną w pół drogi, bez sięgnięcia po władzę. Napomknąłem o tym kiedyś w moim dzienniku, teraz widzę podobną diagnozę w wystąpieniach niektórych mówców na lipcowym posiedzeniu KKP „Solidarności”. Jeden z mówców dorzucił: „władzy brać nie możemy”, uznając „ten stan rzeczy i powszechną świadomość tego stanu rzeczy za nasz wielki dorobek i wielki sukces”. Zapewne ma rację, nie jest powiedziane że rewolucja nieskończona musi przegrać, skoro doświadczenia skończonych są takie jakie są. Ale pod warunkiem że półpokonany władca, pogodziwszy się z utratą rzeczywistej i nieograniczonej władzy, zadowoli się siedzeniem na tronie i swoistą kuratelą nad samorządnym społeczeństwem. Trudno wprawdzie wyobrazić sobie w takiej roli partię komunistyczną, co wcale nie znaczy że wariant jest z góry skazany na niepowodzenie. Wymaga, dla swego rozwoju i stopniowego umocnienia, aby istotnie i coraz sprawniej funkcjonowały dwa człony, „Solidarność” i samorząd; i aby człon trzeci, partia, znalazł dla siebie poza nimi tyle tylko miejsca, ile trzeba na tron i dwór z przyległościami „sanktuariów nietykalnych”.

Neapol, 4 września

Od kilku dni czytam wieczorami pasjonującą książkę Egon Naganowskiego o Musilu *Podróż bez końca*. Naganowski jest doskonałym przewodnikiem literackim (nie krytykiem i nawet nie komentatorem, właśnie przewodnikiem), jego poprzednia książka *Telemach w labiryncie świata* mało ma sobie równych wśród tyłu na temat twórczości Joyce'a. Pozostaje mu teraz zabrać się do Kafki, zanim praski pisarz przepadnie z kretesem w pewnej renomowanej polskiej maszynie do mielenia klasyków literatury...

Dotarłszy do połowy *Podróży bez końca*, śledzę z coraz większym zainteresowaniem na przykładzie Musila sprawę tzw. „samowiedzy pisarskiej”. Jak daleko i głęboko sięga? Na ile pisarzowi towarzyszy pełna świadomość tego co pisze? Pytania dotyczą zwłaszcza autorów zwróconych w dużej mierze, przynajmniej we własnym mniemaniu, *to the happy few* albo ku „czytelnikom

przyszłości”. Gdyby, powiedzmy, zestawili Musila z Gombrowiczem, okazałoby się że „samowiedza pisarska” Musila była dość cząstkowa, uwikłana w niejasnościach, zagadkach, mglistych intuicjach, rzadko i na krótko zdolna do panowania nad „pisarskim podziemiem”; dla przekonania się o tym starczy wytyczać, jak to wybornie robi Naganowski, zawite kanały podziemne między utworami Musila i zapisami w jego dzienniku. Gombrowicz był suwerennym władcą swojej twórczości, rozgrywał od pierwszej do ostatniej książki wielką partię szachów, wiedząc dla czego, po co i jaką figurę przesuwając w danej chwili na szachownicy; stąd jego dziennik nie był mrocznym i rozkopanym „podziemiem pisarskim”, lecz autonomiczną, trytomową, *skończoną* powieścią o sobie i o własnym dziele. Zapytany pod koniec życia co ma w planach i projektach na przyszłość, odpowiedział jednym słowem: „Śmierć”. Zabrzmiało to jak „Mat”, dany naszemu ludzkiemu losowi przez sztukę (a nie na odwrót). A Musil? W roku śmierci, opłątany przez węża morskiego *Człowieka bez właściwości*, liczył na jeszcze dwadzieścia lat życia potrzebnych mu do ukończenia... „podróży bez końca”. Im bardziej słabnie i zamąca się „samowiedza pisarska”, tym bardziej otwarte, rozpaczliwie otwarte, staje się „dzieło otwarte”.

5 września

Może będzie mi darowane słówko o własnym pisarstwie. W dwóch o nim szkicach, Kota Jeleńskiego w *Kulturze* i Wojciecha Karpińskiego w *Tygodniku Powszechnym*, mowa między innymi o „stronicach *Dziennika pisanego nocą* poświęconych bólowi ludzkiemu w jego codziennych, najmniej dramatycznych przejawach” (Jeleński) i o *Dzienniku* „wstydzającym się ekshibicjonizmu”, a mimo to „niekiedy przejmującym osobistym” (Karpiński). To prawda, jeżeli przystoi w ogóle autorowi takie publiczne przytaknięcie. Ale myślę że można ją, zmieniając proporcje, rozszerzyć na *Inny Świat* i niektóre moje opowiadania: codzienność, „szarość” ludzkiego bólu w sytuacjach dramatycznych; tłumik ukrytej tonacji osobistej, nałożony na pokusy „donośności wyrazu”. Bardzo lubię zdanie Flauberta: „Gdy piszę, mam przed oczyma jakiś kolor, jakiś odcień”.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Widoki przed zachodem słońca

Łąka nadrzeczna była miejscem odpoczynku dla mieszkańców miasteczka. Rozciągała się u stóp skarpy, którą obsiadły stare kamieniczki. Po drugiej stronie rzeki wyrastało osiedle nowych domów z prefabrykatów. Kurzyła stamtąd cementownia. Łąka posiwała od szarego kurzu.

Wiatr zamarł już od rana i powietrze buchało żarem jak z pieca. Ludzie byli spragnieni ochłody. Szukali cienia. Sadowili się pod młodymi drzewkami. Te wątle drzewka z rzadkim listowiem nie dawały prawie żadnej osłony przed słońcem. Najliczniej więc zgromadzili się wokół piwiarni. Chciwie żłopali ciepłe piwo. Ze wstrętem odsuwali papierowe tacki z kiełbasą na patyku. Ale musieli również płacić za kiełbasę. Piwo obowiązywało z konsumpcją. Tylko zaprzyjaźnieni z otyłą sprzedawczynią i jej długowłosym, pryszczatym synem dostawali piwo bez kiełbasy.

W ten duszny, letni dzień chmielowy napój posiadał szczególną moc. Piwosze wodzili błędnym wzrokiem i wielu z nich miało już chwiejny krok. Przetaczali językiem po spieczonych wargach. Z trudem artykułowali słowa. Przeważnie klełi. Alkohol i słońce porażały ludzi. Tu i ówdzie na łące leżeli pierwsi którzy nie wytrzymali. Skuleni w embrionalnych pozach lub twarzą do słońca, z bezwładnie rozrzuconymi kończynami. Wyglądali jak porzucone łachy. W pijackim śnie pełnym udręki i womitalnych skurczów żołądka jęczeli i wydawali chrapliwe poryki. Niektórzy moczyli się we śnie i strugi moczu rozlewały się po siwej od cementu, wypalonej trawie.

Młodzi upijali się buńczucznie. Dolewali do piwa wódkę lub wino. Przeklinali i zataczali się na wyrost. Obmacywali dziew-

czyny, które wysmarowane kremem i olejkami leżały wystawione do słońca na kocach i ręcznikach.

Starsze kobiety chowały się pod drzewkami i wachlowały spocone twarze gazetami. Od czasu do czasu leniwie nawoływały swoich mężczyzn oblegających piwiarnię.

Słońce wisało nisko na ziemią. Długi, letni dzień zbliżał się do swego kresu.

Pod piwiarnią wybuchła jakaś zwada. Jeden z młodych, pochyliwszy jak tryk głowę, zaatakował drugiego.

— Milicja! — ktoś krzyknął.

Przeciwnicy przykulili się w niezgrabnych pozach. Rozglądali się strachliwie. Przypominali zagnaną w pułapkę zwierzynę. Jednak milicji nigdzie nie było. Śmiech rozładował napięcie i młodzieńcy, już pogodzeni, poklepywali się po plecach i ściskali sobie prawice. Upał najlepiej znosiły dzieci. Grały w piłkę. Bawiły się w berka. Puszczaly latawce i gołębie z papieru. Jednak gołębie miały krótki lot, a latawce nie chciały się unosić w górę z braku wiatru. Dzieci cierpliwie ponawiały próby. Pokrzykiwały i śmiały się radośnie. Ta dziewczynka zbiegła pochyłą uliczką ze skarpy. Za nią biegł piesek, czarny, puchaty kundel z fantazyjnie zakręconym ogonkiem. Dziewczynka ubrana była w białą sukienkę, a mysi, sterczący warkocz ozdabiała czerwona kokarda. Przeciskała się wśród tłumu oblegającego piwiarnię. Najwyżej szybujący latawiec zwrócił jej uwagę. Zaklaskała w dłonie. Latawiec opadł zaraz. Piesek pobiegł za piłką. Toczyła się między ludźmi. Biegł i obszczekiwał ją zaciekle. Wystraszyli go dwaj pijacy. Podpierali się wzajemnie i bezskutecznie próbowali zmusić skamieniałe nogi do ruchu. Piesek ominął ich ostrożnym półkolem i wrócił do dziewczynki. Ona ruszyła nad rzekę. Tutaj znajdowało się królestwo rybaków. Obstawili oni betonowe nadbrzeże. Wpatrywali się pilnie w spławiki sterzące nieruchomo na gładkiej, ołowianej wodzie.

Dziewczynka podążyła powoli wysokim brzegiem. Przed nią płaśał piesek. Zmęczył się już i wywiesił jęzor. Dotarli do kolektora. Był to okratowany otwór z którego buchały do rzeki odchody miasta. Woda przy ujściu ścieku była skłębiona, gęsta i brunatna. Jej powierzchnię srebrną chmarą przykryły rybitwy. Żerowały w tych nieczystościach nieustannie wypływających ze ścieku. Wzbijały się do góry ze zdobyczą w dziobie, żeby za chwilę nurkowym lotem opaść w dół. Trzepotał skrzydeł i skrzek. Pracowity ruch.

Rybacy również najliczniej zgromadzili się przy kolektorze. Jeden z nich poderwał zręcznym ruchem wędkę. Na haczyku zatrzepotała ryba. Ostrożnie holował ją do brzegu. Wyrzucił na żwir. Była to duża i tłusta ryba.

Dziewczynka patrzyła z ciekawością za zabiegi ludzi i ptaków. Z okratowanego otworu kolektora wraz z porywistym szumem wypływających nieczystości rozchodził się przykry, zatykający smród. W gorącym, bezwietrznym powietrzu wisiał jak trująca chmura.

Dziewczynka pobiegła dalej. Za nią piesek. Smród towarzyszył im uparcie. Dopiero za hałdą piachu wyrzuconego przez pogłębiarkę powietrze stało się bezwonne. Było to miejsce ciche i spokojne. Rozpościerał się stąd rozległy widok na rzekę wijącą się wśród zielonych brzegów. Dziewczynka zapatrzyła się w daleki most. Przy moście wielkie, suche drzewo. Na jego gołych gałęziach czarne ptaki. Bliżej prom przecinał rzekę. Powoli jak wielki żółw płynął do tego brzegu.

W tym miejscu nad wodą siedzieli dwaj starzy ludzie. Patrzyli w spławiki swych wędek. Jeden pocił się obficie i dla osłony przed słońcem okrył łysą głowę zmoczoną chusteczką. Drugi trzymał na kolanach puszkę po konserwach i szczyrykiem zrećnie przepoławiał robaki. Twarz miał naznaczoną czerwonym piętnem.

Za nimi na żwirze stał bocian na jednej nodze. Był brudny, oblepiony wyschniętym, zielonkawym szlamem z rzeki. Wyciągał długą szyję i co pewien czas rozlegał się suchy, bezdźwięczny klekot jego dzioba.

— Taś, taś!! — powiedział ten z czerwonym piętnem i wyciągnął rękę. Bocian zbliżył się dostojnie. Wysoko unosił czerwone nogi. Wydziobał z jego dłoni robaka. Połknął rytmicznie poruszając szyją. Znowu zastygł na jednej nodze. Dziób wsunął pod skrzydło. Dziewczynka zobaczyła czarne, okrągłe jak paciorek oko bociana. Zaszło bielmem. Zadrzemał.

Z góry piachu wyrzuconego przez pogłębiarkę dobiegł zduszony jęk. Dwaj rybacy ociężale unieśli głowy. Tam wysoko gdzie zwałowisko piachu porośnięte było wiklinowymi krzakami, leżało dwoje ludzi. Mężczyzna przykrywał swym ciałem kobietę. Niecierpliwie mocował się z zsuniętymi do połowy ud spodniami. Kobieta twarz miała przesłoniętą włosami i jej piersi wylewały się z bluzki. Stękała. Mężczyzna obsunął się po piachu. Czubkami butów wyłobitł głęboki ślad. Zaklął zduszonym głosem. Wspiął się z powrotem do góry i niezgrabnie wcisnął w rozrzucone szeroko uda kobiety.

Pomarszczone, błyszczące twarze starych rybaków okraślił szeroki uśmiech. Coś powiedzieli do siebie. Dopiero teraz spostrzegli dziewczynkę.

Ona szeroko otwartymi oczyma patrzyła na tę obnażoną parę,

kobietę i mężczyznę, miętoszających się w piachu i postępujących z daremnego wysiłku. Ich straszny, uporczywy mozół był odbity w przerażonych oczach dziewczynki.

— Nie patrz tam! — warknął łysy. — To nie dla ciebie widok! Drugi machnął niecierpliwie ręką.

Dziewczynka puściła się pędem w stronę kolektora. Za nią piesek. Szczekał i podskakiwał.

Na rzece rozległ się narastający warkot motoru. Zza zakrętu jak strzała wynurzyła się motorówka. Białe bryzgi przed jej dziobem. Wzburzyła nieruchomą, gładką wodę. Wysoka fala z łoskotem uderzyła w brzeg. Wyrzuciła na żwir zielsko, butelki, zdechłe ryby i zbutwiałe szmaty. Bocian wysunął dziób spod skrzydła. Zbliżył się do brzegu. Poczekał chwilę. Wzburzona woda uspokoiła się wnet i malejąca fala już tylko łagodnie liżała żwir. Bocian grzebać zaczął swym skrzętnym dziobem w śmieciach. Dziewczynka biegła betonowym brzegiem. Minęła kolektor. Dotarła na łakę.

— Mamo, mamoi! — wołała.

Piesek wtórował jej ciekim poszczekiwaniami.

Rozglądała się wśród ludzi. Szukała swojej matki. Zaczęła płakać. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Ludzie patrzyli w jedną stronę. U podnoży skarpy pojawił się radiowóz. Migotało niebieskie światełko na jego dachu. Dreszcz wstrząsnął ciałami leżących mężczyzn. Jedni podnosili się niezgrabnie z ziemi. Inni tylko pełzali niby gąsienice. Wszyscy jednak patrzyli w stronę skarpy. Z radiowozu wyskoczyli milicjanci. Otoczyli człowieka, który przywarł do muru najniższej stojącej kamienicy. Próbował uciekać. Obracał pięściami. Kopał i gryzł. Zmogli go wreszcie. Zaciągnęli do radiowozu. Jego krzyk niósł się przenikliwie po łące nadrzecznej. Dotarł do hałdy piachu wyrzuconego przez pogłębiarkę. Ci dwoje osiągnęli wreszcie zaspokojenie. Mężczyzna konwulsyjnymi ruchami pośladek wcisnął się jak najgłębiej w ciało kobiety i butami po raz ostatni przeorał piach. Kobieta zaskomlała cicho. Temu spełnieniu przypatrywali się z dołu dwaj starzy rybacy. Milczeli. Łysy westchnął. Obaj z powrotem skierowali wzrok na sterczące spławiki swoich wędek. Przy nich stał bocian na jednej nodze. Dziób schował pod skrzydło. Drzemał. Stary z czerwonym znamięm na twarzy powolnymi cęciami szczyryka zaczął przepoławiać robaki w puszcze po konserwach. Słońce oświetliło piętno na jego twarzy. Wyglądało to upiornie i groźnie. Był zachód słońca. Umierał dzień. Wszystko wyglądało groźnie. Woda zagorzała krwawym blaskiem. Siwa łąka nadrzeczna z bezwładnie porzucanymi ciałami ludzi wy-

glądała jak pole bitwy w której nie było zwycięzcy. Gdzieś płakała dziewczynka z warkoczykiem ozdobionym czerwoną kokardą. Słońce schowało się w zaroślach po drugiej stronie rzeki. Rozdzwoniły się dzwony kościołów na skarpie. Biły na wieczorne nabożeństwo. Dymiła cementownia.

Marek NOWAKOWSKI

Archiwum polityczne

Wolność czy równość?

W ciekawym widowisku telewizyjnym pt. „Wolność wyboru” ekonomista Milton Friedman zastanawiał się nad bardzo starą i bardzo aktualną sprawą: „Wolność versus Równość”. 180 lat temu i chyba przez cały wiek XIX te dwa hasła wykrzykiwano jednym tchem i nikomu nie przychodziło do głowy, by je sobie przeciwstawiać. Wypisywano je na tych samych sztandarach i oddawano za nie życie na barykadach. Było to zrozumiałe, ponieważ po przeciwnej stronie stali ponurzy strażnicy odeszłych w złą niepamięć reżymów, dla których obydwa ideały — i ten równości i ten wolności — były jednakowo znieprawione. Właśnie dlatego dławili pragnienia swobód, żeby ludzie nie byli sobie równi¹. No i odwrotnie. Przy utrzymywaniu nierówności czyli takim układzie stosunków międzyludzkich, w którym przywileje materialne przydzielane są jednym, a odejmowane drugim, skuteczniej można sprawować kontrolę nad podwładnymi.

Były to więc czasy ideowego zaangażowania, które nie budziły refleksji u ludzi, którzy chcieli walczyć ze złem. Nie tylko wolność i równość harmonijnie ze sobą współgrały, ale również ich antytezy — niewola i społeczne zróżnicowanie. Wszystko to razem układało się w wyraźnie zarysowany czarno-biały schemat.

Ale z upływem lat i przemianami przemysłowo-społecznymi tudzież migracją ludów stopniowo zaczęło się wszystko zmieniać,

1. Jeśli czytelnikom nasuwa się myśl, że dla odtworzenia tej rzekomo zamierzchłej scenerii nie trzeba się koniecznie cofać do XIX stulecia, ale wystarczy przypatrzeć się praktykom niektórych państw, których obywatele są zniewoleni i bardzo sobie nierówni, to oczywiście będą mieli rację. Ale ja nie te przykłady mam na myśli i poruszany w tytule temat dyskutuję w ogólnym kontekście.

LESŁAW JUREWICZ

ZBRODNIA

CZY POCZĄTEK WOJNY DOMOWEJ

*Pierwsza książka o wojnie domowej z komunizmem
w Polsce w latach 1943-1952*

Rok 1943 i następne. Armia Krajowa, Gwardia Ludowa Polskiej Partii Robotniczej. Narodowe Siły Zbrojne usiłują zniszczyć tyranie w zarodku. Walki bratobójcze. Sowiecy partyzanci po stronie Gwardii Ludowej. Bezpośrednia interwencja wojsk NKWD i Czerwonej Armii. Pomimo olbrzymiej przewagi komuniści wojny nie wygrali. Podziemie z własnej woli zaprzestało walki i rozwiązało większość oddziałów leśnych i placówek. Tylko nieliczne uległy zniszczeniu lub rozproszeniu. Siły Zbrojne Polskiej Partii Robotniczej i interwencja sowiecka wprowadziły do walki artylerię, broń pancerną i lotnictwo. Ostatnie oblavy: wiosna 1956.

Bogata dokumentacja i dwie mapy sporządzone przez Sztab Główny Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego w Warszawie.

Do nabycia u autora:

Lesław Jurewicz

528 West 111th Street

New York, N.Y. 10025, U.S.A.

Cena wraz z przesyłką \$ 12.

Wysyłka poza Stany Zjednoczone pocztą lotniczą.

a dawne schematy, w których ucieleśniały się tradycyjne hasła minionego już dawno półtorawieczna, zatraciły ostrość konturów. Na domiar złego nic tu nie odbywało się zgodnie z zasadami symetrii, które są wyraźnie na bakier z procesami historycznymi. Choć więc zaczęto dostrzegać, że wolność i równość nie zawsze ze sobą harmonizują; że przeciwnie, często popadają ze sobą w konflikty, bynajmniej nie kolidują ze sobą ich antytezy — czyli polityczne tyranie wespół z ostrym podziałem klasowym — na materialnie uprzywilejowanych i pariasów. Współistnienie ze sobą tych cech społecznych okazało się niezmiernie trwałe i przeżyło wszystkie epoki do czasów, w których żyjemy, kiedy przeciętnie częściej niż dwa razy do roku celebrytuje się w ONZ narodziny nowego narodu. W praktyce wygląda to tak, że o ile bardzo łatwo jest stworzyć lub dopuścić do powstania krajów, w których nie ma ani wolności ani równości, o tyle powołanie do życia systemu, zapewniającego wszystkim wolność i równość, jest problemem na pograniczu kwadratury koła. W tych warunkach pragmatycy proponowali zapewne, żeby jednego i drugiego było w miarę. Niestety, realizacja tego rozsądnego z pozoru postulatu — jak przekonamy się w toku dalszych rozważań — napotyka na karkołomne trudności. Jest rzeczą oczywistą, że nie można mówić o absolutnej wolności, ponieważ moja wolność kończy się tam, gdzie zaczyna się wolność drugiego. „Równość” natomiast limitować w ten sposób nie można, bo ludzie nie mogą być trochę równi, tylko albo równi albo nierówni. Jeśli by ktoś chciał „równość” dozować, to wylądowałby na słynnym powiedzeniu Orwella ze „Zwierzęcego folwarku”².

No tak, ale można przecież postulat równości zminimalizować w tym sensie, żeby z niej całkowicie nie zrezygnować, a tylko zmniejszyć „nierówność”. Na przykład poprzez redystrybucję

2. „Wszystkie zwierzęta są równe, ale niektóre równiejsze” — jak ogłosiły rządzące Folwarkiem świni. Mój pogląd na sprawę „równości” — jeśli się ją rozumie nie jako zrównanie wobec prawa, ale dosłownie, przedstawilem w artykule „O neo-amerykańskim neoegalitaryzmie” nr 340/341 *Kultury*. Orzekanie zaś równości w sensie absolutnym implikuje przypisywanie ludziom, że są „tacy sami”, co znowu bynajmniej nie jest intencją neoegalitarystów. Ale czy rzeczywiście nie jest? Wychodząc poza obręb super drażliwych spraw etnicznych, zastanówmy się nad tymi, którzy w imię „zrównania praw” kobiet usiłują w USA — wbrew różnicom fizjologicznym i anatomicznym — przybrać kobiety w mundury policjantów, patrolujących ulice amerykańskich metropolii, uniformy straży ogniowej oraz oddziałów wojskowych, przeznaczonych do walki frontowej. Obecnie w armii USA jest pewna ilość kobiet. Nie pamiętam jaka, ale utkwiała mi jedna liczba podana przez przedstawiciela Pentagonu, występującego w amerykańskiej TV. 9% kobiet, służących w wojsku amerykańskim, jest w ciąży. Nie lekceważąc szczytnego powołania macierzyństwa, nie podobna zaprzeczyć, że ciąży i poród kolidują z ewentualnymi obowiązkami kombatantkami.

dochodu narodowego. Nie tylko między bogatymi a biednymi, żyjącymi w Stanach czy w krajach Zachodu w ogóle, ale pomiędzy krajami zamożnymi a zacofanymi (które przez grzeczność nazywamy „krajami w rozwoju”, chociaż najczęściej wcale się nie rozwijają). Takie właśnie propozycje są wysuwane, przy czym uderza tu jeden niezmiernie charakterystyczny akcent. Kładzie się coraz większy nacisk nie na to, że rozmaite kraje kapitalistyczne, mimo swoich uderzających wad, potrafią ludzi nakarmić, odziać, a nawet zapewnić rozrywki. To wszystko nas nie cieszy — powiadają liberalni moralisci — przeciwnie — napełnia nienawiścią do ustroju, w którym elita zagrabia miliony, a liczne rzesze (nikt ich dokładnie nie obliczył) albo spycha się na margines społeczny, bo nie ma dla nich miejsca w produkcji i usługach, albo stawia się w sytuacji, że nie opłaca się im pracować, ponieważ więcej dostają w drodze publicznego wsparcia. To właśnie prof. Brzeziński napisał w miesięczniku *Foreign Policy* w roku 1973: „Równość stała się potężnym moralnym bodźcem naszych czasów, który można przyrównać do roli jaką odegrała idea wolności w XIX wieku”. Jak w praktyce można było czynić zadość aspiracjom ludów i stworzyć maksymalnie egalitarne społeczeństwo, które by zarazem było wysoce produktywnie — na to pytanie prof. Brzeziński nie próbował dać odpowiedzi. Natomiast praktyczny pokaz uegalitarniania Ameryki dał w kilka lat później jego zwierzchnik, którego, według uporczywych pogłosek, sam prof. Brzeziński „wytypował” niegdyś na „swojego” Prezydenta. Tu wypada zaznaczyć, że cała rzecz bynajmniej nie poczęła się w roku 1976, ani nawet w 1973, ale znacznie wcześniej w okresie administracji Kennedy’ego. Najbardziej zaangażowani szermierze egalitaryzmu musieli sobie oczywiście zdawać sprawę, że zadanie, które przed nimi stoi, to nie tylko zmniejszenie różnic w dochodzie, ale utrzymanie maksymalnej wydajności społeczeństwa w produkcji i świadczeniu usług. Żeby coś równo podzielić, trzeba przede wszystkim mieć co dzielić. A wiadomo, że im czegoś jest mniej, tym trudniej jest równo dzielić.

Jedyną znaną doktryną, która zaprogramowała ustrój, który rozwijając siły produkcyjne, miał rzekomo niwelować różnice klasowe, likwidując powoli instytucje państwa (a więc równość i wolność — jednocześnie), był socjalizm w wydaniu Marksa. Jego jedyną praktyczną wersją był i jest sowietyzm, który okazał się całkowitym zaprzeczeniem wydumanych ideałów. Jak dotychczas innej doktryny nikt nie opracował, aczkolwiek marksizm ma wielu interpretatorów i chyba jest co najmniej z 50 albo i więcej „marksizmów”. Nawet najbardziej lewicowo usposobieni egali-

taryści (którzy w latach 70-tych zaczęli nazywać się liberałami) nie wystąpili z propozycją wprowadzenia systemu sowieckiego w Stanach. Nie tylko dlatego, że naraziliby się podobną propozycją na kompromitację, ale i dlatego, że sami nie chcieli u siebie sowietyzmu. Nie byli oni i nie są komunistycznymi agentami. Są po prostu ludźmi oddanymi sprawie równości społecznej, której zaprzeczeniem jest ustrój sowiecki, o czym oczywiście neoegalitaryści wiedzą i czego nie ukrywają.

Co wobec tego należało czynić skoro sowietyzm nie był dla nich żadną alternatywą? Należało maksymalnie zsocjaldemokratyzować amerykański kapitalizm³. Podobne cele przyświecały neoegalitarystom Zachodu. Zsocjaldemokratyzowanie polegało na tym, żeby przy zachowaniu fundamentów kapitalizmu — a więc maksymalnie nieskrępowanej inicjatywie prywatnej — dokonać takiej redystrybucji dochodu narodowego, by kapitaliści i pracujący dla nich robotnicy zarabiali mniej, natomiast, żeby podnieść dochody tzw. biedoty — to jest ludzi niezdolnych do pracy, niechętnych pracy lub też takich, którym pracować się nie opłaca z uwagi na opiekę Państwa. Proces w tym kierunku — poczęty po zakończeniu prezydentury Trumana — trwał nieprzerwanie poprzez administracje Kennedy'ego, Johnsona, Nixona, Forda, by w okresie swego apogeum za rządów Cartera wywołać zdecydowany protest najliczniejszej w Stanach Zjednoczonych klasy średniej, z której kieszeni czerpano najobficiej na finansowanie tej wysoce szlachetnej imprezy. Ona też przyczyniła się w walnie do wyboru Reagana.

Ponieważ celem tutejszych liberałów była i jest ochrona interesów „biedoty”, wypada się zastanowić, ile jej było za czasów Kennedy'ego i ile jej jest obecnie, w chwili kiedy staje się ofiarą cięć budżetowych obecnego prezydenta. Otóż sądzę, że cyfry

3. Myślę, że słowo „zsocjaldemokratyzowanie” kapitalizmu najwierniej oddaje treść tych przeobrażeń, których gorącymi wyznawcami są w Ameryce ludzie typu Johna Galbraitha. To, że w Stanach nie ma masowej Partii Socjaldemokratycznej, nie stanowi przeszkody, ponieważ siedliskiem tych tendencji są liberałowie obydwu partii — z tym, że Partia Demokratyczna ze swymi liberalno-lewicowymi politykami jak Edward Kennedy, senator McGovern, Fullbright i szereg innych, którzy stracili mandaty w ostatnich wyborach, gromadziła w swych szeregach znacznie większą liczbę zwolenników amerykańskiej odmiany socjaldemokratyzmu. W krajach skandynawskich, a przede wszystkim w Szwecji i Danii, od kilkudziesięciu lat zasady „socjaldemokratyzowania” kapitalizmu zostały, o ile mi wiadomo, wprowadzone w życie bardziej programowo — powiedziałbym bardziej ostentacyjnie. Towarzyszyła temu czasem przesadnie akcentowana wrogość do „kapitalistycznej” Ameryki, w której odbywały się pod inną polityczną firmą analogiczne, choć może nie tak daleko idące, procesy jak w Szwecji (por. artykuły Andrzeja Koraszewskiego w n-rach 7/406-8/407 i 6/405 *Kultury* z r. 1981).

osób, objętych pomocą wówczas i obecnie nie są prawdopodobnie nikomu dokładnie znane. Można tylko porównywać sumy przeznaczone na opiekę społeczną (w wielorakiej formie) i wówczas i obecnie. Jeśli kwoty wydane za Cartera zmniejszy się dla celów porównawczych, uwzględniając inflację i jeśli pauperyzację mierzyć liczbą biedaków, nawet według standardu amerykańskiego, to i tak okaże się, że w ciągu ostatniego dwudziestolecia osiągnęła ona gigantyczne rozmiary. Wynikałoby z tego rachunku, że biedoty jest kilka razy więcej niż w ostatnich latach prezydentury Trumana⁴.

Tak zwanej amerykańskiej biedoty nie było zbyt wiele w początkach rządów Kennedy'ego. Do niej należała zawsze od 4 % do 6 % licząca armia bezrobotnych oraz na pewno dość pokaźna rzesza czarnych mieszkańców Południa, która rzeczywiście stanowiła warstwę pariasów i którą należało włączyć w nurt życia cywilizowanego społeczeństwa w drodze awansu społecznego, przewyżczając uprzedzenia rasowe białych południowców. Dla nich Czarni, ze swym statusem obywateli drugiej kategorii, byli częścią świata, w którym żyli od bez mała stu lat. Trzeba przyznać, że, aby ten stan zmienić, uczyniono w owych odległych już obecnie latach bardzo wiele. Był to okres bezustannych ostrych zatargów między rządem federalnym i władzami stanowymi⁵. Chodziło wówczas o to, aby czarnych obywateli zrównać z białymi. Mieli być „równi” — tak, jak ten ideał rozumiano w XIX wieku i w tych granicach, w jakich ludzie mogą być równi w tak niedoskonałym społeczeństwie jakim jest kapitalistyczna demokracja. Byli równi wobec prawa — w sądzie i przy urnach wyborczych i by nie oddzielano ich od innych ras sztucznie wznoszonymi barierami. W sumie, żeby oferować im

4. Przykładowo mogę podać że liczba osób, korzystających z pomocy społecznej (oczywiście z wyłączeniem emerytur) w samym stanie Nowy Jork wynosiła w roku 1970 — 1,8 miliona, a suma przeznaczona na ich wsparcie z samych funduszy federalnych wynosiła 3,3 miliarda dolarów. Oczywiście stan Nowy Jork, a w szczególności samo miasto, jest szczególnie skrajnym przykładem nienormalnej sytuacji zalegalizowanego próżniactwa i hodowli lumpenproletariatu, co spowodowało, że powstały tu liczne lokalne agencje, których racją bytu było i jest kultywowanie takiego stanu rzeczy. Choć więc stan Nowy Jork nie jest typowy, to biorąc pod uwagę, że od owych czasów do końca prezydentury Cartera minęło 10 lat — co stanowi tylko połowę epoki gwałtownego rozbudowywania się państwa opiekuńczego i rozrostu jego bazy społecznej — myślę, że wymieniony szacunek liczebny, choć bardzo nieprecyzyjny, nie jest przesadzony.

5. Dopiero wiele lat później federalne i stanowe biurokracje „odkryły”, że z rehabilitacji mniejszości etnicznych — czyli Czarnych i Portorykańców można nie tylko uczynić złotą żyłę, ale niezawodny pomost, wiodący do władzy. Jednym z tych „odkrywców” był właśnie James Carter.

taką samą szansę życiową jak ich białym współobywatelom⁶. Mimo wszystko tymi chwalebnyymi reformami nie da się wytłumaczyć istnienia wielomilionowej armii „biedoty”. Jej powstanie i rozrost w ciągu 20 lat tłumaczy się czymś innym. Jeśli jako biedotę klasyfikuje się wszystkich, którzy korzystają z pomocy Państwa lub stanu — i jeśli, z drugiej strony, kryteria tej pomocy liberalizuje się z każdym rokiem tak, że w jej kręgu znajduje się coraz większa liczba podopiecznych, to oczywiście mechanizm jej liczebno wzrostu jest zupełnie zrozumiały. „Biedota” była potrzebna nowemu, wyłaniającemu się w nowym kształcie państwu kapitalistycznemu, ponieważ ona stanowiła bazę społeczną nowej biurokracji amerykańskiej.

Przebieg tego procesu, który powinien być emocjonującym tematem do szerokich opracowań dla wielu socjologów, opisałem w moim artykule: „Amerykańskie refleksje powyborcze” w styczniowo-lutowym numerze *Kultury* z 1981 roku. Obecnie chcę wspomniany temat uzupełnić pewnymi uwagami.

Jak już stwierdziłem celem neoeegalitarystów nie był bynajmniej demontaż systemu kapitalistycznego. Przeciwnie, przy zachowaniu nienaruszonego fundamentu, jakim jest motyw zysku, chcieli tylko przeprowadzić jego redystrybucję, by maksymalnie zniwelować różnice w dochodach. Obiektem ich troski nie była w tych warunkach klasa robotnicza — czyli ci, którzy pracowali dla kapitalistów i którzy w Ameryce są klasą średnią. Pod tym względem również nie mieli nic wspólnego z marksizmem. Raczej troszczyli się o tych wydziedziczonych i pokrzywdzonych — a ponieważ stosunkowo najwięcej odnajdywali ich wśród Czarnych

6. Było to oczywiście na długo przedtem, zanim w Ameryce rozpoczęła się groźna akcja wypychania czarnych mieszkańców w górę, obniżania wymagań przy selekcjach i egzaminach, darzenia ich dyplomami, nadawanymi prawem kaduka. Zresztą praktyka przesuwania uczniów z klasy do klasy, bez wykazywania się postęпами w nauce, powoli objęła wszystkich uczniów w publicznych szkołach w wielkich amerykańskich miastach (głucha prowincja, jak zwykle, pozostawała w tyle za panującą modą, co jej wyszło później na dobre). W efekcie młode pokolenie Amerykanów podzieliło się ostro, jeśli chodzi o poziom osiągniętego wykształcenia, bo przecież kto chciał, to mógł zdobyć wiedzę w latach szkolnych, nawet bez żadnej dyscypliny. Ten podział zarysował się dość wyraźnie i daje o sobie znać w ostatnich latach. Biała i azjatycka młodzież, nawet po opuszczeniu publicznych szkół, zdobywała znacznie większy zasób wiadomości w porównaniu z Czarnymi lub pochodzącymi z krajów Ameryki Łacińskiej. W ten sposób ci politycy, którzy forsowali swoją wersję „równości”, doprowadzili swój ideał do żałosnego bankructwa. Zamanifestowało się to rosnącą polaryzacją nie pomiędzy bogatymi a biednymi — ale czymś znacznie ważniejszym: tymi, którzy potrafili zdobyć wymagane minimum wiedzy, i tymi, którzy pozostali analfabetami, doprowadzając przy tej okazji szkolnictwo publiczne do całkowitego upadku, z którego stara się obecnie podźwignąć.

i przybyszów pochodzących z Ameryki Południowej, oni stali się obiektem ich politycznych zainteresowań. System, w którym największy sukces materialny zdobywają ci, których los wyposażył w szczególne zdolności gromadzenia majątku, darzyli pogardą. Tolerowali go z musu i zapewne ze wstrętem gdyż wiedzieli, że nie mają innej alternatywy. Sądzieli, że potrafią go zachować, nawet przy drastycznej redystrybucji zysków, zmniejszając odium jego amoralności. Tu oczywiście tkwił ich podstawowy błąd. Ponieważ podstawowym bodźcem dla kapitalisty jest zysk, zaś dla jego robotnika — perspektywa lepszego zarobku, drenaż fiskalny bogatych i robotników czyli klasy średniej spowodował — jeśli idzie o przedsiębiorców — stopniowe osłabienie bodźców inwestycyjnych, a jeśli idzie o robotników — pogarszanie się jakości pracy. To ostatnie zjawisko datuje się w Ameryce właśnie mniej więcej od 15-20 lat czyli bez trudu można je zsynchronizować z przemianami, o których wspominałem. Okazało się, że bardzo trudno jest zsojaldemokratyzować kapitalizm, ponieważ przestaje wówczas wydajnie pracować — zaś perspektywa oddania się pod opiekę Państwa — czyli prowadzenia życia wprawdzie nie zasobnego, ale próżniaczego, choć dla wielu ambitnych nie do zaakceptowania, okazała się dość atrakcyjna dla coraz liczniejszych obywateli amerykańskich, w tej liczbie — przeważnie pochodzenia afrykańskiego.

Wstydlive unikanie w tej materii statystyk etniczno-rasowych w kraju, w którym niemal wszystkie przejawy życia poddaje się analizie statystycznej, nie na wiele się zda, ponieważ prawda jest powszechnie znana. Tak samo tajemniczą poliszynela, a zarazem pilnie strzeżonym „tabu” jest fakt, że przestępczość uliczna jest proporcjonalnie znacznie wyższa wśród tych mniejszości etnicznych, które są obecnie szczególnie faworyzowane, a więc wśród Czarnych i Latynosów — tych ostatnich zresztą przeważnie ze znaczną domieszką krwi afrykańskiej. Gdyby ktoś ośmielił się tę sprawę zilustrować cyframi, opartymi na skrupulatnym badaniu etnicznej kompozycji świata przestępczego, naraziłby się z miejsca na zarzut „rasizmu”, który w nowej obyczajowości jest najstraszliwszym moralnym oskarżeniem. Oczywiście nikt z popularnych komentatorów prasowych czy telewizyjnych nie pokusił się, by słowo rasizm rzetelnie zdefiniować. Hipokryzja jest jedną z najbardziej ponurych cech kształtującej się w ciągu ostatnich dwóch dekad obyczajowości Zachodu. Neoeegalitaryści nie zniszczyli więc kapitalizmu, natomiast walnie przyczynili się do jego coraz bardziej wadliwego funkcjonowania. Działali na gruncie typowego *contradictio in adiecto*. Myślę, że u źródła tych propozycji, których bilans odczuwa na swojej skórze obecnie Ameryka, Europa Zachodnia i Japonia, tkwiły tęskno-

ty wyzwolone w połowie lat 60-tych, które tak burzliwie poruszyły młode i nawet średnie, przeważnie inteligentne, pokolenia na całym Zachodzie. Nazywało się to wówczas ruchem „Nowej Lewicy”. Racji ekonomicznych tego ruchu nie było. Europejskie i amerykańskie *establishment*'y prosperowały nudno i monotennie, ale względnie dostatnio. Dlatego sędzę, że przyczyny ruchu były czysto emocjonalne. Chyba najbardziej chodziło o ową monotonię i zwężenie wizji świata, którą najwierniej uosabiał swymi pragnieniami francuski mieszcuch i robotnik. Mieszczucha rozszyfrować i zohydzić było łatwo, bo przeciw stereotypu jego postaci liczyły ponad 100 lat. Natomiast młodzi rewolucjoniści z Nanterre z roku 1967 mieli zupełnie błędne wyobrażenia o „klasie robotniczej”, która ich zupełnie zignorowała ponieważ — podobnie jak w całym zaawansowanym świecie kapitalistycznym — przerodziła się w warstwę średnią i w niczym nie przypomina ani komunardów, ani tych na barykadach z obrazów Delacroix. Jeżeli gdzieś jeszcze jest rewolucyjny proletariatus, to w krajach „dyktatury proletariatus”.

Z czasem ruch „Nowej Lewicy” uległ osłabieniu, ale ich hasła zostały przetrzymane przez wielu polityków Zachodu, uniwersyteckich intelektualistów i renomowanych dziennikarzy. Pierwsi potrafili w drodze ustawodawczej — szermując wciąż hasłami walki o sprawiedliwość społeczną — stworzyć w USA rozległą machinę biurokratyczną, która zaczęła żyć własnym życiem — ale niezupełnie — bo do ostatnich przynajmniej czasów działała w niemal idealnej symbiozie z dawno istniejącymi organami władzy federalnej, stanowej i lokalnej. Do pompowania pieniędzy z kieszeni pracujących — co dokonywało się w aureoli prawa — dochodził rabunek w formie tolerowania nadużyć w rozdziale pomocy społecznej. Wygodnym argumentem była teza, że kontrola nadużyć jest kosztowniejsza od poniesionych strat. Drugim pretekstem był pogląd, że kontrola uprawnionych do pomocy społecznej, która wymagała sprawdzania danych osobistych, jest wkraczaniem w życie prywatne obywateli Stanów, wobec czego sprzeczna jest z tradycjami wolności, gwarantowanymi przez Konstytucję. Tak rozwijało się niebywałych rozmiarów złodziejstwo, pod ciężarem którego załamałoby się każde biedniejsze państwo. Tym niemniej Ameryka i wiele krajów zachodnich płacą i długo jeszcze będą płacić wysoki haracz jako za służoną karę za uleganie wpływom polityków, których Zbigniew Racięski w swej korespondencji z Londynu pt. „Płoną angielskie miasta” nazywa „dobrogłupkami” (*Nowy Dziennik*, New York, z 22 lipca 1981 r.).

Ci, którzy pracowali — zagonieni ciułacze, wierzący, że „oszczędnością i pracą ludzie się bogacą” — doszli w pewnym

momencie do trafnego wniosku, że owszem — ich oszczędnością i pracą bogacą się — ale nie oni — tylko rosnąca z każdym rokiem armia pasożytów — ich opiekunów, organizatorów i politycznych protektorów. Powoli rosła fala protestu i niezadowolenia, żeby ostatecznie eksplodować w amerykańskich wyborach i udzielić mandatu nowym ludziom, którzy obiecali oczyścić stajnię Augiasza i jeśli nie zlikwidować — to ukrócić zalegalizowaną społecznie kradzież. Wszystko to w tym celu, żeby praca zaczęła się opłacać i żeby przerwać cykl postępujących po sobie pokoleń, żyjących wyłącznie z *welfare*.

Owi amerykańscy „dobrogłupkowie”, którzy starali się doprowadzić Amerykę do ruiny zarówno politycznej jak i gospodarczej — wszystko w imię tego, by ludzie byli „równi” — nie dają bynajmniej za wygraną. Z ekranów telewizyjnych i głośników radiowych (w mniejszym stopniu w prasie) podnoszą się bezustannie głosy liberalnych polityków, dziennikarzy i uczonych, kierowane do amerykańskich „prostych ludzi”, zapewniające ich, że zmniejszająca się siła nabywczą ich zarobków na skutek inflacji jest następstwem nieposkromionej żądzy bogacenia się bankierów, nafiary i potentatów przemysłowych, których zyski trzeba ukrócić. Stara to pieśń i właśnie dlatego, że stara, ów zawiedziony ciułacz, którego oszczędności pożera inflacja, powinien zadać jedno pytanie: to prawda, że bankierzy, nafiary i potentaci przemysłowi zarabiają w porównaniu z nimi kolosalne sumy, ale przecież zarabiali zawsze — nawet w latach *prosperity*, gdy małym ciułaczom powodziło się nieźle, gdy Ameryka standardem życia przodowała na świecie i gdy amerykański produkt swą jakością torował sobie bez trudu drogę na zagraniczne rynki. Więc dlaczego w ostatnich latach nastąpiło załamanie? Czy chcąc wziąć kapitalistycznego byka za rogi, neoegalitaryści nie przetrącili mu przypadkiem grzbietu? Trzeba się zdecydować. Albo należy zastąpić kapitalizm — innym systemem, który będzie produkował dużo i dzielił równiej albo, jeśli nim się nie dysponuje — umożliwić kapitalistom i kapitalizmowi korzystanie z wszystkich nikczemnych bodźców — z żądzą bogacenia się na czele. Dalsze ograniczanie ich wolności ekonomicznej (poza szeregiem istniejących od dawna zarządzeń regulacyjnych — jak ochrona naturalnego środowiska, bezpieczeństwa pracy i systemu podatków progresywnych) zniweczy kompletnie zdolności wytwórcze społeczeństwa. Oczywiście będziemy mieli wówczas idealną demokrację. Albowiem zero dzielone przez jakąkolwiek liczbę da w ilorazie zawsze zero.

Starałem się przedstawić w tym artykule pragnienia czy tęsknoty ludzi ideowych jako pra-przyczyny przemian, których przedmiotem stała się zachodnioeuropejska społeczność. Byli to prawdopodobnie ludzie, którzy wiedzieli, że gdzie indziej na świecie panoszy się nieporównanie większe zło, ale skala porównawcza ich nie interesowała. Nie chcieli wybierać między złem a gorszym. Okazuje się, że nie było to unikalną cechą Polaków czy innych ludów, których położenie bywa tak rozpaczliwe, że coraz trudniej ich zastraszyć porzekadłem, że „nigdy nie jest tak złe, żeby nie mogło być gorzej”. Zdarzyło się to właśnie w Ameryce w latach sześćdziesiątych — oczywiście w innym kontekście historycznym i w innej skali konfliktów. Tyle tylko, że nie poczęto się to w dołach; nie wśród tutejszych „czarnoroboczych” (ci, na ogół — podobnie jak w Europie Zachodniej — pozostali konserwatystami), ale wśród elity uniwersyteckiej. Gdy porównamy nieco mętne wizje uszlachetnionej Ameryki, która miała się zrodzić z politycznych aspiracji „Nowej Lewicy” lat sześćdziesiątych, z obecną rzeczywistością, to wnioski powinny doprowadzić myślących w tym kraju ludzi do stanu paniki. Dla ilustracji użyję tu dwóch cytat: pierwszej sprzed 11 laty i drugiej aktualnej, z lipca 1981 roku. Oto próbka z książki pt.: „Młodość Ameryki” („Greening of America”) Charles Reicha, profesora na wydziale prawa Uniwersytetu w Yale, jednej z najbardziej prestiżowych uczelni. „Młodość Ameryki” była w swoim czasie *bestseller*’em, a zarazem niemal że biblią amerykańskiej „Nowej Lewicy”. Co prawda krótkotrwała. *New York Times* — którego rolę i zasługi w doprowadzeniu Ameryki do obecnego, godnego pożałowania, stanu trudno przecenić — nieprzytknowo zamieścił wówczas cykl pochwalnych recenzji. Jednym z jej autorów był John Kenneth Galbraith — niezłomny rzecznik socjaldemokratycznych reform w kapitalizmie. Prof. Charles Reich, autor wymienionego dziełka, był piewą „rewolucji”, która fermentowała wtedy jak wino w głowach przytłaczającej większości profesorów i studentów amerykańskich uczelni. Tymi oto słowami autor zachwycał się nowo wyłaniającą się epoką, której wysoce nieapetycznym owocem jest dzisiejsza Ameryka:

„Rewolucja ta nie wymaga teorii. Wyrażają ją zmiany wokół nas. Zakwitanie nowego życia. Twarze ludzi są piękniejsze i łagodniejsze, a oni sami są lepsi wobec siebie. Więcej wśród nas jest uśmiechów i więcej miłości. Dla młodych ludzi świta nowa nadzieja. Ci, którzy nie mieli żadnej przyszłości, odkryli nową — trudną do wyobrażenia. To nie jest rewolucja; to odrodzenie Narodu na wyjałowionej ziemi”.

Tak pisał Charles Reich 11 albo 12 lat temu i w tym tonie była utrzymana cała ponad 250 stron licząca książka. Nie wiem czy autor ukazał się później w telewizji; czy skonfrontował swą

wizję z rzeczywistością. Byłoby to zresztą niepotrzebne, bo każdy, kto żyje w tym kraju, widzi jak wygląda „odrodzenie Narodu na wyjałowionej ziemi”. Pośrednio odpowiedział mu — nie znając zapewne jego książki — ktoś inny: Barbara Basler w artykule „Narkomani i wandalowie rujną miejskie biblioteki” (*New York Times* z 11 lipca 1981 r.). Rzecz dotyczyła nie całej Ameryki, ale Nowego Jorku. Wprawdzie biblioteki miejskie to rzecz wycinkowa, niemniej ich los jest pewnym zmiennym etapem w długotrwałym procesie rozkładu amerykańskiego społeczeństwa. Barbara Basler pisze:

„Biblioteki nowojorskie walczą już nie o swój tradycyjny spokój, ale o swe istnienie i bezpieczeństwo przeciwko narkomanom, wandalom, złodziejom i nastolatkom, którzy grożą pracownikom... W jednej bibliotece w Harlemie przy 69-tej ulicy złodzieje okradają czytelników i personel z portfeli teczek i portmonetek. Narkomani leżą często nieprzytomni lub w narkotycznym otumanieniu oddają moc, zalewając podłogi. Inni siedzą na krzesłach w kompletnym odurzeniu... W czasie dyskusji pracowników bibliotecznych na temat jak ratować biblioteki, jeden z uczestników zadał pytanie: Co począć z faktem, gdy na stole bibliotecznym, przeznaczonym do czytania, dwoje ludzi ma ze sobą gwałtowny stosunek płciowy (*violent sex*)”.

Nie jestem wprawdzie pewien co oznacza *violent sex*, ale podejrzewam, że mogło tu chodzić o zgwałcenie. Wybór do tego celu stołu bibliotecznego nie był symptomem jakiejś szczególnej perwersji. Dowodzi raczej swobody bezprawia czyli tego, że można robić wszystko i wszędzie. To, że szkoły publiczne są miejscem, gdzie nauczyciele są nie tylko atakowani ale często okaleczeni na całe życie przez wdzięcznych wychowanków, jest prawdą powszechnie znaną. Czy dotyczy to tylko mętów społecznych? Jeśli nawet — to procent tych mętów, przynajmniej w wielkich miastach, wzrasta do rozmiarów narzucających swój styl życia większości. Zresztą przypisywanie tego stylu dość niesprecyzowanej kategorii „mętów społecznych” miałyby się chyba z prawdą skoro jeden z kongresmanów nazwiskiem Jenrette (oskarżony w słynnej aferze „Abscam”) przyznał się, że miał stosunek ze swoją żoną na schodach waszyngtońskiego Kapitolu. Jeśli chcielibyśmy wysnuć wniosek, że chyba jedynym miejscem wolnym od gwałtu i bezprawia są świątynie, byłaby to też nieprawda. Mniej więcej sześć lat temu w Harlemie, w meczecie należącym do grupy wyznaniowej *Black Muslims*, zabito dwóch policjantów. Sprawców dotychczas nie skazano.

Na naradzie w biurze zastępcy prefekta nowojorskiej policji jego asystent Thomas Slade oświadczył: „Straciliśmy koleje podziemne, częściowo parki, obecnie nie możemy sobie pozwolić na to, by stracić biblioteki”. Jest bardzo trudno obliczyć na co Ameryka może sobie jeszcze pozwolić, a na co — nie. Nie-

mniej obraz przedstawiony przez Thomasa Slade był niezmiernie dyskretny, bo nie wspominał ani słówkiem o ulicach nowojorskich, o szkołach, miejscach publicznych rozrywek. Chyba jedyną pocieszającą rzeczą jest zjawisko zdecydowanego rozbudzenia się opinii publicznej, która zaczęła domagać się ochrony elementarnych praw ludzkich, między innymi bezpiecznego chodzenia po ulicach miast, a nie tylko ochrony pierwszej poprawki do Konstytucji — czyli wolności słowa, wyznań, przekonań politycznych i zgromadzeń, o których bez przerwy bębnią amerykańskie TV i który to temat niemiłosiernie młóci prasa.

Opinia przed długie lata niemal modląca się do narodowego bohatera Johna F. Kennedy'ego, sięgnęła do źródeł zła jakim jest „socjaldemokratyczny kapitalizm”. Z tego powodu przepędziła z Kongresu najbardziej skrajnych liberałów i oddała rządy neokonserwatystom, których światopogląd w wysokim stopniu uosabia prezydent Reagan⁸. Przepraszam — zapyta ktoś — ale co ma wspólnego „socjaldemokratyczny kapitalizm” z upadkiem szkół, rosnącą zbrodnią i w ogóle rozkładem tego kraju i jego moralnym i materialnym rozbrojeniem? Ma. Chociaż oczywiście związek przyczynowy nie jest taki prosty, ani na pierwszy rzut oka oczywisty. Albowiem „przeróbka” amerykańskiego i w ogóle zachodnioeuropejskiego kapitalizmu, mająca u swych źródeł neogalitarne założenia, tworzyła określoną ideologię i wcielała w życie pewne wysoce humanitarne zasady, które przekreślały wszelką społeczną dyscyplinę, blokowały działanie prawa, a pospolitych zbrodniarzy nakazywały traktować jak niegrzeczne dzieci, które wymagają rozbudowanej opieki wychowawczo-redukacyjnej. Z kolei realizowanie owych zasad przyczyniało się do wzrostu biurokracji. Wszystko to razem tworzyło sprzężenie zwrotne ze znakiem dodatnim. Przyczyny powodowały skutki, które z kolei stawały się przyczynami, przy czym cykl przyczynowo-skutkowy postępował coraz dalej. Z punktu widzenia interesów zbiurokratyzowanej demokracji kapitalistycznej był to proces nader pożądanym. Ale ten typ kształtowanego społeczeństwa wręcz z ideologią neogalitaryzmu tworzył nową obywatelstwo, której nie podobna wyczerpująco scharakteryzować w ramach tego artykułu. Dlatego ograniczę się do niektórych cech i zjawisk najbar-

8. Przy okazji tych przemian występuje dość typowe w takich sytuacjach zjawisko przepędzania diabła tym razem nie Belzebubem ale Archaniołem Gabrielem. Mam tu na myśli nader wybujałe ambicje ruchu tzw. „Moralnej Większości”, która pragnęłaby, żeby Ameryka była nie tylko potężna, moralna i pobożna, ale także, żeby modliła się na ich własne — czyli „Moralnej Większości” kopyto, a więc według ich receptury. Na szczęście „Moralna Większość”, choć wysoce, a nawet w nadmiarze, moralna nie ma za sobą większości i nawrót super-purytanizmu i potop święcanej wody Ameryce nie grozi. Inne niebezpieczeństwa są bliższe i realniejsze.

dziej typowych dla amerykańskiej społeczności ostatniego dwudziestolecia.

Jeśli pragnie się „zrównać” ludzi w tym znaczeniu, jakie temu wyrażeniu nadają neogalitaryści — a więc z pominięciem zróżnicowania talentów, pracowitości i poczucia obowiązku — z konieczności musi nastąpić degradacja społeczeństwa, ponieważ, jak to słusznie zauważył Andrzej Koraszewski w cytowanym przeze mnie artykule „Pacta sunt servanda” (*Kultura* nr 6/405), następuje „gloryfikacja przeciętności”. Jeśli tak to wygląda w Szwecji, to w Ameryce przedstawia się jeszcze gorzej, ponieważ przy wieloetniczności i wielorasowości tutejszej ludności i ogólnie większej ignorancji niż w Europie, „przeciętność” oznacza miernotę. Tempo flotylli, poruszającej się po oceanie, nadaje najwolniejsza jednostka. Jeśli tej najwolniejszej jednostce zechce się stanąć — staje cała flota. Takie skutki w przenośni pociąga za sobą zasada mechanicznej równości. Prawdopodobnie dlatego zjawisko rozluźnienia więzi socjalnych i paraliżu społeczeństwa jest bardziej uderzające w tak skądinąd malowniczym kraju jakim są Stany (oczywiście „malowniczym” nie w sensie krajobrazowym), niż w Szwecji.

O ile jednak — używając tu określenia Koraszewskiego — „społeczeństwo wdrożone do biurokratycznych miar równości” wprowadza Szwecję na drogę coraz większych trudności gospodarczych, to analogiczne cechy, występujące w Stanach, nie doprowadziły jeszcze do katastrofy z dwóch przyczyn: po pierwsze dlatego, że Ameryka jest znacznie zasobniejszym krajem od wszystkich mocarstw skandynawskich razem wziętych. Po drugie — że podjęto ostatnio zdecydowane kroki, żeby ten katastrofalny kurs odwrócić. Niestety, nie jest to tylko sprawa polityki gospodarczej czy finansowej. Albowiem owe „biurokratyczne miary równości” stały się częścią światopoglądu tzw. sfer oświeconych, promieniując na rozległe sektory społeczeństwa. Innymi słowy, trzeba wykazać opinii publicznej jak dalece groźna i samobójcza dla dalszego istnienia narodu jest równość mechaniczna. To zaś jest niezmiernie trudne i w amerykańskiej grze politycznej o władzę wysoce ryzykowne⁹. Z tego powodu

9. Widzimy to wyraźnie w postępowaniu Reagana. Przywódcy organizacji murzyńskich, wspierani przez całą liberalną lewicę, uznali za normę, że czarnym obywatelom Ameryki przysługują specjalne przywileje w przyjmowaniu na rozmaite stanowiska i w dopuszczaniu do studiów. Tę ostatnią zasadę usankcjonował zresztą kilka lat temu Sąd Najwyższy. To, że liczba Czarnych, przyjmowanych na stosunkowo lepiej płatne posady, jest niższa w porównaniu z liczbą Azjatów lub Białych z przyczyny ich gorszego przygotowania lub mniejszych uzdolnień — nie jest w ogóle brana pod uwagę. W każdym razie jest to temat z gatunku „tabu”. Zanizona liczba Czarnych w jakimkolwiek atrakcyjnym zawodzie jest symptomem rasizmu. Koniec.

nawet najbardziej trzeźwi i widzący grozę położenia ludzie z obecnej administracji okazują w tym wypadku lęk, by pewne sprawy przedstawić bez osłonek tak jakimi one są. Część amerykańskiej opinii publicznej została zbyt „gruntownie” w ciągu ostatnich kilkunastu lat „upupiona” by móc ją ignorować.

Drugą cechą, którą Andrzej Koraszewski zaobserwował w Szwecji, a którą bez trudu można odnaleźć w Ameryce, jest hipokryzja. Ściśle biorąc, nie jest to ten sam rodzaj hipokryzji, ponieważ wspomina on o „dwojmyśleniu” w zastosowaniu do „życiowego sukcesu”, który się potępia, ale do którego się dąży. Otóż to zjawisko w Stanach nie występuje. Sukcesu tu nikt nie potępia. Hipokryzja manifestuje się w polityce. Myślę, że nikt jej lepiej nie uosabiał niż sam ex-prezydent Carter¹⁰.

Kropka. Wychodząc z tego założenia, przepycha się czarnych kandydatów, zmieniając rygory egzaminacyjne, by ułatwić im dostanie się do pewnych zawodów. Przykładem: nabór kandydatów do policji nowojorskiej. Jak dotychczas, Reagan ani jednym słowem nie wspomniął, że władze federalne zamierzają położyć kres dyskryminacji Białych. Nie uczynił tego nie tylko w obawie zrażenia sobie wpływowych czarnych organizacji. W nie mniejszym stopniu liczy się z amerykańskimi *mass media*, które wszczęłyby wówczas niesłychaną wrzawę, oskarżając Prezydenta o rasizm. Reagan stara się od czasu do czasu zabiegać o względy tej czy innej organizacji murzyńskiej, zresztą z nikłym skutkiem. Prezydent Reagan nie może zdobyć sobie popularności wśród Czarnych, nawet gdyby im otwarcie schlebiał (czego nie robi). Przyczyna leży w tym, że obecnie rządzące skrzydło Partii Republikańskiej stara się podważyć fundamenty „socjaldemokratycznego kapitalizmu”, z którego dobrodziejstw korzystali przede wszystkim czarni i portorykańscy obywatele Ameryki i ich polityczni opiekunowie.

10. Osobista charakterystyka Cartera nie byłaby może szczególnie ważna, gdyby nie pokutujący wciąż wśród publiczności błędny pogląd, iż Carter, jakkolwiek był miernotą, stanowił typ naiwnego poczciwca. Nic bardziej dalekiego od prawdy. Carter, którego krokami kierowała wyłącznie żądza władzy i pragnienie powtórnego wyboru, okazał w pełni swą hipokryzję w czasie długotrwałego kryzysu, związanego z zaaresztowaniem personelu Ambasady USA przez władze irańskie. Powtarzając niezliczoną ilość razy, iż celem jego jest ratowanie zakładników, ale nie kosztem honoru Ameryki, postępował wręcz odwrotnie. Po wypędzeniu Szacha z granic Ameryki i wystaraniu się dla niego o bardzo wątpliwy azyl w Panamie jego szef sztabu Hamilton Jordan, nawiązał sekretny kontakt z ówczesnym ministrem spraw zagranicznych Gotzbadekiem, z którym prowadzono pertraktacje. Celem tych pertraktacji była ekstradycja Szacha — w zamian za wypuszczenie zakładników. Wprawdzie prawo Panamy nie zezwalało na wydanie jakiegokolwiek zbiega do kraju, w którym istniała kara śmierci, niemniej w wypadku przedłożenia przez Iran wniosku o wydanie Szacha, rząd Panamy obiecał go zatrzymać w areszcie. Zaaresztowanie Szacha, nawet bez wydania go sądom irańskim, byłoby wielkim osobistym sukcesem Gotzbadeka, który wiązał z tym jakieś polityczne plany i obiecał Jordanowi wydanie zakładników. Czy mógłby dotrzymać obietnicy — rzecz wątpliwa, ale dla Cartera cała transakcja warta była ryzyka, chociaż tak bardzo na sercu leżało mu rzekomo dobre imię Ameryki. Tylko Dawidowi Rockefellerowi i Henry Kissingerowi — którzy dostarczyli samolotu Szachowi, dosłownie na kilkanaście godzin przed wydaniem decyzji jego aresztowania, należy przypisać to, że Szach nie

Ponieważ jednym z fundamentów „socjaldemokratycznego kapitalizmu” jest priorytet ochrony praw człowieka, ten właśnie element musiał być przez Cartera szczególnie mocno akcentowany. Pierwszym obiektem aplikowania ideologii socjaldemokratycznej były Stany Zjednoczone ze wszystkimi skutkami, które starałem się przedstawić. Ale Carterowi, który był człowiekiem bardzo chwiejnym, lecz niezmiernie czułym na punkcie swego autorytetu, szczególnie zależało, aby amerykańskiej publiczności przedstawić wizerunek prezydenta o żelaznej konsekwencji. Z tego prawdopodobnie powodu „troska o prawa obywatelskie” wtargnęła do polityki zagranicznej Stanów. Ponieważ w praktyce nie można było jej stosować bez naruszenia interesów Ameryki, Carter nie zdążył spowodować nią zbyt wielu szkód.

Cóż miała znaczyć walka o swobody obywatelskie, która stać się miała kamieniem węgielnym polityki zagranicznej Cartera? Czy jakiegokolwiek państwo lub naród może i powinien stawiać sobie misjonarskie cele ulepszenia świata? Nie sądzę, żeby to było możliwe i potrzebne. Jeśli Zachód wyszedł bardzo źle na oddaniu Europy Wschodniej Sowiety, to nie chodzi tu tylko o łamanie przez Sowiety umów, w których solenne dotrzymywanie przez Kreml politycy typu Cartera czy Vance'a — a dawniej Roosevelta — naiwnie wierzyli, ale o to, że nie dbając o losy ludów wschodnioeuropejskiej strefy, działali na własną szkodę. Hasło: „Za naszą i waszą wolność”, powtarzane dziesiątki razy w historii, choć brzmiał niesłychanie podniosłe, zawiera zwykłą pragmatyczną treść. „Bronimy waszej wolności, by zachować własną”. Ameryka nie zdradziła żadnych ideałów wolnościowych, wchodząc w sojusz wojskowy z Sowiety, by rozbić nazistowskie Niemcy i Japonię. Gdyby bowiem pozostawiła Sowiety samym sobie, nie zdołałaby zniszczyć państw osi. Natomiast działała przeciwko własnemu interesom od chwili, gdy mając wszystkie atuty w rękę (łącznie z monopolem na broń atomową) zezwoliła na wzrost potęgi sowieckiej.

Obecnie, po wielu latach gorzkich zawodów — gdy kolejne sny o pokojowym współżyciu, o obłaskawianiu Sowiety przez oferowanie im kredytów towarowych i technologii oraz naiwna wiara w złagodzenie Kremla przy pomocy *détente* — jedne po drugim doznały fiaska — znaleźli się wreszcie w Ameryce ludzie u władzy, którzy pojęli, że spośród wielu czynników zdrada

został aresztowany. Trzecią osobą, która ochroniła Stany Zjednoczone przed hańbą był Anwar Sadat — chyba jedyny mąż stanu na świecie, którego postępowanie nacechowane jest odwagą, politycznym realizmem i który potrafi zachować honor. Jak wiadomo, Anwar Sadat udzielił Szachowi bezterminowego azylu w Egipcie.

Wschodniej Europy przyczyniła się bardzo wydatnie do tego, by zepchnąć Amerykę na skraj przepaści. Żeby uchronić Polaków, Węgrów, Czechów, Litwinów i Bałtów od losu, który ich spotkał, kolejne rządy amerykańskie nie musiały się wcale o nich troszczyć, ani za nich walczyć. Wystarczyłoby, gdyby myśleli o sobie. Oczywiście, że myśleli o sobie, ale myśleli głupio i krótkowzrocznie. A tu trzeba było mieć po prostu więcej pomysłu i wyobraźni.



Wielu historyków i pisarzy nurtuje myśl: Jak to się dzieje, że, wbrew dotychczasowym doświadczeniom, warstwy elitarne, które pewien porządek społeczny — zły lub dobry — wysunęły na szczyty i które tradycyjnie w przeszłości były jego strażnikami i obrońcami, obecnie pretendują do roli grabarzy? Oczywiście „elita” nie jest terminem jednoznacznym. Pierwszy podział, który się nasuwa — to na elitę finansową i intelektualną. Tych, którzy znaleźli się w stratyfikacji społecznej na szczycie z racji potęgi pieniądza lub posiadanej wiedzy. Jeśli chodzi o ten pierwszy rodzaj elity, to przypomina się tu wielokrotnie cytowana (choć nie wiem czy autentyczna) wypowiedź Lenina o owym sznurze, który kapitaliści sami rządowi ZSSR dostarczają, by ich na nim powiesić. Tu Lenin skonstatował po prostu ich głupotę i krótkowzroczność. Wszelako opinia twórcy Państwa Sowieckiego — mimo, iż fakty ostatnich dziesiątków lat zdają się ją potwierdzać — nasuwa rozmaite wątpliwości. Najważniejsza: czy i w jakim stopniu kapitaliści rządzą państwami Zachodu i w jakiej mierze dyktują politykę zagraniczną. Nie lekceważę wpływów finansjery, wielkich potentatów nafty, stali czy rozbudowujących się nowych gałęzi przemysłu, ale jakkolwiek jest ich wpływ na losy zachodniego świata, wątpię czy mieli oni ostateczny głos w decyzjach, by Sowiety faszerować nowoczesną amerykańską technologią, dzięki której Breżniew stworzył najpotężniejszą siłę zbrojną w dziejach świata. To był chyba właśnie ów „leninowski sznur”. Miejmy nadzieję, że okaże się zbyt krótki. Wersja, przedstawiająca rządy zachodnie jako marionetki w rękach kapitalistów, która nie odpowiadała rzeczywistości XIX wieku, nie pasuje tym bardziej do drugiej połowy XX stulecia. W Ameryce władza jest zdecydowanie podzielona, choć podzielona nierówno. Można by nawet rzec, że jest rozproszona. Głos mają oczywiście — zwłaszcza w ostatnich latach — rząd i biurokracja federalne i stanowe, finansjera, przemysł, kościoły, związki zawodowe, środki masowego przekazu, organizacje, reprezentujące faworyzowane grupy etniczne oraz elita umysłowa, w

skład której wchodzi uniwersytety. W nich celebrytuje się socjaldemokratyzm, a często bardziej radykalne światopoglądy, oscylujące w kierunku rozmaitych odmian komunizmu, nie mówiąc już o pacyfizmie i antymilitaryzmie¹¹. Wreszcie do czynników, decydujących o kierunkach polityki USA wliczyć trzeba najważniejszy, choć w ostatnich czasach niedoceniony — opinię publiczną. Opinię publiczną wymieniłem dlatego na końcu, bo, choć decyduje ona w wyborach amerykańskich kto zasiądzie w Białym Domu i w Kongresie, przyzwyczajono się uważać ją za całkowicie amorficzną, której kształt nadają najwybitniejsi, lub całkiem niewybitni ale odznaczający się siłą perswazji, komentatorzy telewizyjni czy dziennikarze i publicyści. W ten sposób uznano, że opinia publiczna właściwie nie liczy się jako samodzielna siła, decydująca o losach Ameryki, ponieważ jest zdalnie lub z bliska kierowana przez śmietankę amerykańskiego intelektu. Bo tak się akurat złożyło i to chyba nie przypadkiem, że opinia, panująca w środowiskach uniwersyteckich wspierała na ogół te same idee polityczne, które rozpowszechniały stacje TV jak NBC, ABC i CBS. A treścią tych idei była dalsza ewolucja kapitalizmu w kierunku socjaldemokratycznym. W ten sposób amerykańskie *mass media* funkcjonowały w koncercie z elitą akademicką, z tym, że po jednej i drugiej stronie, jak to zwykle bywa, były wyjątki. Dlatego bliski prawdy będzie wniosek, że ostatnie wybory były rozgrywką między elitą intelektualną tego kraju a opinią publiczną. W tym starciu wyszło na jaw, że opinia publiczna posiada swój głos — głos zdrowego rozsądku, który podyktował jej starą i bynajmniej nie odkrywczą prawdę: „Jeśli 'równość' rozumieć i forsować będziemy w ten sposób, by zrównać wszystkich, bez względu na ich uzdolnienia, pracowitość i rzetelność w wykonywaniu obowiązków — i jeśli te wszystkie starodawne, ale wiecznie aktualne cnoty nie będą wynagradzane w ten sposób, by stanowiły zachętę do pracy i lepszego bytu — to w ostatecznym efekcie doznamy klęski, a kraj nasz spotka katastrofa”.

U podstaw tej konkluzji tkwi niewiara w doskonałość natury ludzkiej. Ta z kolei implikuje przekonanie, że nie można stworzyć systemu słabo produktywnego, w którym ludzie, kierowani szlachetnością i braterską miłością bliźniego, dzieliliby skąpy

11. Tym dwóm ostatnim kierunkom nadaje się, rzecz jasna, charakter uniwersalny. To znaczy, że wyznawcy rozbrojenia z pewnością głosiliby swe poglądy z taką samą siłą przekonania na Placu Czerwonym w Moskwie i w murach uniwersytetów sowieckich, gdyby dysponowali jakimikolwiek praktycznymi możliwościami. Ale ponieważ tych możliwości nie mają, rozpowszechniają swoje idee na uczelniach amerykańskich lub zachodnio-europejskich, zostawiając Breżniewa i jego marszałków w spokoju.

bocheneczek chleba sprawiedliwie i po równej kromeczce. Że przeciwnie — taki system przyniesie nie tylko tyranie, ale jeszcze bardziej rażącą nierówność niż ta, którą skażony jest najbardziej konserwatywny kapitalizm.

Lud w przeszłości mylił się nieraz okropnie, moszcząc drogi klęskom i katastrofom. Ale tym razem — tu w Ameryce — tak się zdarzyło, że lud miał rację.

Zbigniew BYRSKI

Nowy Jork, 4 sierpnia 1981 r.

Korespondencja z Rzymu

„STRZEŻONEGO PAN BÓG STRZEŻE”

Niemal natychmiast po przybyciu w połowie sierpnia do Castelgandolfo Papież rozpoczął spotkania z tłumami wiernych, przemawiając dwa razy w tygodniu z balkonu pałacu. Rekonescencja nie przeszkadza mu w przyjmowaniu ponadto dużych grup pielgrzymów i oglądaniu wystawianych specjalnie misteriów sakralnych. Jednak aparat policyjny jest wzmocniony, na dachach domów otaczających plac przed rezydencją papieską widać dyskretnie rozstawionych uzbrojonych strażników i osoby wkraczające na dziedziniec (zorganizowane grupy pielgrzymów) podlegają kontroli. Obawy nie znikły.

SPÓR W WATYKANIE O TEILHARDA DE CHARDIN

Z okazji setnej rocznicy urodzin Pierre'a Teilhard de Chardin kardynał Casaroli, Sekretarz Stanu, wystosował 9 czerwca br., w imieniu Papieża list do biskupa Pouparda, rektora Instytutu Katolickiego w Paryżu. List nosi datę 12 maja, czyli przeddzień zamachu na życie papieża. List oddaje hołd wielkiemu jezuitcie, którego dzieło, polegające na „śmiałej próbie syntezy” wiary i rozumu, religii i nauki, nadało „trwałe piętno naszej epoce”. Kardynał Casaroli wychwala jego „upartą wolę dialogu z nauką ówczesnych czasów, jego nieustraszonego optymizmu w stosunku do ewolucji świata”. I wyraża nadzieję, że uroczyste obchody w dn. 20 września br. setnej rocznicy urodzin sławnego uczonego i teologa, które odbędą się w Instytucie Katolickim, w UNESCO, w Muzeum Nauk i Notre-Dame w Paryżu, staną się okazją do

„pobudzającej konfrontacji z różnymi kulturami naszych czasów”. Równocześnie Casaroli nie omieszczał zaznaczyć, że „niezwykłe dzieła” francuskiego jezuita powinny być przedmiotem „krytycznych i spokojnych badań zarówno na płaszczyźnie naukowej, jak i filozoficznej i teologicznej”.

Treść tego listu, doceniona tu, zwłaszcza przez Towarzystwo Jezusowe, wywołała pozytywny oddźwięk również w środowiskach laickich jako jeden z widomych znaków, że otwarcie Jana Pawła II do świata nauki i kultury nie pozostało martwą literą. Radio Watykańskie nadało duży rozgłos zbliżającej się rocznicy, a dziennik katolicki *Avvenire* stwierdził 10 lipca: „List kardynała Casaroliego — trzeba podkreślić — eliminuje wszelkie wątpliwości na temat możliwych błędów doktrynalnych w dziełach Teilharda de Chardin”. List natomiast nie spodobał się kilku kardynałom (podobno było ich aż 10), głównie włoskim kurialistom, których określa się tu potocznie jako „prawicę kurialną”. Bardziej poprawnie należałoby ich nazwać tradycjonalistami kroczącymi utartym szlakiem i obawiającymi się „podejrzanych” innowacji. Napisali oni list do Papieża, domagając się wobec twórczości Teilharda de Chardin potwierdzenia werdyktu, wydanego 30 czerwca 1962 roku przez Kongregację Doktryny Wiary (dawniej Święte Oficjum). Kardynałowie ci, łącznie z Seperem, 76-letnim prefektem Kongregacji Doktryny Wiary (przewidziana jest wkrótce nominacja jego następcy) stwierdzili, że jeśli *Monitum* z 1962 roku nie będzie niezwłocznie potwierdzone, wszyscy w Kościele poczną się „bardziej wyzwoleni”, z wielkim uszczerbkiem dla doktryny wiary. „Wyzwolenie” należy w tym przypadku rozumieć jako uwolnienie ze sztucznych pęt wiążących wiarę w stosunku do nauki.

Atak na Casaroliego, wymierzony pośrednio w samego Papieża, który przecież list Sekretarza Stanu aprobował, spowodował wydanie 11 lipca komunikatu przez watykańskie biuro prasowe. Komunikat ten przypomina „dwuznaczności i poważne błędy doktrynalne” w dziełach Teilharda de Chardin, wytknięte przez *Monitum* i stwierdza, że list kardynała Casaroliego nie stanowi rewizji poprzedniego stanowiska Stolicy Apostolskiej, ponieważ wyraża również „zastrzeżenia”, które nie różnią się od tych, które zawierały dokument z 1962 roku. Te rzekome zastrzeżenia odnoszą się faktycznie (w liście Casaroliego) jedynie do stwierdzenia, że „złożoność problematyki badanej (przez T. de Chardin) nasunęła trudności, które słusznie uzasadniają krytyczne i spokojne studium”. W tych słowach nie można doszukać się niczego innego jak tylko zachęty do przewyżczenia istniejących jeszcze trudności.

Niektórzy tutejsi eksperci osądzili komunikat watykański, powstały na skutek bardzo silnych nacisków kurialnych, jako cenzurę w stosunku do listu Sekretarza Stanu. Tego rodzaju cenzura, stwierdza jeden z wybitnych watykanistów, biorąc w obronę kardynała Casaroliego, „podważa wiarygodność stosun-

ku Kościoła do nauki". Nie można wykluczyć, że sprawcy tej „cenzury” wykorzystali długą nieobecność Papieża w Watykanie do zaatakowania pozycji kardynała Casaroliego, w obawie o nadmierne jej wzmocnienie. Sprawa zaś uczczenia pamięci znakomitego uczonego i teologa posłużyła im jako pretekst. Tak czy inaczej wyrządzili obiektywną szkodę pontyfikatowi, lekce sobie ważąc, iż Papież nie zaniedbuje żadnej sposobności, by z wielką koherencją odpowiadać w praktyce na własny apel sprzed trzech lat (cytowany *nota bene* w liście do bp. Pouparda): „Nie bójcie się, otwórzcie wszystkie drzwi Chrystusowi, rozległym dziedzinom kultury, cywilizacji, rozwoju”.

Pozdrawiając 6 września pielgrzymów z kraju (dwie grupy „Solidarności” ze Śląska i Krakowa) Papież powiedział m.in.: „... Nie możemy zapomnieć o doniosłych wydarzeniach, jakie miały miejsce przed rokiem w Gdańsku, Szczecinie i innych częściach Polski, oraz o tym zgromadzeniu, zjeździe, który rozpoczął się w tych dniach, zjeździe 'Solidarności', w pierwszą rocznicę wydarzeń zeszłorocznych. Myślę, że (okrzyki po słowacku) ... zawsze kiedy mówię po polsku, mam na myśli naszych braci Słowian, którzy mówią nieco innymi językami, ale wzajemnie łatwo się porozumiewamy. I ich też pozdrawiam: Słowaków, Czechów, wszystkich. Myślę — nawracając do przerwanej wątku — że te wydarzenia sprzed roku trzeba, zwłaszcza teraz, na początku września, głęboko związać z wydarzeniami sprzed 42 lat, o których mówiłem w poprzednią niedzielę, ze wspomnieniem początku wojny, która właśnie na naszej granicy się zaczęła. Ze wzruszeniem dowiedziałem się, że przywrócono na Westerplatte — wiadomo, że było to jedno z pierwszych punktów tego naruszenia granicy Rzeczypospolitej — że przywrócono na Westerplatte krzyż, który tam stał. W ubiegłą niedzielę wspominałbym jakże liczne ofiary, które ostatnia wojna pochłonęła pośród naszego narodu, 6 milionów ludzi, zarówno na frontach, jak i w więzieniach i przy innych okolicznościach (dodał wtedy „obozach koncentracyjnych” — przyp. mój). Jak gdyby wielkie żniwo śmierci. Otóż jesteśmy przekonani, że to wielkie żniwo śmierci to był i jest nasz wkład potwierdzający wolę życia i prawo do życia, do życia własnego jako naród, który ma swoją kulturę, własną kulturę, swoją podmiotowość, swój sposób widzenia spraw społecznych, spraw godności ludzkiej pracy. To wszystko jest dziedzictwo potwierdzone tym wielkim wkładem ofiary poniesionej w czasie drugiej wojny światowej. Po prostu, ten wielki wkład w prawo do niepodległego czyli suwerennego bytu państwowego. To musimy zawsze uświadamiać sobie na nowo i przypominać. Ja o tym mówiłem przed rokiem i powtarzam to teraz i przypominam właśnie w kontekście wydarzenia z pierwszego września 1939. I trzeba dodać, zawsze dodawać, że posza-

nowanie tego prawa, naszego narodu, tak jak i każdego narodu, jest warunkiem ładu międzynarodowego i pokoju na świecie...”.

W czasie uroczystej mszy św. w katedrze w Oliwie w dn. 5 września, inaugurującej pierwszy krajowy zjazd delegatów NSZZ „Solidarność”, kazanie wygłosił Prymas Polski, abp Józef Glemp. Oto fragmenty tego kazania według tekstu spisane go z taśmy magnetofonowej: „Przyjmując szaczytne zaproszenie 'Solidarności' przychodzę w poczuciu mego biskupiego i prymasowskiego posłannictwa, a także z potrzeby serca, ażeby krzepić wasze serca. Zdajemy sobie wszyscy sprawę z wagi wydarzenia jakim jest zjazd 'Solidarności'...”

Zechcieliście rozpocząć zjazd od mszy św. nie dlatego, że to ceremonia, ale dlatego, że większość z was to ludzie wierzący... Tych zaś, którzy nie umieją odnaleźć w sobie życia wiary, a którzy mnie teraz słuchają, pragnę prosić aby wnioski płynące z naszych rozważań przyjęli życzliwie w duchu owej solidarności, która zakłada ludzkie braterstwo... Ruch 'Solidarności' ma na celu obronę świata pracy, robotnika, a jednocześnie deklaruje swoją służbę wobec społeczeństwa i przypomina innym instytucjom konieczność służby. Jaka jest różnica między pracą a służbą? Za pracę otrzymuje się płacę, a praca i płaca obwarowane są przepisami. Ma między nimi zachodzić ścisła korelacja. Na ile pracy, na tyle zapłaty. Natomiast inaczej rzecz się ma ze służbą, w rodzinie, zawodach społecznych, służbie publicznej... Chrześcijaństwo doradza i zaleca nam służbę wobec bliźniego i społeczeństwa, służbę to znaczy pozostawienie jakiejś niedopłaty za wysiłek, za trud. Jeśli chcemy naprawdę ulżyć społeczeństwu, wspólnemu dobru, czy to Kościół, czy rząd czy 'Solidarność', zawsze musimy mieć przed oczyma to pojęcie służby, a więc ową niedopłatę... Gdy zabraknie inspiracji ewangelicznych, wtedy oczekuje się nadpłaty. I stąd mieliśmy w tak niedawnych czasach, że za jakąkolwiek służbę narodowi domagano się nadpłaty i stąd powstawały owe skandale, których tak jaskrawo doświadczyliśmy w minionym okresie. Właśnie na tle tych skandalicznych wynaturzeń społecznych wyrósł z gniewu ludu wasz ruch, który deklaruje służbę... Chciałbym zwrócić uwagę na słowo, które w ostrych dyskusjach nad reformą i sposobem zaradzeniu złu ginie gdzieś w szpaltach zaduszone innymi słowami. To słowo, ojczyzna, wymaga służby... Musimy przywrócić sens temu słowu... Musimy z uporem prostować te błędy, które zakorzeniły się w naszym społeczeństwie i wloką się w tym, co domaga się radykalnego odwrócenia ku odnowie, ku umoralnieniu. Kochać ojczyznę to znaczy budować, organizować wyżywienie i produkcję wspólnie, wytrwale, nie zważając że mali ludzie o ciasnych horyzontach chcą temu czasem przeszkadzać. Dopiero przez rzetelną miłość ojczyzny możemy odnieść się z poszanowaniem i przyjaźnią do innych narodów. Dziś tak bardzo nam po-

trzeba przyjaźni narodów. Musimy czuć się Europejczykami, bo przecież od narodów Europy tyle otrzymaliśmy i tyle im dawaliśmy. To jest wielki nasz honor i wielka pozycja w rodzinie narodów. Czuć się Europejczykami, bo przecież jesteśmy w tej kulturze europejskiej głęboko osadzeni... Podejmujecie się dziś historycznego dzieła. Ma ono kształtować sytuację ludzi pracy, a także przyszłość naszej ojczyzny. Rozpoczynacie wezwaniem imienia Bożego w tej katedrze, z którą łączy się wspomnienie historyczne pokoju oliwskiego. Całe społeczeństwo oczekuje, że i nasz zjazd będzie negocjowaniem tego pokoju, który zaczął się w ub. roku w stoczni gdańskiej, a który jest potrzebny i krajowi i Europie. Dlatego też wizja chrześcijańskiej miłości ojczyzny, która otwiera się miłością do innych narodów, jest bardzo potrzebna i wam i każdemu z nas. Życzę 'Solidarności', aby zjazd przyniósł oczekiwane i upragnione owoce pokoju i ładu w Polsce...".

OTWARCIE DOMU POLSKIEGO JANA PAWŁA II

Uroczystości otwarcia Domu Polskiego w Rzymie — a właściwie oficjalnego przekazania tego ośrodka jako daru Papieżowi (Dom bowiem czynny jest już od roku) — odbędą się w dniach 6-8 listopada bież. roku. Kardynał Wł. Rubin, przewodniczący Rady sprawującej nadzór nad całokształtem działalności związanej z Domem Polskim, zawiadomił o tym Komitety Krajowe, które w ciągu dwóch lat zbierały fundusze na ten cel w 24 krajach. Kardynał Rubin zaprosił przedstawicieli poszczególnych komitetów na te uroczystości. Akcja zbiórki na zakup Domu Polskiego przyniosła w efekcie około 2,5 mln dolarów. W samych Stanach Zjednoczonych parafie, organizacje polonijne i poszczególni ludzie przekazały ok. 2 mln 200 tys. dolarów. Komitet w USA działał pod patronatem kardynała J. Króla i przewodnictwem kongresmana K. Zabłockiego. Nazwiska ofiarodawców tysiąc dolarowych (ponad 200) będą umieszczone na tablicy pamiątkowej. Przewiduje się utworzenie Fundacji Domu Polskiego Jana Pawła II, która będzie starać się o środki utrzymania i sprawować nadzór programowy i finansowy nad działalnością tej nowopowołanej placówki polskiej. Program uroczystości obejmuje: 6 listopada — akademię z udziałem artystów polskich z kraju i emigracji, 7 listopada — audiencję papieską i akt przekazania ośrodka Papieżowi, 8 listopada — mszę św. dziękczynną w bazylice watykańskiej. Z okazji uroczystości listopadowych przewidziane są wycieczki pielgrzymów polskich z różnych krajów.

W uroczystościach przekazania Domu weźmie udział Prymas Polski abp Józef Glemp. Działalność Domu podzielona jest zgodnie z życzeniem Ojca Świętego na trzy sektory: duszpasterski — pod kierunkiem Ojca K. Przydatka S.J., administracyjny: ks. K. Sokołowski i kulturalny: dr. S. Grygiela. W wywiadzie dla

Religious News Service ks. Przydatek oświadczył, że aczkolwiek ośrodek ten nie rozwiąże problemu zakwaterowania pielgrzymów (dysponuje pomieszczeniami dla ok. stu osób), to „polepszy” znacznie sytuację. Nad profilem działalności kulturalnej Domu ma zastanowić się we wrześniu grupa osób zaproszonych przez dr. S. Grygiela. Z kraju ma przyjechać m.in. bp M. Rechowicz, prof. A. Święcicki z ATK i J. Woźniakowski, dyr. wydawnictwa „Znak”, a z emigracji prof. F. Gross i prof. P. Wandycz (USA).

DELEGACJA WŁOSKICH SYNDYKATÓW NA ZJEJZDZIE „SOLIDARNOŚCI” W GDAŃSKU

W zjeździe „Solidarności” w Gdańsku uczestniczyła delegacja włoskich syndykatów pod przewodnictwem sekretarza generalnych trzech central związkowych: Lama — CGIL, Carniti — CISL i Benvenuto — UIL. Lama, członek kierownictwa partii komunistycznej (PCI), oświadczył w wystąpieniu powitalnym: „Włoska federacja związkowa była jedną z pierwszych, które bez wahania poparły powstanie 'Solidarności'. Uczyliśmy to w imię demokracji i udziału pracowników w życiu społecznym, co dotąd w Polsce było uniemożliwione. Uważamy, że 'Solidarność' wnosi wielki wkład do procesu odnowy systemu socjalistycznego w Polsce”. Największe owacje na zjeździe zebrał (obok delegata syndykatów Jugosławii) Benvenuto, który powiedział m.in.: „Wasza dojrzałość polityczna, zdobycie nowych praw, prawa do strajku i swobód indywidualnych i zbiorowych, charakter waszej walki, otworzyły nowe perspektywy dla narodu polskiego... Żaden akt przemocy nie mógłby odwrócić biegu historii bez sprokowania ostatecznych rozłamów i poważnych niebezpieczeństw dla całego świata... 'Solidarność' stanowi część polskiej struktury, istotny składnik dynamiki społecznej i politycznej, czego nikt nie może ignorować”.

Po powrocie do Rzymu Benvenuto udzielił wywiadu *Corriere della Sera*, w którym oświadczył m.in.: „to co nastąpiło w Polsce na płaszczyźnie jedności związkowej jest bez precedensu w świecie... 13 i pół miliona pracowników na 35 milionów mieszkańców oznacza, że praktycznie biorąc wszyscy polscy pracownicy przystąpili do nowego syndykatu. ... Nasze syndykaty mogą się dużo nauczyć od Solidarności. U nas ruch związkowy jest oczywiście bardziej zaawansowany, ale wykazuje mniej jedności, mniej realizmu, mniej nowoczesności i konkretności, aniżeli polski ruch związkowy... W sensie ekonomicznym dla polskiego syndykatu demokracja znaczy samorząd mający na celu przecięcie kryzysu gospodarczego; potrzebne są duże ofiary, ale syndykat chce współdecydować o tych ofiarach i wiedzieć czemu mają służyć...”

Pisane 8 września 1981 r.

DominiK MORAWSKI

Kraj

Rozkład partii i państwa

W rok po przesileniu społeczno-politycznym w Polsce z lata 1980 roku następuje rozkład partii i państwa.

W kraju panuje głód, przemysł produkuje o 12,5 % mniej niż w pierwszym półroczu ubiegłego roku, płace wzrosły o 25,1 %, szaleje galopująca inflacja, przed niemal pustymi sklepami i kioskami stoją długie kolejki w nadziei na dostawę żywności, papierosów lub proszku do prania. Najdłuższe kolejki tworzą się przed sklepami z alkoholem. Państwo polskie jest bankrutem w oczach swoich obywateli i wierzycieli zagranicznych. Partia straciła wszelki moralny tytuł do władzy. Pozostała jej tylko smutna rola nadzorcy interesów sowieckich. Sowiety są zresztą ze swego nadzorcy niezadowolone i nie bardzo wiedzą, co z nim począć i komu oddać władzę w PZPR.

Walka o władzę toczy się bowiem w partii nadal, mimo że komuniści doprowadzili do sytuacji, w której zrozpaczone i zdesperowane społeczeństwo może po prostu zacząć ich wieszać. Władza jest dla komunistów jedyną świętą sprawą, nawet jeśli są świadomi bankructwa systemu. Utrata władzy oznacza bowiem nicość, czyli po prostu sytuację, w której znajduje się większość społeczeństwa. A tego losu nie chcą dzielić z narodem strażnicy interesów sowieckich. Nie dopuszczają do wpływu na gospodarkę i politykę bezpartyjnych fachowców, sami wyłaniając coraz gorsze i mniej kompetentne ekipy. W nowym kierownictwie partii i w prezydium rządu nie ma *ani jednego ekonomisty*, który miałby powszechny autorytet społeczny.

Nadzwyczajny zjazd partii z punktu widzenia „odnowy” i „naprawy” nie przyniósł niczego. Przyniósł rezultaty rozweselające, przyprowadzające o wisielczy humor. Zjazd odebrał partii wszelkie nadzieje na szacunek i autorytet społeczny. Dokonano na nim

pod wpływem nacisku społeczeństwa i dołów partyjnych rzezi niekompetentnych i obarczonych odpowiedzialnością za błędy aparatczyków. Wybrano jednak władze składające się z równie niekompetentnych i manipulowanych robotników, chłopów, wojskowych i tych aparatczyków, którzy zrećcznie ustawili się w sojuszu ze zwyciężcą zjazdu — Stanisławem Kanią. W sumie więc „demokratyczny” zjazd partii, której członkowie nie mieli szans na zespolenie się w mniejszych grupach orientacyjnych, był parodią demokracji. Sama tajność wyborów o niczym jeszcze nie świadczy. Zagubienie demokratycznie wyłonionych, ale politycznie mało zorientowanych delegatów najlepiej wyraziło się w tym, że bili brawo mówcom o całkowicie odmiennych poglądach. Pozornie tylko „cięli po skrzydłach”, a w istocie dopuścili do usunięcia z władz partyjnych niemal wszystkich umiarkowanych nawet liberałów, natomiast wybrali wielu działaczy, będących marionetkami w rękach skrzydła nacjonalistycznego i partyjnej konserwy. Po zjeździe w partii mówi się, wygrała centroprawica, a więc centrowe kierownictwo z Kanią w symbiozie z konserwatywnym i nacjonalistycznym aparatem. Przejawem słuszności tej tezy jest nie tylko obecność w Biurze Politycznym Albina Siwaka, która zbulwersowała szerokie kręgi społeczne, ale także wybór do Komitetu Centralnego osławionego antysemitę Walichnowskiego i kilku podobnych mu typów z wojska i bezpieki. Najpopularniejszy na zjeździe mówca, wicepremier Rakowski, dostał się tylko do Komitetu Centralnego. Mówił zbyt inteligentnie, by mógł wejść do kierownictwa partii. Zabawne, że wierząca w demokrację w komunizmie prasa zachodnia po przemówieniu Rakowskiego widziała w nim już kandydata na I sekretarza partii. Ciekawy był sposób w jaki utracono z Komitetu Centralnego takich ludzi jak Ney, Fiszbach czy Jagielski. Na sali obrad kolportowano po prostu ulotki, że są Żydami. „Demokratyczny zjazd” pozwolił się więc manipulować konserwie i nacjonalistom, bez żadnego wahania poświęcając ludzi umiarkowanych czy liberalnych. Nie ulega wątpliwości, że szef partii Kania i jego otoczenie nie mieli nic przeciwko takiemu rozwojowi sytuacji. Można więc bez obawy większej pomyłki stwierdzić, że delegaci na zjazd, nowy Komitet Centralny i I sekretarz Kania „cięli” głównie po skrzydle demokratycznym i reformatorskim, niwecząc ostatecznie wszelki autorytet partii i jej zdolność do stworzenia programu przewyżniającego kryzys polski, najgłębszy kryzys w historii komunizmu. Tego życzyli sobie zresztą nadzorcy sowieccy, nie bardzo świadomi tego, że wypadki w Polsce będą rzutowały przez lata na cały blok wschodni i stanowią wydarzenie o nie dających się jeszcze w pełni przewidzieć konsekwencjach dla systemu komunistycznego.

Zwycięstwo Stanisława Kania na zjeździe nie było bynajmniej pewne od początku. Pomogło mu kilka okoliczności dość przypadkowych. Przede wszystkim list przywódców sowieckich do polskiej partii, który spowodował zwołanie przed nadzwyczajnym zjazdem specjalnego plenum KC. Kania nie dał się tym listem zastraszyć. Po prostu dobrze wiedział, że groźniejszy dla niego jest nacisk pragnących zmian dołów partyjnych i całego społeczeństwa niż nacisk Moskwy. Nie zrozumiał tego eksponent prawicy partyjnej Grabski, zaatakował linię Kania i straciwszy zupełnie autorytet wyeliminował się z gry o władzę. Kania atak Grabskiego bardzo pomógł. Zrównoważył on w pewnym sensie banalne przemówienie szefa partii i jego absurdalną próbę, by wybór I sekretarza odbył się na początku, a nie na końcu zjazdu. Pozycja Kania była więc niepewna, ale atak na niego skrajnej konserwy, w kontekście listu Moskwy, brutalnie sprzeciwiającej się reformom, ustawił I sekretarza w pozycji centrowej i umiarkowanej. Zdobywszy tę pozycję Kania podyktował zjazdowi taki skład najwyższych władz partyjnych, który musiał zadowolić Moskwę, bo nie było w nim reformatorów. I tak Rosjanie bez wielkiego przekonania pogodzili się z rezultatami zjazdu partii polskiej. Zgoda ich jest jednak częściowa i tymczasowa. Z władz partyjnych odpadło bowiem wielu aparatczyków cieszących się zaufaniem Moskwy. Jednocześnie zaś jest zupełnie oczywiste, że zwycięzcy zjazdu nie są w stanie sprostać pogłębiającemu się kryzysowi w kraju. W pewnej mierze wynika to zresztą także z presji Moskwy. Panicznie boi się ona jakichkolwiek reform. Od roku już wiąże w tej sprawie ręce Kania i skazuje go na upadek, a Polskę na katastrofę. Rosjanie jednak wolą rozgardiasz w Polsce niż wprowadzenie reform, których powodzenie postawiłoby pod znakiem zapytania sposób sprawowania władzy w całym obozie wschodnim. Taktyka rosyjska byłaby słuszną, gdyby kryzys w Polsce nie był tak głęboki. Ale kryzys osiągnął już takie stadium, że jesteśmy w przededniu rozruchów głodowych, a partia i państwo są w stanie rozkładu. Moskwa będzie więc musiała zmienić linię wobec Polski. Pytanie tylko, czy nie nastąpi to za późno, czy wcześniej nie dojdzie do tragedii i wojny domowej? Chwilowo bowiem towarzysze „radzieccy” jak słychać wezwali Kanię i Jaruzelskiego na kolejną „rugatielną” rozmowę. Sowieci zdają się stale jeszcze nie rozumieć, że Kania bardziej od tych rozmów, których odbyła się już przecież cała seria, boi się gniewu milionów Polaków stojących przed pustymi sklepami w niekończących się kolejkach.

Rozkład partii polskiej wiąże się z kilkoma faktami, które warto sobie uzmysłowić. „Demokratyczny zjazd”, złożony z ludzi dość przypadkowych, zachował swą władzę i mandat do końca

kadencji, co może przynieść jeszcze różne niespodzianki. Złożony w większości z ludzi przypadkowych, a w części z najsprytniejszych aparatczyków Komitet Centralny stanowi także pewną niewiadomą polityczną, zważywszy, że kryzys w kraju nieustannie się pogłębia. Łatwiej było wykosić wszystkich, lub prawie wszystkich winnych, trudniej będzie ponosić odpowiedzialność za wyjście z kryzysu. Wielki, choć także po części przypadkowy zwycięzca zjazdu — Stanisław Kania — ma więc słabe oparcie w obu wspomnianych gremiach partyjnych. Łatwo byłoby zdyskredytować go zarówno w oczach delegatów, jak i Komitetu Centralnego. Sprawa rzekomego listu Gomułki o odpowiedzialności Kania za strzelanie do robotników w 1970 roku nie została do końca wyjaśniona. Być może listu takiego nie ma, ale mówi się o innych dokumentach w tej sprawie, które gdy zajdzie potrzeba mogą ujrzeć światło dzienne. W końcu trudno przypuścić, że Kania, który zarówno w końcowym okresie rządów Gomułki, jak i w czasie całych rządów Gierka był czynny na wysokich i najwyższych szczeblach władz partyjnych, jako jedyny zachował niewinność. Pamiętajmy też, że Kania do końca był wierny Gierkowi, a jego główny rywal w obecnym kierownictwie partyjnym, Olszowski, potrafił wcześniej odskoczyć od przegrywającego przywódcy. Olszowski odseparował się także w porę od Grabskiego, mimo że reprezentował postawę bardzo zbliżoną. Zjazd partii, jak już powiedzieliśmy, „wycinał” działaczy liberalnych, był natomiast nader łaskawy dla konserwatywnych, jeśli tylko stworzyli alibi do uznania ich za centrowców. W rezultacie Kania ma nawet w swoim własnym, niemal monopolistycznym kierownictwie partii, rywala. Poza tym, poświęcając lwią część aparatu partyjnego, stracił w nim mir i jest coraz głośniej krytykowany.

Zarówno liberalne jak i konserwatywne skrzydło partii znalazło się w większości poza Komitetem Centralnym. Nie zmienia to faktu, że obydwa te skrzydła istnieją i działają i nie zamierzają puścić płazem zbyt łatwego i przypadkowego monopolu władzy w rękach Kania. Najsłabsza konserwa partyjna zorganizowała się w słynnych terenowych organizacjach frakcyjnych, nazywających się: „Forum partyjne”. Kierownictwo grozi im likwidacją, ale chwilowo zdaje się być na to za słabe. Można więc stwierdzić, że PZPR rozpadła się na wiele członów, a liczni jej dawni przywódcy mają powody do goryczy i chęci rewanżu. Wśród zwycięskich „centrowców” wpływy konserwy muszą być wielkie, skoro nie dopuściła ona nie tylko do KC, ale nawet na stanowisko ministra spraw zagranicznych tak względnego liberała i człowieka nieco naiwnego, jakim jest Józef Tejchma. Wielu ludzi nie może zrozumieć, dlaczego przy obecnym centrowo-prawicowym nastawieniu delegatów na zjazd do Komitetu Central-

nego nie wszedł Mieczysław Moczar, duchowy ojciec wszystkich obecnie wygrywających i przegrywających czołowych działaczy PZPR. Moczar ubrał się wszakże w szaty zrównoważonego i pełnego umiaru seniora partii, który nie jest wcale taki antysemitki, jak można by wnosić z wydarzeń roku 1968, który natomiast chce wypalić rozgrzanym do białości żelazem gierkowską klikę złodziei i oszustów. Moczarowi bardzo było do twarzy w tych nowych szatach i zdawało się, że zyskuje na popularności, aż ktoś nietaktownie przypomniał mu, że corocznie wnosił jako prezes NIK-u o absolutorium sejmowi dla ekipy Gierka i Jaroszewicza. Ten jeden cios wystarczył, by pełen godności senior partii, zasiadający we wszystkich Komitetach Centralnych od założenia PPR-u, tym razem nie został wybrany do KC. A przecież przegrana Moczara stanowi kłękę dla oddanych mu nacjonalistów z nomenklatury w rodzaju Kazimierza Kąkola i innych. Inny jeszcze odłam przegranych i żądnych odwetu działaczy wysokiego szczebla reprezentuje Franciszek Szlachcic, którego nawet nie wybrano delegatem na zjazd. Mógł on przypomnieć o swojej egzystencji politycznej tylko dzięki temu, że z zadowoleniem zeznawał przed tzw. Komisją Grabskiego, powołaną do ujawnienia przewinień poprzedniego kierownictwa.

Spróbujmy podsumować te wszystkie szczegóły. PZPR pozbyła się z centralnego kierownictwa i aktywni ludzie nastawionych liberalnie i reformatorsko i to w momencie, gdy oficjalnie zapowiada się od roku wielkie reformy. Oznaczałoby to, że reformatorami mają być przeciwnicy reform. Nie wróży to krajowi niczego dobrego. W partii powstały natomiast dwa konkurencyjne układy: złożony z robotników, chłopów i największych spryciarzy Komitet Centralny oraz olbrzymi aparat centralny i terenowy, w którego oczach obecny Komitet Centralny jest czymś sztucznym, obcym i wrogim. Wreszcie poza władzami partii i poza głównymi członkami jej aparatu terenowego uformowało się skrzydło najbardziej konserwatywne w postaci „Forów partyjnych” w różnych okręgach, które zdążyły się już sfederalizować. Poza wspomnianymi członkami głównymi, na które rozpadła się PZPR, istnieją jeszcze odłamy mniejsze, skupione wokół byłych luminarzy reżymu. Do tych skomplikowanych układów personalno-politycznych należy dodać jeszcze jeden czynnik, który zdaje się odgrywać coraz większą rolę. Chodzi o wojskowych, którzy za protekcją Jaruzelskiego lub jeszcze inną dostają się na czołowe stanowiska partyjne i państwowe. Aż pięciu wiceministrów obrony zostało członkami Komitetu Centralnego, szef wywiadu wojskowego dostał tekę ministra spraw wewnętrznych, a niedługo co drugi minister będzie byłym generałem. Wysocy oficerowie wdają się chętnie w rozmowy i twierdzą, że przez dziesiątki lat

aparat partyjny spychał ich na margines, a w wojsku jest wielu zdolnych i wybitnych ludzi. Społeczeństwo nie ma powodu wątpić w ich zdolności, ale chciałoby znać ich poglądy. Sam Jaruzelski uchyla się od jasnego zajmowania stanowiska, jego dawni generałowie a obecnie ministrowie także nie odosłonił jeszcze przyłbicy. Z pewnością wojskowi są mniej zdemoralizowani niż aparat administracyjny i partyjny, ale nikt nie wie, kto rzeczywiście za nimi stoi i jaka jest ich orientacja.

Rozkład partii i państwa w Polsce jest faktem. Zwlekający przez rok Kania i jego ekipa wiedzą, że cierpliwość społeczeństwa już się wyczerpała. Protesty społeczne związane z drastycznymi brakami zaopatrzenia w podstawowe artykuły żywnościowe i powszechnego użytku zmuszają kierownictwo partii i państwa do podjęcia jakiejś decyzji. Dalej zwlekać już się nie da. Kania i Jaruzelski stanęli przed wyborem. Mają dwie możliwości: albo zdecydować się na reformy, których pragnie społeczeństwo, albo pójść na konfrontację z tymże społeczeństwem, podnosząc ceny rynkowe bez przeprowadzenia głębszych reform. Wiele wskazuje na to, że Kania boi się poważniejszych reform, głównie dlatego, że przeciwni im są Rosjanie. Czując swoją bezradność może „rzucić się w konfrontację” ze społeczeństwem. Popycha go do tego centrowo-prawicowy skład obecnych władz partyjnych, konserwa stojąca poza władzami partyjnymi i Sowiety. Wreszcie brak jasnej koncepcji reformy stwarza sytuację, w której kunktatorstwo można zamienić tylko na starcie ze społeczeństwem. Nie mam żadnych wątpliwości, że Kania starcie to przegra, a jego przeciwnicy polityczni z prawa i lewa postarają się wyzyskać jego ewentualną przegraną. Ale otwarte starcie partii i społeczeństwa z „Solidarnością” na czele może być dla kraju bardzo niebezpieczne, może grozić rozlewem krwi. Należy doceniać determinację społeczeństwa w tej walce. Naród jest już zmęczony kolejkami, brakiem wszystkiego i widmem głodu. Partia i jej polityka, jej nieudolność zaczęła budzić silne negatywne emocje. Błędne posunięcie gospodarcze może doprowadzić do nieszczęścia.

Naturalnie z ekonomicznego punktu widzenia podwyżka cen jest jedyną drogą aby uniknąć zniszczenia gospodarki przez inflację. Przeprowadzenie wielkiej podwyżki wymagałoby jednak dobrego rozeznania sytuacji społecznej poszczególnych warstw i odłamek społeczeństwa. Partia nie ma takiego rozeznania. Dwa razy już radykalne podwyżki dokonane bez rozeznania gospodarczo-społecznej sytuacji społeczeństwa doprowadziły do obalenia rządzących ekip politycznych. Kania dobrze o tym wie, ale jest eksponentem obozu, chcącego ze względów politycznych sprowadzić reformy systemowe do minimum. W podwyżce cen widzi więc jedyną drogę do osiągnięcia względnej stabilizacji rynku.

Jest to jednak droga nadzwyczaj niebezpieczna, mimo wszystkich tricków socjotechnicznych z ewentualnym referendum włącznie.

Stanisław Kania ma w oczach narodu polskiego tylko jedną zasługę, tę mianowicie, że nie dopuścił do zastosowania siły w czasie strajków w 1980 roku i później. Poza tym I sekretarza stać było tylko na zwlekanie i stwarzanie różnych taktycznych pozorów jedności narodowej, w którą nikt nie wierzył. Jeśli Kania zejdzie z drogi wyrzeczenia się siły, to nie tylko przegra w swojej ulegającej rozkładowi partii, ale podobnie jak inni dotychczasowi przywódcy PRL okryje się w oczach Polaków hańbą. Kania i kierownictwo PRL stoją przed najważniejszymi bodaj decyzjami od czasu sierpniowych strajków 1980 roku. Mierni ludzie mają podjąć wielkie decyzje. Odłożyć ich już nie można.

Jan KOWALSKI

Czego nam trzeba? — czyli rzecz o Polsce

*O! nieszczęśliwa, o! uciemiężona
Ojczyzno moja — raz jeszcze ku tobie
Otworzę moje krzyżowe ramiona,
Wszakże spokojny — bo wiem, że masz w sobie
Słońce żywota.*

Słowacki

I

Dzięki wyjazdowi z PRL mam wreszcie sposobność spokojnie przeczytać od deski do deski ostatnie numery *Kultury*, która — mimo wszystkie odnowy i liberalizacje — w Kraju nadal stanowią może nie tyle owoc zakazany, co trudno dostępny frykas, pilnie czytany w kilku nieledwie bibliotekach i niemal równie pilnie zatrzymywany przez pocztową cenzurę, gdy tylko przesyłka zmierza na prywatny adres. Czytam więc wnikliwie i spokojnie, bez tej dręczącej świadomości, że następnego ranka będę musiał pożyczyć numer *Kultury* oddać kolejnemu wyczekującemu czytelnikowi.

Nie jest zapewne rzeczą dziwną, że wiele tekstów tu publi-

kowanych zajmuje się analizą zmian w Polsce, ich charakterem i perspektywami, możliwością i niemożnością — co jest o tyle ciekawe, iż tych ostatnich nikt chyba nie potrafił być dokładnie przewidzieć a rozwój sytuacji w wielu punktach zaskoczył nawet bardzo śmiałych optymistów. Lecz sytuacja w Kraju stale jest — by tak rzec — *in statu nascendi*; to, co wczoraj jeszcze było zakazane bądź niemożliwe, dziś staje się faktem a jutro jest już tak oczywistą rzeczywistością, że nikt się jej nie dziwi i nie zadaje już jałowych pytań o granice dopuszczalnych zmian czy wytrzymałość sowieckiej tolerancji. Zaiste, ciekawy kraj ta Polska.

Warto zwrócić uwagę jeszcze i na to, że właśnie *Kultura* obfituje ostatnio w analizy polskiej rzeczywistości pisane bez jakichkolwiek cenzur i obaw, bez eufemizmów i aluzji i drążące problem do dna samego. I tu *Kultura* dystansuje piśmiennictwo powstające w Kraju, które — jak w wypadku pism związkowych — bardziej zorientowane jest informacyjnie, bądź też — jak dyskusje publikowane w prasie oficjalnej — ciągle musi się liczyć z ołówkiem cenzora. Najdalszy jednak jestem od podkreślania podziałów na Kraj i Emigrację; wprost przeciwnie — wielką mamy teraz szansę, by ten sztuczny i bolesny podział, tworzony latami przez politycznych dysponentów PRL-u — zacierać.

Sparafrazowałem nieco tytuł artykułu prof. Jana Kielanowskiego z majowego numeru *Kultury* („Czy potrzebna jest niezależna opozycja?”).

Nie udzielię tutaj odpowiedzi na wszystkie kwestie, które można by zawrzeć w pytaniu postawionym przeze mnie w tytule. Nawet wszystkich tych pytań nie wymienię. I nie wiem w końcu, czy spytam o sprawy najważniejsze, czy tylko o drugorzędne lub takie, których ważność spychana jest niejako na dalszy plan przez aktualne wydarzenia w Polsce. A te — przynajmniej z okresu ostatnich dwóch miesięcy — znam w znacznym stopniu z drugiej ręki.

II

Prócz namiętnego pochłaniania literatury emigracyjnej, starać się także słuchać radia w języku polskim: Wolnej Europy — będzie tu o niej jeszcze mowa, tudzież nocnych programów Radia Warszawa, które też się odnawia i można tam sporo interesujących rzeczy wyłowić. I w taki oto sposób natrafiłem na audycję 'Radio-Polonia'. Ciekawym wyjaśniam, że termin „Polonia” wprowadzono w języku oficjalnym PRL w miejsce niemi-

widzianego słowa „emigracja” (abominacja ta nie dotyczyła np. Wielkiej Emigracji) i zupełnie już w tym języku nie stosowanego pojęcia „uchodźstwo”. Z rzadka jednak mawiano o Polonii w Związku Sowieckim, zatem „Polonia” miała być synonimem polskiej emigracji w Wolnym Świecie.

Już z tytułu można było wnosić, że wspomniana audycja adresowana jest przede wszystkim do Polaków na Zachodzie. I nie inaczej. W programie wystąpił redaktor Lichniak, który mówił o swej książce poświęconej literaturze emigracyjnej. Nie omieszczał dorobić sobie martyrologii, bowiem dzieło jego czekać musiało na druk całe lat jedenaście (czy nawet dwanaście). Nie jeden wszakże Lichniak pretenduje teraz do roli męczennika „mionego okresu”; toć wszyscy demonstracyjnie narzekają na przewiny zdmuchniętej ekipy (zresztą jej przedstawiciele nie wyłączając) i gromko wołają, że zawsze byli „przeciw”. Przykre to zjawisko budzić musi ambiwaletne uczucia. Ale — jak mawia Arystoteles — „koń jaki jest każdy widzi”, a pamiętać trzeba, że korupcja i demoralizacja szerokich rzesz społecznych sięgnęły w erze Gierka zenitu, czy raczej dna. Dzisiaj wszyscy twórcy i naukowcy gromią praktyki cenzury a gdzież byli, gdy ujawniono tajne dokumenty GUKPPIW? Podobne przykłady można zresztą mnożyć, jeno po co?

Wróćmy zatem do audycji 'Radia Polonia' i gwiazdy programu — Z. Lichniaka. Otóż redaktor ów, narzekając rzecz jasna na niedopuszczanie literatury emigracyjnej do Kraju, podzielił sobie pisarzy tworzących na uchodźstwie — nie tyle (a może nie tylko) wedle wartości ich dzieł, co wedle poglądów. Są więc pisarze, którzy mają poglądy „błędne” oraz tacy, którzy tego akurat grzechu na sumieniu nie mają (a nawet jeśli mają, to poglądy ich nie pokrywają się z zawartością napisanych przez nich książek). Po dokonaniu selekcji Lichniak wyraził swe pobożne życzenia: należałoby wydać w PRL Romanowiczową, „Eseje dla Kassandry” Stempowskiego, Herlinga-Grudzińskiego „Skrzydła ołtarza”, ale nie „Inny świat”, bo tam „błędne poglądy”. Mackiewicz to dobry pisarz, ale ma „niesłuszne poglądy”, więc go wydać nie można; Nowakowski też ciekawy, ale nie można zgodzić się z tym, co mówi na falach „rozgłośni monachijskiej” (a to dlaczego? — pytam), więc też odpada. W sprawie Miłosza Lichniak napomknął, że poezje jego są w PRL wydawane, a „Zniewolony umysł” opublikowała oficyna „NOW-a”. Itd., itp. — ale już chyba wystarczy. Wił się nieszczęsny Lichniak jak piskorz, byle tylko nie wspomnieć, kto jest wydawcą wymienionych przez niego książek. I nie wspomniał. Charakterystyczny jest też eufemizm „rozgłośnia monachijska”. Pewnie i Lichniak jej słucha, klnąc na zagłuszarki, skoro zna poglądy

Nowakowskiego (oby się tylko — biedak! — tymi poglądami nie zaraził!). Piszę tu tyle o Lichniaku, bo jego występ w radiu warszawskim bardzo jest charakterystyczny i wyraźnie pokazuje te niebezpieczeństwa, których musimy uniknąć w dążeniu do wolności kultury narodowej. Polskich pisarzy nie wolno dzielić na „prawomyślnych”, czyli tych, co znajdują łaskę w oczach cenzury i „nieprawomyślnych”, czyli takich, którzy będą czytani tylko przez cenzorów i Lichniaka. Ten ostatni jest jednak troszkę anachroniczny. Bo cóż z jego podziałów, gdy setki powielaczy i kserografów pracuje pełną parą, dając czytelnikom dzieła niedostępnych autorów, bez różnicowania ich na „słusznych” i „błędnych”. I tego właśnie nam potrzeba — wolnej polskiej literatury. Po raz pierwszy w powojennej historii Polski pojawia się tak wielka szansa na wprowadzenie do literackiego krwioobiegu w Kraju nazwisk i dzieł pisarzy-emigrantów. A przecie jeszcze przed Miłoszowym Noblem statystyczny inteligent z PRL nie potrafił wymienił chyba jednego nawet współczesnego pisarza-uchodźcy. Trzeba lat całych i tysięcy stron druku, aby naprawić krzywdy wyrządzone polskiej kulturze przez administracyjne zakazy.

Wydarzenia ostatnich miesięcy odbiły się w pewnym sensie ujemnie na rynku czasopiśmienniczym. Publikowane przez związki zawodowe periodyki mają głównie charakter informacyjny, co zresztą jest zupełnie zrozumiałe. „Ucierpiał” wolne od cenzury czasopisma kulturalne, polityczne i społeczne, nierzadko publikowane już od kilku lat — wiele z nich przeżywa trudności wydawnicze. Te ostatnie powodowane są głównie przez konieczność podjęcia przez redaktorów bardzo wielu obowiązków związanych z działalnością „Solidarności”. Jest to proces naturalny i — z drugiej strony — korzystny; intelektualiści skupieni wokół pozacenzuralnej prasy stanowili wszak awangardę niezależnej opinii publicznej i ich najważniejsze miejsce jest teraz w „Solidarności”, gdzie pełnią funkcje związkowe, kierują działalnością kulturalną i wydawniczą bądź służą jako doradcy i eksperci. Ale niezwykle ważne jest utrzymanie tych czasopism, które wychodziły już przed Sierpniem (a niechaj i nowe powstają — co daj Boże!). Bowiem teraz, tak jak nigdy, potrzeba nam publicystycznego forum wolnego od jakichkolwiek cenzuralnych ograniczeń. Z tej właśnie potrzeby — jak sądzę — wynika tak znaczna ilość w *Kulturze* artykułów o sprawach krajowych, pisanych przez autorów mieszkających w Polsce.

Tu mała dygresja osobista. W nr. 15 regularnie ukazujących się *Spotkań* znajduje się mój artykuł, w którym analizuję poufny spis czasopism i wydawnictw zagranicznych zakazanych w PRL. Z notatką zamieszczoną pod tym tekstem a nawołującą władze

do szybszych prac nad ustawą o cenzurze nic wspólnego nie mam, bom jak Marks zacięty przeciwnik cenzury.

Oczywiście nie zamierzam umniejszać roli czasopism wydawanych pod państwową kontrolą. „Odnawiają się” i to jak jeszcze!, publikują wyklętych do niedawna autorów.

W czasopiśmie oficjalnych przoduje rzecz jasna wywalczony Sierpniem *Tygodnik Solidarność*, cieszący się specjalnymi względami cenzury. Mam zresztą osobistą teorię na ten temat. Otóż — jak sądzę — cenzura traktowała *Tygodnik* tak liberalnie, co zbiegło się w czasie z dyskusją nad projektem ustawy o GUKPPiW, bowiem władze chciały w ten sposób pokazać, że nawet przy bardziej opresyjnym prawie (a obowiązuje wszak nadal dekret z 1946 roku) wolno niemal „wszystko”, zatem nie ma się co upierać przy społecznym projekcie ustawy. Teza ta wydaje mi się tym bardziej prawdopodobna, że ostatnio ilość ingerencji cenzury wzrasta, zwłaszcza w tekstach dotyczących tematów objętych uprzednio indeksem (choćby materiały o 1956 roku w Poznaniu, czy o 1976 roku w Radomiu). Ale — jak już rzekłem — nie litera prawa jest najważniejsza. *Tygodnik Solidarność* wprowadził na swe łamy wiele tematów uznanych do niedawna za tabu, np. artykuły o KOR-ze, o obozach koncentracyjnych (oficjalnie zwanych „Ośrodki Przystosowania Społeczne-go”), o NOW-ej, o metodach policyjno-sądowych represji przeciwko robotnikom, rozmowę z cenzorem. Odnoszę wprawdzie wrażenie, że czasem ostrożność redakcji jest (a może była?) nawet zbyt daleko posunięta, ale to już jej sprawa.

Poświęcam tyle miejsca sprawie książek i czasopism, bo za rzecz zupełnie elementarną uważam odrodzenie — najszerszej rozumianej — świadomości narodowej. Przecież już kilka pokoleń nie zna zupełnie ani historii, ani kultury polskiej, nie mówiąc już o podstawowej choćby wiedzy o współczesnej kulturze światowej. Pozostanie oczywiście wiele ważnych zakresów tematycznych, które nie będą mogły pojawić się w publikacjach cenzurowanych (bo tylko podział na „cenzurowane” i „niecenzurowane” ma sens). Do dziedziny tej należy zaliczyć wiele problemów z historią najnowszej i choćby sprawy narodowościowe, zwłaszcza losy Polaków w Związku Sowieckim. Także wszystkie bez mała zagadnienia polityki międzynarodowej omawiane są w oficjalnych środkach przekazu tendencyjnie bądź fałszywie, co zawsze tłumaczy się „racją stanu”, czyli sąsiedztwem ze Wschodu. Podobnie „Solidarność” nie jest forum, które mogłoby organizować dyskusje o kształcie polskiej niepodległości. Tu więc raz jeszcze podnoszę potrzebę wolnych od cenzury periodyków społeczno-politycznych, które problemom tym poświęcać mogą wnikliwe komentarze (czego nie robią informacyjne gazetki „Solidarność”,

zaś *Tygodnik Solidarność* programowo unika tematyki międzynarodowej).

Oczywiście nie da się ukryć, że ilościowy rozwój wolnych od cenzury publikacji nie zawsze idzie w parze z ich jakością. Trudno się temu zresztą dziwić, bo wielu ludzi zyskuje po raz pierwszy możliwość opublikowania — choćby na powielaczu — własnych tekstów. Mnożą się młodzi poeci i łapią za pióro równie często co za korbę „wałka”. Ale w ślad za poetami powinna pójść (i pewnie pójdzie) krytyka literacka, oddzielająca ziarno od plewy. Do redakcji zaś czasopism powinni trafić ludzie kompetentni i przygotowani do swoich funkcji, by odpowiadać za poziom publikowanych artykułów. Ale nie piszmy tu banałów.

III

Jak już zapowiadałem, chciałbym nieco miejsca poświęcić Radiu Wolna Europa. Za poważny błąd niecenzurowanej prasy wydawanej w Polsce uważam brak jakichkolwiek artykułów dotyczących RFE — jego historii, funkcji, zasług a przede wszystkim trudności w działaniu. Rozgłośnia ta — tak obecna nawet w naszym codziennym życiu — zupełnie była nieobecna na łamach wolnej prasy (pomijam tutaj nieudany tekst Kamila w *Krytyce*). Dzięki temu, że monopol na pisanie o RWE miała wyłącznie oficjalna prasa (co wykorzystywano głównie w okresach różnych kampanii propagandowych), w społeczeństwie wytworzono szereg fałszywych zupełnie opinii, połączonych w dodatku z mającymi wywołać u odbiorcy poczucie zagrożenia hasłowo sformułowanymi filiacjami (CIA, „ośrodki antypolskie na Zachodzie”, „zachodni Niemcy odwetowcy” itp.). Schematy te funkcjonują nadal i ujemnie ciąży nad swobodnym kształtowaniem opinii publicznej.

Nie sposób kwestionować wielkich zasług Wolnej Europy w realizowaniu elementarnego prawa do nieskrępowanego przepływu informacji. Podobnie podnieść trzeba jej wkład w rozwiązanie dramatu politycznego z sierpnia ubiegłego roku. Przez wiele tygodni Wolna Europa była jedynym źródłem wiadomości o strajkach, tego najważniejszego — w Gdańsku — nie wyłączając. Dlatego właśnie pod koniec sierpnia '80 grupa wybitnych intelektualistów, kierując do władz list otwarty, postulowała m.in. zaprzestanie zagłuszania.

Jednakże tego haniebnego proceduru władze nie przerwały do dziś. W kilku wypadkach lokalne ogniwa „Solidarności” postulują zaprzestanie zagłuszania, ale do tej pory nie sformułowano skutecznego nacisku na władze. Zjawisko to można dość łatwo

wy tłumaczyć: chyba po raz pierwszy w PRL można żyć bez Wolnej Europy. Chcę przez to powiedzieć, że wypracowany przez społeczeństwo niezależny obieg informacji w znacznym stopniu zastępuje to jedyne do niedawna źródło. Jednak nadal z Wolnej Europy można dowiedzieć się o wiele więcej na temat „Solidarności” niż z czterech programów Polskiego Radia razem wziętych (a pamiętajmy o wytrwałym uporze władz w sporze ze związkiem o dostęp do środków przekazu społecznego). Istnieje nadal wiele zagadnień, o których rzetelne informacje czerpać można niemal wyłącznie z audycji RWE. Są to chociażby wydarzenia polityki międzynarodowej, informacje o represjach przeciw „dysydentom” w krajach bloku sowieckiego; niezastąpiony jest też codzienny „Przegląd prasy zachodniej”, a nawet nadawana raz w tygodniu „Kronika kulturalna”.

Kto zna obecne codzienne problemy związku i atmosferę życia w Kraju, zrozumie zapewne, dlaczego protesty przeciwko zagłuszaniu RWE są w tej chwili sprawą drugorzędną. Klęska głodu, obrona wolności prasy związkowej, postępujący rozkład państwowego aparatu gospodarczego i administracyjnego, niewywiązywanie się władz z przyjętych zobowiązań, stałe ataki propagandy krajów sąsiednich determinują kierunek aktywności związków. W kontekście takiej sytuacji staje się jasne, dlaczego protesty przeciw pracy zagłuszarek ograniczają się do względnie niewielkich, lokalnych przypadków. Sprawa działalności stacji zagłuszających pozostaje w tej chwili w sferze wartości — by tak rzec — abstrakcyjnych; ujawnia stosunek władzy do społeczeństwa, ale nie jest bezpośrednio związana z poszukiwaniem dróg wyjścia z ekonomicznej katastrofy.

Ja jednak — w aksjologii przyjętej na użytek tego artykułu, gdzie staram się wskazać na niektóre tylko „polskie potrzeby” — poświęcam sprawie zagłuszanie RWE tyle miejsca. Bo o czym ono świadczy? Otóż władze — w tym przynajmniej przypadku — traktują społeczeństwo nie jak pełnoprawnych obywateli, lecz jak szczeniaków, którym nie wolno pójść do kina na film dla dorosłych. Smutny to i upokarzający anachronizm w posierpniowej Polsce. Dlatego właśnie wymieniam tutaj potrzebę zaprzestania zagłuszania; wszak zasadniczym układem odniesienia wszystkich zmian w Kraju jest gruntowne przewartościowanie relacji władze - społeczeństwo — to ostatnie odzyskuje polityczną podmiotowość i „bicie go po łapach” poprzez konfiskowanie powielaczy lub zagłuszanie Wolnej Europy nie może mieć miejsca.

Rzekłem wyżej, że praca zagłuszarek to problem w nieco innej skali wartości niż klęska głodu, krach gospodarki czy nawet zagrożenie zdrowia narodu lub katastrofa ekologiczna. Ale

ponoć prąd zużywany na zagłuszanie wystarczyłby na zaopatrzenie w energię elektryczną miasta wielkości Warszawy. Nie muszę chyba dodawać, że deficyt energetyczny powiększa się w zawrotnym tempie. I jeszcze jedno: władze ciągle utrudniają dostęp „Solidarności” do środków przekazu społecznego; jej naturalnym sojusznikiem w tym sporze jest Wolna Europa, poświęcając wiele miejsca sprawom związkowym. Podniesienie sprawy zagłuszania mogłoby być skutecznym taktycznym argumentem strony społecznej w dyskusjach z władzą o tym niezwykle ważnym problemie. Tyle, że nikt chyba do tej pory na to nie wpadł. Zmowa milczenia wokół panuje nadal a hasło „Wolna Europa” ciągle niejednokrotnie wywołuje zażenowanie.

Może zabrzmiałoby to pretensjonalnie, ale czuję się niejako upoważniony do tych wszystkich narzekań. Przed wyjazdem z Polski napisałem bowiem króciutki i bardzo ostrożny tekst o RWE (główne tezy: *primo* — rozgłośnia nie jest żadną agencją CIA lecz od 1973 roku podlega Kongresowi i *secundo* — zagłuszanie Wolnej Europy jest po prostu upokarzające, a już w Polsce posierpniowej jest szczególnie żalosnym anachronizmem). Z maszynopisem w ręku kołatałem do kilku redakcji. W zasłużonym *Tygodniku Powszechnym* powiedziano mi, że „cenzura zdejmie” i nie będą w ogóle próbować, zaś w przodującym *Tygodniku Solidarność* usłyszałem, że nie będą teraz zajmować się takimi tematami. Tekst zaniósłem zatem do związkowej *Niezależności*, ale do tej pory nie wiem czy choćby tam się ukazał.

Natomiast bezpośrednio po bombowym ataku na budynek RFE/RL w Monachium popełniłem bardziej zasadniczy tekst o Wolnej Europie, zawierający m.in. także egzegezę różnych towarzyszących zamachowi akcentów w propagandzie bloku sowieckiego, co dość jednoznacznie wskazywało na inspiratorów tego terrorystycznego aktu. Artykuł mój leży w redakcji *Głosu*, lecz ten ostatni od kilku już miesięcy nie może się ukazać. Tyle o własnych — i nieskutecznych — działaniach w tej sprawie.

Podnosiłem już bezsporne zasługi RWE. A teraz kilka uwag krytycznych. Jan Nowak we wnikliwym artykule „Jak wygrać trzecią wojnę światową?” (*Kultura* nr 3/403), omawia niezwykle istotną rolę radiostacji amerykańskich w taktycznej rozgrywce z sowieckim imperializmem. Autor programowo pomija sprawę podniesienia jakości programów i usprawnienia pracy rozgłośni. Ja zaś — jako wierny słuchacz Wolnej Europy — dostrzegam w ostatnim okresie w jej programach ewolucję, która budzi szereg zastrzeżeń. Otóż już w okresie strajków sierpniowych informacje o aresztowaniach działaczy opozycyjnych pojawiały się nader skromnie i to w drugorzędnych raczej audycjach. A tymczasem na podstawie tych policyjnych represji można było dość

jednoznacznie interpretować rzeczywiste intencje władz i wymuszony przez strajkujących charakter wszelkich ustępstw. Po Sierpniu tematyka „opozycji” stopniowo zanikała w programach RWE, co jest zupełnie zrozumiałe, zważywszy na praktyczne zacieranie się różnic między aktywnością „Solidarności” a „opozycją”; wszak związek przejął większość celów, do których uprzednio dążył KSS „KOR”, Ruch Młodej Polski czy niezależny ruch chłopski. Dziwi natomiast eliminowanie (z nielicznymi wyjątkami) z audycji radiowych artykułów z tych niecenzurowanych periodyków, które ukazywały się jeszcze przed Sierpniem i które nadal ukazują się regularnie. Zastępowanie tych publikacji lekturą prasy cenzurowanej — choć w tej ostatniej jest bardzo wiele artykułów zasługujących na rozpowszechnianie — nie jest pomysłem najszcześliwszym. Pomimo dotkliwego braku prasy, *Życie Warszawy*, *Słowo Powszechne* czy nawet *Tygodnik Solidarność* dostępne są w każdej niemal bibliotece, zakładowych nie wyłączając, i aby zapoznać się z tymi tytułami nie trzeba przebijać się przez dudnienie zagłuszarek. A już zaiste zdumiewający jest fakt, że Wolna Europa nie może podać żadnej informacji z Kraju, która nie została potwierdzona przynajmniej przez dwie zachodnie agencje prasowe.

Wszelako za wadę najważniejszą uważam brak w audycjach Wolnej Europy „żywych ludzi” z Kraju. I znów okazuje się, że to nie „krajowcy” boją się lub nie chcą, tylko Wolna Europa nie może, czy też jej nie wolno.

Bardzo perfidny był zarzut postawiony Bałuce po powrocie do Polski: „współpraca z Radiem Wolna Europa” (po wyjeździe z Kraju Bałuka udzielił wywiadu RWE) i miał on (zarzut) na celu podtrzymanie tego mistycznego wręcz tabu, jakim wedle oficjalnej propagandy ma być działalność radiostacji. Spójrzmy na sprawę trzeźwo, bez grozy wywoływanej „istnieniem na Zachodzie ośrodków propagandy antypolskiej” (gdzież one są? — dalebóg! — nie wiem). W obecnej sytuacji w Polsce jest rzeczą niemożliwą urządzenie komukolwiek rozprawy sądowej z tego powodu, że odważył się — dajmy na to — udzielić wywiadu Wolnej Europie, która jest wszak państwową amerykańską rozgłośnią.

W jakim stopniu te wszystkie ograniczenia Rozgłośni Polskiej RWE są „zasługą” władz amerykańskich czy autocenzurą polskiej sekcji, nie wiem. Zresztą sprawa zachowania Zachodu wobec wydarzeń w Polsce to zupełnie osobny rozdział, który tu — z konieczności — pomijam. Wszelako wymienione przeze mnie problemy dotyczące rozgłośni (i zagłuszania) zawierają się w dziedzinie zagadnień, których ważność staram się jak najwyraźniej podkreślić. Chodzi o zacieranie tych bolesnych i absurdalnych różnic,

zwłaszcza w sferze kultury i przepływu informacji, które wynikają z podziału na Kraj i Emigrację. Tu mieści się sprawa literatury polskiej, tutaj też sytuuje tak mocno wpisana w życie Kraju praca redaktorów Wolnej Europy. Te podziały — utrwalone latami zakazów i kłamliwej propagandy — nadal ciążyą nad świadomością części społeczeństwa. Wolna Europa w towarzystwie CIA, Hupki, Czaji i *Kultury* służyła władzom do manipulowania opinią publiczną („atuty” te są nadal wykorzystywane w atakach sowieckiej propagandy). Ważne są wszystkie wysiłki zmierzające do naprawy szkód wyrządzonych narodowej świadomości. Raz jeszcze podnoszę tutaj rolę wolnej prasy wydawanej w Polsce. Swego czasu nie istniejący już *Biuletyn Informacyjny* i *Zapis* sygnalizowały przynajmniej kolejne numery *Kultury*. Nie wiedzieć czemu tej pożądanej ze wszech miar praktyki — zaniechano, choć *Zapis* omawia czasopisma wydawane w Kraju, a te są wszak łatwiej dostępne niż *Kultura*. Nieco uzupełniają tę lukę wybory z *Kultury* opublikowane przez NOW-ą i przez krakowskie wydawnictwo „KOS”.

Mogę jeszcze zrozumieć dlaczego Lichniak we wspomnianej audycji radiowej nie wymienia w ogóle wydawcy omawianych przez niego pozycji. Dlaczego jednak Krzysztof Dybiak w swym artykule o literaturze emigracyjnej (*Tygodnik Solidarność* nr 15) nie napomknął nawet o Instytucie Literackim (o innych oficynach już nie mówiąc) — nie rozumiem zupełnie. Literatura emigracyjna to nie tylko pisarze i ich książki, to także wydawnictwa, prasa i jej redaktorzy.

Czynnikiem terapeutycznym przeciw chorobie podziału polskiej kultury na Kraj i Emigrację są także zachodnie reedycje czasopism krajowych. Do *Zapisu*, *Spotkań* i *Pulsu* dołączyły *Krytyka* i *Res Publica*, wydawane staraniem działającej bardzo aktywnie grupy „Aneksu”, a sam kwartalnik publikuje wiele tekstów nadsyłanych z Kraju.

Z drugiej zaś strony — bez oglądania się na decyzje państwowych cenzorów — należy dążyć do intensyfikacji współpracy autorów-emigrantów z prasą krajową. Redaktor *Zapisu* Jacek Bocheński w wywiadzie dla *Tygodnika Solidarność* (nr 18) przyznaje, że nie udało się nawiązać szerszej współpracy z pisarzami żyjącymi poza Krajem. Ale przecież sytuacja taka nie musi trwać wiecznie. Optymistyczną ciekawostką może być choćby taki fakt, że nawet w *Życiu Warszawy* ukazał się artykuł wyklętego do niedawna Aleksandra Matejki. Szansą do wykorzystania jest możliwość publikowania w Kraju wywiadów z autorami z Emigracji.

I wreszcie — by wrócić na koniec do Wolnej Europy — rozgłośnia powinna w większym zakresie udostępniać słuchaczom

w PRL teksty z prasy emigracyjnej. 15 minut tygodniowo („Przegląd prasy polskiej wychodzącej na Zachodzie”) to stanowczo za mało.

IV

A teraz kilka słów o opozycji. Mam na myśli konkretne osoby czy poszczególne ugrupowania, z KSS „KOR” na czele. Zacząć chyba muszę od tego, że pojawiające się już po Sierpniu teksty, które postulowały eliminowanie z prac „Solidarności” działaczy KOR-u, czytałem ze zjeżonym z przerażenia włosom. Czynienie „trędotawych” z ludzi, którzy od lat walczyli wszak o to właśnie, co przyniósł Sierpień, wynikało z przyjęcia optyki nachalnie dyktowanej przez propagandę rodzimą tudzież moskiewską, praską i wschodniobrzeńską. Systemy polityczne Europy środkowo-wschodniej tworzą w społeczeństwie szereg podziałów i hierarchii, opartych na stopniu udziału we władzy, na dostępie do środków przymusu czy też na stanie majątkowym (zazwyczaj zresztą czynniki owe ściśle się ze sobą łączą). Demokracja w Polsce musi wobec tego — ze swej natury — zmierzać do egalitaryzacji społeczeństwa, zwłaszcza w zakresie praw politycznych i obywatelskich. Wynajdywanie zatem jakichkolwiek taktycznych rozróżnień pomiędzy „korowcami” i „nie-korowcami” nie dość, że niedemokratyczne i moralnie podejrzane, równałoby się tworzeniu nowych, nienaturalnych podziałów. Dzięki Bogu rozwój sytuacji w Kraju wytlumił te trwożliwe głosy, bo chodziło miało o niedrażnienie władz.

Ostatnie miesiące w znacznej mierze przyczyniły się do rzetelnego poinformowania społeczeństwa o charakterze działalności KOR-u i jego zasługach (KOR traktuję tutaj symbolicznie; należy oczywiście dodać TKN, Ruch Obrony, Ruch Młodej Polski, niezależne wydawnictwa — choć KOR to symbol najbardziej znaczący, z uwagi na kierunek ataków propagandy). Stało się to za sprawą prasy związkowej, ale koniecznie należy zwrócić uwagę na fakt, że dokonała się niejako oficjalna „rehabilitacja” KOR-u. Mam tu na myśli opublikowanie w wydawanym wszak pod kontrolą cenzury *Tygodnika Solidarność* artykułów Jana Walca o Czerwcu i genezie powstania Komitetu Obrony Robotników, i o ekscesach w Otwocku, gdzie działacze KOR-u bronili zagrożonych linczem milicjantów. Także w „Człowieku z żelaza” (nie jest to najlepszy film Wajdy...) pada sformułowanie „pisma korowskie” w jednoznacznie pozytywnym kontekście.

Władze przegrały zatem batalię o wyeliminowanie z „Solidarności” właśnie tych osób, które wniosły najwięcej zasług w two-

wienie zaczątków wolnego ruchu zawodowego. A gdy propagandzie trudno już było wywołać w świadomości przeciętnego obywatela automatyczny odruch skojarzeń „KOR” — „ośrodki antypolskie na Zachodzie” — „agenci CIA”, pozostawało jeszcze pojemne treściowo hasło „siły antysocjalistyczne”. Lecz i w tym wypadku efekt gorliwych zabiegów propagandzistów daleki był od oczekiwań. Partyjne „doły” nierzadko stwierdzały, że „elementy antysocjalistyczne” to Gierek i jego kamaryla, zaś w Otwocku 7 maja Adam Michnik, chcąc nawiązać autentyczny dialog z rozsierzdzonym tłumem, powiada: „Jestem siłą antysocjalistyczną. Mnie, sile antysocjalistycznej, możecie chyba wierzyć”. I ludzie wierzą (znakomity tekst Jana Walca w 7 numerze *Tygodnika Solidarność*).

KOR ani się nie rozwiązał, ani nie ogłosił żadnego oświadczenia o zaprzestaniu działalności bądź jej kontynuowaniu. Nie czuję się upoważniony do orzekania, co KOR powinien być zrobić; jest to sprawa samych członków Komitetu. Z drugiej zaś strony KSS „KOR” nie podejmuje praktycznie żadnych inicjatyw i „istnieje” wyłącznie w atakach sowieckiej propagandy, naturalnie jako „obca, antysocjalistyczna agencja”. Jakże znaczącą kłamra spina niejako początek i koniec praktycznej działalności KOR-u: obrona robotników maltretowanych po Czerwcu '76 i obrona grupki milicjantów osaczonych w otwockim posterunku (może byli wśród nich i tacy, którzy pięć lat wcześniej torturowali protestujących robotników?). Zaiste, wymowne to zestawienie i wspaniała ilustracja celu, który przez te 5 lat bez mała przyświecał Komitetowi: obrona praw i ludzkiej godności. KOR i jego członkowie zapisali jedną z najchlubniejszych kart w historii powojennej Polski.

Oczywiście jest rzeczą zupełnie naturalną, że większość celów, które stawiał sobie KOR i inne niezależne inicjatywy społeczne, przejmują obecnie wolne związki zawodowe i samorządne zrzeszenia twórcze. Artykuł prof. Kielanowskiego z majowej *Kultury* jest właśnie próbą wskazania granic tych „polskich potrzeb”, których wpisane oficjalnie w struktury ustrojowe organizacje nie będą w stanie załatwić. Jednakże granice owe są płynne. Zgadzałem się z Profesorem, że takim zasadniczym programem są rzeczywiście demokratyczne wybory, w których społeczeństwo powołałoby swoich własnych przedstawicieli. Czy jest to możliwe? Za rzecz możliwą jednak uważam społeczny postulat demokracji wyborów, sformułowany przez oficjalnie działające instytucje. Zdemokratyzowała się przecież sama partia, której słów kilka tu jeszcze poświęcę. W grudniu mają się odbyć wybory do rad narodowych. Nie sądzę, aby postulat zmian w ordynacji wyborczej miał ściągnąć do Polski sowieckie czołgi.

Wracam jednak do celów i potrzeb, które leżą poza zasięgiem działających legalnie związków i zrzeszeń. Jak już rzekłem, ostateczne wyznaczenie granic „możliwego” i „niemożliwego” jest rzeczą trudną, bo *pantha rei*, a w Polsce „wszystko płynie” szczególnie bystrym strumieniem. Przede wszystkim jednak należy uwolnić się od „opozycyjności” czy „opierania się” i nierozłącznie związanego z tą formułą układu odniesienia (do tej pory był to opór wobec władz gwałcących elementarne prawa obywatelskie). Większość działań praktycznych (dokonuję tu może nieco sztucznego, ale koniecznego podziału na „praktykę” i „teorię”), podejmowanych uprzednio przez ugrupowania „opozycyjne”, zawiera się obecnie w obrębie inicjatyw „Solidarności” i innych związków, które mają nieporównanie większe możliwości wywarcia presji na władze a przede wszystkim mogą z tą władzą pertraktować. Dlatego uważam, że grupy czy inicjatywy pozazwiązkowe powinny obecnie przeformułować charakter swoich prac i w większym stopniu skupić się na działaniach „teoretycznych”. Celowe wydaje mi się tworzenie klubów myśli politycznej czy społecznej (nazwa jest zresztą rzeczą najmniej ważną), które starałyby się wypracować polityczny model dla Polski (choćby bardzo ciekawa kwestia: czy należy dążyć do wielopartyjności czy nie?). Partia tego nie robi a „Solidarność” nie jest wszak politologicznym trustem mózgow. Podobnie uważam za konieczne rozważanie geopolitycznej sytuacji Polski i szukanie sposobów jak najkorzystniejszego ułożenia stosunków z sąsiadami, także przy udziale społeczeństwa, a nie tylko władzy partyjno-państwowej. Klubom takim czy ośrodkom — jak kto woli — powinny towarzyszyć wolne od jakiegokolwiek cenzury publikacje. Nie potrafię rzecz jasna podać żadnych gotowych recept, wskazuję tylko na jakąś możliwość, zapewne jedną z wielu.

Podobnie potrzebne wydaje mi się utrzymanie niezależnego od administracyjnej kontroli funduszu o charakterze dotychczasowego Funduszu Samoobrony Społecznej, choć może pod zmienioną nazwą. Funduszem takim powinno dysponować ciało złożone z osób o uznanym autorytecie moralnym, a służyć winien on tym celom, których „Solidarność” z takich czy innych względów nie będzie mogła podjąć. Zresztą taką właśnie sugestię zawiera tekst Anki Kowalskiej „W imieniu KOR-u”, zamieszczony w nr. 6 *Kultury*.

V

Wiele osób podzielało opinię, że demokratyzacja wewnątrz PZPR-u może ściągnąć na Polskę sowiecką interwencję. I w tym

jednak wypadku rzeczywistość nie potwierdziła tych pesymistycznych obaw — dowodem na to lipcowy zjazd partii.

Nie podejmuję się rozstrzygnąć tutaj kwestii, jaka powinna być rola partii, czy organizacja ta ma w interesie kraju odzyskiwać społeczne zaufanie, czy też — wprost przeciwnie — należy dążyć do maksymalnego ograniczenia jej roli w państwie. Zagadnienie to jest zresztą powiązane z szeregiem innych problemów i nie sposób rozpatrywać go w oderwaniu od pytania o polityczny kształt Polski (czy należy dążyć do stworzenia ustroju wielopartyjnego, czy też — jak sugeruje Jacek Kuroń — rozwijać wielopłaszczyznowy ruch samorządów; koncepcja ciekawa — warta dyskusji). Mówiąc najkrócej: nie znamy jeszcze odpowiedzi na to arcyważne pytanie, czym ma być kierownicza rola partii? A zawarowanie tego punktu we wszelkich niemal statutach nowo powstających organizacji władze wyduszają na różne sposoby, aby — daj Boże, by nie po to tylko! — w ten sposób bronić wbrew społeczeństwu swoich zagrożonych pozycji.

Nic tu także nie powiem o pożądanym kierunku inicjatyw tzw. dołów partyjnych, bo napisała już o tym Redakcja *Kultury* w czerwcowym „Obserwatorium”.

W partii istnieje także ruch przeciwników obecnych zmian — rozmaite fora, „Warszawa '80” czy wreszcie związany z tymi siłami „Grunwald”. Animatorzy i protektorzy podobnych posunięć rekrutują się z kręgów, którym reformy polityczne odbierają znaczną część dotychczasowych przywilejów. Ludzie ci powinni w końcu zrozumieć, że obrony własnych pozycji nie można prowadzić kosztem interesów ogólnospołecznych, bo naprawdę wielką szkodą dla kultury narodowej jest to, że Filipowski z Porębą będą robić mniej filmów.

Partia sprawuje w Polsce władzę (choć teraz w znacznej części spraw wewnętrznych mocno ograniczoną) z mandatu Kremla. Czy można w jakikolwiek sposób wykorzystać ten stan rzeczy w interesie społecznym? Za dziedzinę niezwykle istotną dla narodowej przyszłości uważam dążenie do zmiany stosunków polsko-sowieckich i tutaj partia — a ściślej jej kierownictwo — powinno odegrać zasadniczą rolę. Bowiem interesy polityczne Polski na zewnątrz reprezentuje właśnie partia i kierowany przez nią rząd. I obowiązkiem tych właśnie czynników jest uświadamianie „sprzymierzeńcom” PRL-u, że obecne reformy w Polsce nie zagrażają międzynarodowej pozycji ZSSR i nie mają na celu rozszarpania od wewnątrz tzw. „socjalistycznej wspólnoty” czy osłabienia Układu Warszawskiego. Korzystniejsze ułożenie stosunków politycznych i gospodarczych PRL z krajami sąsiednimi jest — zwłaszcza w obecnej sytuacji agresywnego zachowania sąsiadów — sprawą zasadniczej wagi. Dążyć do tego mogą — według mnie

— oficjalni reprezentanci PRL-u na arenie międzynarodowej. Stefan Kisielewski w artykule „Czego oczekuję od 'Solidarności?'” (*Tygodnik Solidarność* nr 13) postuluje wprawdzie, aby udział w załatwieniu tych spraw miała także „Solidarność” czy Kościół. Myślę wszelako, że są to raczej pobożne życzenia niż realna możliwość, sądząc z kierunku ataków propagandy sąsiednich krajów komunistycznych. Pogląd Kisielewskiego (nawiązuje wyraźnie do też jego artykułu z *Res Publica* („Czy geopolityka straciła znaczenie?”): dogadać się z Rosją powinna autentyczna i reprezentatywna siła społeczna, a nie pozbawiona oparcia w narodzie partia. Czy jednak PZPR w tej przynajmniej materii może być siłą reprezentatywną? Nie wiem, zobaczymy.

Tu dochodzimy do drażliwego problemu, na temat którego w całej niemal światowej prasie zaczęto ostatnio setki stron. Czy Sowieci będą interweniować? Przez interwencję rozumie się tutaj zbrojny najazd à la Węgry '56 czy Czechosłowacja '68. Odpowiadam: nie będą. Poglądu swego udowodnić nie potrafię, po prostu dlatego, że nie ma tu żadnych bezspornych dowodów a rozumowanie *per analogiam* jest — jak widać — wysoce zawodne. Na jedną rzecz wszakże chciałbym zwrócić tutaj uwagę. Chodzi mi o bezradność kremłowskich *Führer*ów. Te wszelkie manewry, wizyty, pogroźki, wezwania do Moskwy czy nawet list KPZS — toć to przeciw wszystko, na co Sowieci zdobyli się do tej pory, choć taka Praska Wiosna, która ściągnęła czołgi „przyjaciół”, to w porównaniu z reformami w Polsce dziecinna igraszka. W naszym przypadku liczy się bez wątpienia głos Zachodu — tym razem *ex ante*, a nie *ex post*, chociaż w tzw. Wolnym Świecie sporo jest i hysterii, i zwykłego trzęsienia portkami i wielu najgłośniejszych polityków spałoby spokojniej, gdyby Polacy wreszcie się „uspokoili”. Po wtóre zaś krasnoarmiejcy spotkaliby się w Polsce z przyjęciem zasadniczo odmiennym od tego w Czechosłowacji w 1968 roku. Nie twierdzą, że należy krzyczeć na wszelkie możliwe sposoby, że będziemy się bić, ale opracowanie instrukcji oporu społeczeństwa na wypadek najazdu jest ważnym czynnikiem odstrasającym. Nawet w sytuacji szybkiego neutralizowania się Europy Zachodniej A.D. 1981 cena, jaką Sowieci musieliby zapłacić za zgotowanie krwawej łaźni w Polsce — byłaby dla nich zbyt wysoka.

Taktyczne zapewnienia, że nie ma w Polsce nastrojów antysowieckich, traktuję jak przysłowiowe „koszałki-opałki”. Antysowietyzm i antyrosyjskość są w Polsce faktem i, niestety, oba te nastroje chodzą najczęściej w parze. Winę za ten stan rzeczy ponoszą jednak przede wszystkim Sowieci, a Polacy o tyle tylko, że to rodzima propaganda i oficjalne załgane podręczniki historii przyczyniły się do tworzenia irracjonalnych animozji w miejsce

rzetelnej wiedzy o dziejach stosunków polsko-rosyjskich. Przepuszczam, że nie wszystkie przypadki oblewania farbą pomników ku czci sowieckich żołnierzy są prowokacją inspirowaną przez władze lub ambasadę ZSSR. Jest w tym także odruch nieprze-myślanej nienawiści, odruch moralnie niski a politycznie szkodliwy. Dlatego za rzecz tak ważną uważam propagowanie prawdziwej wiedzy o historii najnowszej, w której z winy sowieckich przywódców znajdujemy tak wiele przykładów naszych narodowych tragedii. Tylko przełamanie zmywu milczenia i odrzucenie tabu przyczynić się może do zasadniczej rewizji emocjonalnego stosunku polskiego społeczeństwa do Rosjan. Zresztą podnoszenie tej sprawy właśnie na łamach *Kultury* jest po prostu truizmem.

Tu znów postulat swój kieruję do prasy wolnej od jakiegokolwiek cenzury i do klubów dyskusyjnych, które winny odgnać znaczącą rolę w kształtowaniu dojrzałej i odpowiedzialnej świadomości obywatelskiej. A przy okazji: może te same instytucje zdobyłyby się na poruszenie innych tematów, o których do tej pory milczano — choćby przesiedlania Niemców po zakończeniu działań wojennych czy sprawy Łambinowic.

Podkreślić trzeba jednak wyraźnie — choć to banał — że w Polsce nikt obecnie nie występuje z antysowieckim programem politycznym, nikt nie żąda zmiany sojuszu czy orientacji polityki zagranicznej. „Solidarność” potępia wszystkie przypadki wandalizmu wobec sowieckich pomników czy tablic. Na inne sojusze niż obecne nie mamy po prostu szans, możemy jednak i powinniśmy pytać o kształt tego sojuszu. A przywódcy Kremla mogliby wreszcie zrozumieć, że nieprovokowanie w Polsce nastrojów antysowieckich przez różne pogroźki i szantaże — leży także w ich interesie.

VI

Moja odpowiedź na pytanie „czego nam trzeba?” — jest oczywiście niepełna i dyskusyjna. Nie poruszyłem tu zupełnie spraw najbardziej może palących i ważnych. Potrzeba nam zasadniczej reformy gospodarczej i nierozłącznie związanej z tą sprawą odpowiedzi na pytanie o kształt i funkcjonowanie ustroju politycznego kraju. Potrzeba ratunku przed klęską głodu i biologicznym wręcz zagrożeniem życia narodu. Rolników indywidualnych należy zaopatrzyć w potrzebne maszyny, w węgiel i w elementarne środki chemiczne. Potrzeba wewnętrznego spokoju i uniknięcia zewnętrznych zagrożeń. Trzeba pytać o możliwości i ograniczenia dążeń do niepodległości Polski. Ale może przede

wszystkim potrzeba tego, by władza zrozumiała, że łatwiej jest rządzić przy poparciu społeczeństwa niż wbrew niemu. Naprawdę.

Jednakże moje odpowiedzi łączy szukanie pewnej wspólnej cechy. Punktem wyjścia do rozstrzygania wszelkich pytań o kształt państwa, w którym będziemy żyć, jest bowiem świadomość obywateli, ich poglądy kształtowane bez strachu o „nieprawomyślność” czy o względy „racji stanu”, poglądy oparte o wolność przekonań i o swobodę dostępu do informacji i ich rozpowszechniania. Sformułowania takie, które częstokroć są tylko frazeologią używaną przez różnych „mężów stanu”, w Polsce w tej chwili przyoblekają się w konkretne kształty. Tylko z wolnej myśli obywateli można wywieść zarówno adekwatny do obecnej sytuacji program niepodległościowy jak i szukanie sposobów na ratowanie noworodków przed śmiercią w szpitalach. Te dwie, tak odległe od siebie rzeczy, łączy potrzeba samostanowienia społeczeństwa o własnym losie: od dylematów geopolitycznych po program reformy gospodarczej.

Mówić musimy pełnym głosem o imponderabiliach tradycji narodowej, o chlubnej i tragicznej ojczyściej historii. Do głosu tych przyłącza się często władza, ale choć nikt jej tego zabronić nie może, pamiętać należy, że o postawie tej nierzadko decydują względy koniunkturalne i chęć odbudowania swego zdruzgotanego autorytetu. Jeśli sprowadzenie do Kraju prochów generała Sikorskiego miało się odbywać w asyście czynników, które przez lata fałszowały historię Polski i dzieliły emigrantów na „dobrych” i „złych”, sytuacja taka budzić musi niesmak. Oficjalna propaganda PRL-u „zapomniała” jakoś poinformować opinię publiczną, że sprawa wykonawstwa testamentu Premiera przez mjr. Kycię jest prawnie dyskusyjna, na czym zresztą oparły się władze brytyjskie w swej negatywnej decyzji. Osobiście w pełni podzielam pogląd redakcji *Kultury* na propozycję przewiezienia do Kraju prochów gen. Sikorskiego, wyrażony w czerwcowym „Obserwatorium”.

„Solidarność” nie może przywrócić Polakom wszystkich imponderabiliów i wszystkich praw narodowych i politycznych. Ze względów „taktycznych”, kierownictwo związku ciągle zastrzega się, że nie będzie się wtrącać do polityki. Aczkolwiek jest rzeczą oczywistą, że w historii tego świata nie było jeszcze związku zawodowego, który działaniem swym obejmowałby tak wielki zakres zagadnień społeczno-politycznych. Toć Kisiel z dziesięć już razy napisał, że „Solidarność” od polityki uwolnić się nie może.

W krajach demokratycznych spraw praworządności strzegą sądy i wybrane przez społeczeństwo parlamenty. W Polsce i tym zagadnieniem musi zajmować się „Solidarność”. W lipcowo-sierp-

niowym nr. *Kultury* znajduje się tekst A. M. Lipca, postulujący ciągłe podnoszenie przez związek w pertraktacji z władzami problemu przestrzegania prawa, bowiem jest to elementarny warunek bezpiecznego działania członków „Solidarności”. Artykuł pisany był 24 kwietnia, bodajże kilkanaście dni później rozpoczęto dyskusje o praworządności. I choć przypadki policyjnych represji przeciwko związkowcom zdarzają się nadal, urządzenie przez władze drugiej Bydgoszczy byłoby aktem szaleństwa.

Trzeba zatem szukać odpowiedzi na pytanie, kto tworzyć ma kształt polityczno-ustrojowy Polski. Kisielewski wskazuje na „Solidarność”, Kuroń na ruch samorządów, Kania na kierowniczą rolę partii. Uchylam się od rozstrzygnięcia tych kwestii, bo musiałbym zacząć nowy rozdział, a chcę już zmierzać ku końcowi. Faktem jest jednak, że dotychczasowe struktury administracji i zarządzania gospodarką ulegają postępującemu paraliżowi i trzeba szukać ratunku przed narastaniem chaosu.

Co stało się w Polsce od sierpnia ubiegłego roku? Zmiany te można niejako opisać topograficznie: szereg dziedzin życia społecznego, pozostających uprzednio w niekontrolowanym władaniu partii, wymknęło się spod jej władzy i zależne jest od decyzji obywatelskich organizacji. Zaczęło się od związków zawodowych, potem przyszło do kultury, szkolnictwa, gospodarki, zrzeszeń twórczych i młodzieżowych. Żadnej zasadniczej decyzji ekonomicznej władze nie są w stanie podjąć bez aprobaty „Solidarności”. Od władzy partyjno-rządowej zależna jest polityka zagraniczna, wojsko, siły bezpieczeństwa, sądownictwo i prokuratura. Trwa batalia o środki przekazu społecznego.

Fenomen polski można jednak próbować opisać jeszcze inaczej. Toć do tej pory wielu ludzi na Zachodzie nie pojmuje, jak to się stało, że w obrębie bloku sowieckiego powstały niezależne od partii związki zawodowe. Zjawisko to można tłumaczyć tym, że w Polsce uległy rozregulowaniu dwa co najmniej z podstawowych mechanizmów, na których oparte są wszelkie odmiany sowietyzmu. Pierwszy to mechanizm równowagi strachu i niewiści, który determinuje zachowanie jednostki. Drugi to zjawisko samookupacji, głęboko wpojone w świadomość obywatela („wszystko, co nie jest nakazane — jest zakazane”). Destrukcja tych dwóch mechanizmów funkcjonalnych przynosi te właśnie niebywałe spazmy, które przeżywa obecnie system w Polsce*.

* Moje obszerne studium o różnych mechanizmach i paradoksach sowietyzmu, pisane jeszcze przed Sierpniem, znajduje się obecnie w archiwum krakowskiego UB, lub też zawarte już jest w rolkach papieru toaletowego, którego brak tak boleśnie w Polsce odczuwamy (strzegący praworządności w PRL prokurator Czubiński zlecił bowiem przekazywanie skonfiskowanej „literatury bezdebitowej” do składnicy makulatury).

Pominałem też tutaj zagadnienia eschatologiczne. Czy reformy w Polsce są początkiem końca sowieckiemu systemu? Nie wiem. Jedno jest wszakże pewne: zmiany zapoczątkowane Polskim Sierpniem to jedno z najważniejszych wydarzeń w dziejach tego stulecia. I może kiedyś, w przyszłych podręcznikach historii, nowy rozdział będzie zaczynał się datą: „Sierpień 1980”.

Tomasz MIANOWICZ

Paryż, w sierpniu 1981 r.

Na marginesie ustawy o cenzurze

Każda cenzura jest ograniczeniem naturalnego prawa do wolności słowa, a co za tym idzie druku i rozpowszechniania. Wolność słowa, podobnie jak każda wolność czy prawo, swe zadanie w życiu społecznym spełnia wtedy, gdy nie narusza wolności i praw innej jednostki czy grupy. Ochrona wolności i praw jednostki lub grupy przed zakusami innych stanęła u podstaw koncepcji państwa.

Ustawa o kontroli prasy, publikacji i widowisk uchwalona przez sejm 31 lipca 1981 roku jako cel stawia sobie pełną realizację konstytucyjnie potwierdzonego prawa do wolności słowa i druku. Regulując obywatelskie wolności, ustawa realizuje je praktycznie w kilku płaszczyznach. Przede wszystkim określając, czego *nie można*, korzystając z wolności słowa i druku, po drugie ustanawiając cenzurę prewencyjną i system organów administracji decydujących o dopuszczeniu publikacji do druku, po trzecie — warunkowo wyłączając spod kontroli niektóre publikacje, wreszcie po czwarte ustanawiając przepisy karne określające zasady odpowiedzialności.

Jeżeli istnieje powszechna zgoda, że państwo stoi na straży wolności należnych jednostce, to naturalne jest, że określa ono, jak daleko może sięgać ingerencja w ten zakres wolności, który szkodzi innym. Dlatego cenzura winna chronić przed ujawnianiem tajemnicy państwowej i wojskowej, przed pornografią, wierzających przed znieważaniem przedmiotów kultu itp. Istota różnicy między państwem demokratycznym a totalitarnym w zakresie wolności słowa leży w tym, że państwo totalitarne poza ochroną wyżej wymienionych wartości chroni przede wszystkim własną substancję i nienaruszalność podstaw swego istnienia.

Temu też celowi podporządkowana jest ustawa. Szczególnie widoczne jest to w punktach 2 i 3 art. 2:

- art. 2 pkt 2: [korzystając z wolności słowa i druku w publikacjach i widowiskach nie można — przypis autora] „nawoływać do obalenia, lżyć, wyszydzać lub poniżyć konstytucyjny ustrój Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”;
- art. 2 pkt 3: „godzić w konstytucyjne zasady polityki zagranicznej Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i jej sojusze”.

Nie ulega wątpliwości, że lżenie i poniżanie jest wysoce naganne. Ale tylko tyle. Cóż oznacza, że nie wolno nawoływać do obalenia ustroju konstytucyjnego i godzić w konstytucyjne zasady polityki zagranicznej? Są to słowa wytrychy i mogą oznaczać a nawet oznaczają, że każdy kto przeciwstawia się regułom politycznym ustanowionym przez państwo będzie skazany na milczenie. W rzeczywistości sformułowania ustawy sprzeczne są z formalnymi postanowieniami konstytucji, która jako jeden z aktów prawnych w każdej chwili, przy zachowaniu odpowiedniej procedury, może być zmieniona. Nawoływanie do zmiany konstytucji idące w kierunku społecznych oczekiwań jest zgodne z tą konstytucją, niezgodne natomiast z ustawą na podstawie tej konstytucji wydaną i publikowane być nie może.

Demokratyczne państwo dla ochrony jednostki czy grupy przed nadużyciem prawa ze strony administracji czy innej jednostki powołało niezawisły sąd. Tylko w jego kompetencji leży rozstrzyganie, czy wartości chronione zostały naruszone. Państwo totalitarne dla własnej ochrony powołało instytucję cenzury prewencyjnej i, co niezmiernie ważne, w ustawie o kontroli prasy, publikacji i widowisk wstępna zgoda na rozpowszechnianie wypowiedzi — czyli publikację — leży w kompetencji organu administracyjnego. Zależność administracji wynika z samej definicji. Jej celem jest realizacja polityki państwa. Oznacza to, że wstępna kontrola publikacji, przy nieprecyzyjnie sformułowanych przepisach, zależna jest od pryncypiów ideologicznych, na których oparty jest system państwowy, i od wynikającej z tych pryncypiów polityki w stosunku do społeczeństwa. Państwo niejako decyduje we własnej sprawie, ustanawiając jednocześnie zasady i reguły postępowania.

Ciekawe w związku z tym jest sformułowanie ustępu 1 artykułu 10 ustawy: „Rada Państwa *uchwala* (podkreślenie autora) regulamin określający szczegółowy tryb sprawowania kontroli publikacji i widowisk przez Główny Urząd oraz okręgowe Urzędy”. Rada Państwa jest organem, który decyduje o wiążącej interpretacji prawa, ustala jego wykładnię. W tym przypadku sformułowanie „uchwala” (powinno być „uchwali”) sugeruje, że „regulamin określający szczegółowy tryb sprawowania kontroli publikacji” będzie różny, w zależności od zmieniającej się pod wpływem bieżącej polityki wykładni przepisów ustawy. Ten sposób regulacji z pewnością nie przyczyni się do społecznej akceptacji ustawy jako czynnika decydującego o praktycznym jej funkcjonowaniu.

Ustawa przewiduje 22 wyłączenia spod kontroli wstępnej. Istotne znaczenie ze względu na obecną sytuację polityczną — szczególnie istnienie NSZZ „Solidarność” — ma wyłączenie warunkowe zawarte w pkt. 11 art. 4: [nie podlegają kontroli wstępnej — przypisy autora] „biuletyny zawierające informacje, w tym i opinie w sprawach dotyczących statutowej działalności, oraz druki, formularze i zawiadomienia organizacji politycznych, związków zawodowych i innych organizacji społecznych przeznaczonych dla członków tych organizacji do wewnętrznego kolportażu i opatrzone taką klauzulą; w wypadku gdy publikacja systematycznie narusza postanowienia art. 2, Główny Urząd może, po bezskutecznym ostrzeżeniu wydawcy, poddać dany tytuł wydawniczy kontroli wstępnej na czas ściśle określony, nie dłuższy jednak niż sześć miesięcy. Decyzja ta podlega zaskarżeniu do Naczelnego Sądu Administracyjnego na zasadach przewidzianych w niniejszej ustawie”. Sformułowania tego punktu są o tyle ciekawe i ważne, że stanowią wynik obrony państwowego monopolu informacji. Monopolu, który jest nie do utrzymania ze względu na społeczną świadomość i ogromną ilość pism i wydawnictw funkcjonujących w ramach „Solidarności” czy pod jej patronatem. Z praktycznego punktu widzenia klauzula ograniczająca przepis pkt. 11 ma znaczenie czysto formalne. Ograniczenie jest bezskuteczne podczas całej drogi proceduralnej aż do momentu orzeczenia Naczelnego Sądu Administracyjnego. Ostatecznie wtedy wydawca może zmienić tytuł wydawniczy. Smutny jest fakt, że twórcy ustawy zgodzili się firmować przepisy, które jeszcze przed wejściem w życie ustawy są martwą literą.

Przepisem który budzi bardzo poważne zastrzeżenia jest art. 17: „Kto uchyla się od obowiązku poddania publikacji lub widowiska kontroli określonej w ustawie albo nie stosuje się do zakazów wynikających z decyzji i zarządzeń organów kontroli publikacji i widowisk, podlega karze grzywny do 5.000 zł”. Po pierwsze artykuł nie precyzuje, wydaje się że celowo, zasięgu osób, które mogą być pociągnięte do odpowiedzialności. Oznacza to, że postawiony przed kolegium i ukarany grzywną w wysokości 5.000 zł może być autor publikacji, członkowie redakcji reprezentujący wydawnictwo, drukarze, kolporterzy. Po drugie, z przyczyn o których wspominałem wyżej, przepis ten wymierzony jest bezpośrednio w wydawnictwa niezależne.

Jak wynika z oświadczenia I Zjazdu Niezależnych Wydawnictw, który się odbył w Warszawie w czerwcu 1981, nie zamierzają one podporządkować się ustawie o kontroli prasy, publikacji i widowisk, kierując się w programie wydawniczym wartością artystyczną, historyczną i literacką dzieła. Z całą pewnością nie oznacza to, że będą wydawane publikacje nawołujące do popełniania przestępstw, propagujące alkoholizm, narkomanie, okrucieństwo czy pornografię, uprawiające propagandę wojenną. Ustawa o cenzurze jest wsteczna i w najwyższym stopniu nie odpowiada stanowi politycznej świadomości Polaków. Przesądza to sprawę jej funkcjonowania i społecznej akceptacji. Działania

wszystkich organizacji zainteresowanych pełną realizacją prawa do swobodnego wypowiedzania się i rozpowszechniania tej wiedzy winny zmierzać do uchylecia tej ustawy. Niejako po drodze do tego celu, uznając dorobek niezależnych wydawnictw i celowość ich dalszej pracy, należy domagać się precyzyjnej wykładni owego „kto” z karnego przepisu art. 17 ustawy.

Marek BOROWIK

Konsolidacja długów PRL

Podjęte przed rokiem zabiegi o konsolidację długów PRL — niechętnie używam słów „długi polskie” — nie przyniosły jeszcze zadowalającego rezultatu. Zabiegi te przybrały rozmiary bitwy, w której strona polska wykazuje słabość zarówno w koncepcji strategicznej jak i w rozgrywce na poszczególnych odcinkach walki.

Przedmiotem zabiegów są długi zagraniczne, smutna spuścizna gospodarki Edwarda Gierka. Długi te szacowane były przed rokiem przez administrację komunistyczną na 24 mld dolarów. Dziś mówi się już o sumie 28 do 30 miliardów. Są to zobowiązania wobec 16 państw i około 460 banków zachodnich. Nie wchodzi do tej sumy zadłużenie wobec ZSSR, nieznaney wysokości, traktowane niemal jak tajemnica państwowa.

W sytuacji, w jakiej znalazła się gospodarka PRL, rząd warszawski powinien był już dawno ogłosić bankructwo i niewypłacalność. Takie rozwiązanie nie leżało jednak w obustronnym interesie dłużnika i wierzycieli. PRL potrzebuje pilnie nowych kredytów, a tych nie daje się bankrutowi. Wierzyciele zachodni, zwłaszcza banki, chcą ratować zaangażowane kapitały; niewypłacalność grozi katastrofą dla wielu małych instytucji kredytowych i przedsiębiorstw. Zdecydowano się więc na podjęcie rokowań o konsolidację długów.

Konsolidacja — termin wysoce niejasny — jest synonimem sanacji finansowej. Rozumie się pod tym pojęciem zmasowanie długów wobec wielu wierzycieli i ustalenie nowych warunków spłaty, przy jednolitym zazwyczaj traktowaniu uprawnień pojedynczych kredytodawców. Wiąże się to z reguły z moratorium i konwersją, jako drogami sanacji finansowej. Moratorium jest zawieszeniem płatności albo tylko kapitału, albo kapitału i procentów, a więc odroczeniem tych płatności na pewien okres dla umożliwienia dłużnikowi poprawy sytuacji finan-

sowej. Konwersja, w ścisłym znaczeniu tego słowa, jest zamianą tytułów dłużnych na inne, połączoną zazwyczaj ze zmianą oprocentowania i terminów spłaty kapitału.

W tym sensie walka o konsolidację długów PRL rozgrywa się na trzech frontach: 1) zachodnich kredytów państwowych i kredytów prywatnych gwarantowanych przez państwo, a więc obciążających w razie niepłatności budżet publiczny; 2) zachodnich kredytów bankowych i 3) kredytów sowieckich łącznie ze zobowiązaniami wobec Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej (RWPG, tzw. na Zachodzie „Komekonu”).

Na tych trzech frontach zabiegi PRL przyniosły już pewne osiągnięcia, wyolbrzymiane oczywiście przez propagandę, szczególnie jeśli chodzi o pomoc ze strony ZSSR. Nie wygrano jednak jeszcze batalii zasadniczej, która rozegra się prawdopodobnie w najbliższych miesiącach, w okresie od października do grudnia tego roku. *Jaka jest rzeczywista sytuacja?* W dniu w którym piszę te słowa (13 września) możliwe jest tylko sporządzenie „międzybilansu” opisowo-informacyjnego, gdyż nie można jeszcze podać bilansu w cyfrach.

Kredyty państwowe

W dniach 23-25 lutego podjęto w Paryżu rokowania z 15 krajami wierzycielskimi. Rokowania te zakończone zostały 28 kwietnia podpisaniem protokołu. Dotyczył on jedynie kredytów państwowych i przez państwa gwarantowanych z *zapadłością spłaty kapitałów i procentów w roku 1981*. Strona polska podała ogólną sumę tych zobowiązań w wysokości 3,5 mld dolarów. Szacowano całość tych tzw. „kredytów państwowych” na około 8 mld (około 1/3 ogólnego zadłużenia PRL, ocenianego wówczas na 24 mld) dziś prasa zachodnia wymienia już sumę 14 mld dolarów.

Z tej sumy 3,5 mld 2,6 mld przypada na spłatę kapitału i 0,9 mld na procenty. Zobowiązania PRL wobec 15 krajów, które podpisały protokół, oceniano na 2,8 mld; różnica 0,7 mld obejmuje tegoroczne płatności wobec innych państw, głównie w stosunku do Hiszpanii, krajów naftowych i socjalistycznych z ZSSR łącznie.

Protokół paryski z 28 kwietnia 1981 nie był układem konsolidacyjnym w sensie podanej na wstępie definicji, ale zaleceniem dla krajów wierzycielskich uregulowania spłaty długów z zapadłością w roku bieżącym w drodze układów bilateralnych. Zalecono mianowicie odroczenie płatności 90% kredytów państwowych, jakie powinny być spłacone od 1 maja do 31 grudnia 1981 na 4 lata (a więc *de facto* moratorium) z tym, że w następnych 4 latach spłaty mają być dokonane w 8 ratach półrocznych wraz z narosłymi procentami i rozpocząć się 1 stycznia 1986. Pozostałe 10% PRL ma spłacać w omówionych terminach.

Jeśli można wierzyć informacjom z Warszawy, PRL zawarła już 12, a jeśli liczyć nie należącą do grupy 15 państw Hiszpanię, 13 układów bilateralnych. Trwają jeszcze pertraktacje z największymi wierzycielami, z USA i NRF oraz z Holandią.

Przykładowo tylko: w układzie z Japonią, podpisanym 3 lipca (według informacji w prasie zachodniej) PRL uzyskała odroczenie płatności 90% kredytów Exim-Banku i innych zobowiązań o charakterze publicznym oraz związanych z tymi zapadłościami procentów od maja do grudnia 1981, do roku 1986. Te kredyty szacowane są na 100 mln dolarów. Nie uniknięto jednak wysokiego oprocentowania, dorzucanego do kapitału, który ma być spłacony po tym roku. Oprocentowanie to ustalono na 9% dla zobowiązań w yenach i 13% w dolarach (*de facto* konwersja). Zawarty w końcu lipca według wzoru paryskiego układ ze Szwajcarią odciążył w tym roku bilans płatniczy PRL sumą około 85 mln fr. szw. (40,1 mln dolarów). Chodzi tu znów tylko o 90% płatności kredytów państwowych, głównie jednak prywatnych gwarantowanych przez rząd federalny. Oprocentowanie tych płatności odroczone na 4 lata ustalono na 8%, a więc o 2% powyżej oprocentowania w tym czasie obligacji kasowych szwajcarskich wielkich banków. Trudno jeszcze zdać sobie sprawę z ogólnej sumy odciążenia w roku 1981 polskiego bilansu płatniczego, uzyskanego w drodze tego rodzaju układów.

Otwarta jest nadal sprawa kredytów zachodnich o charakterze publicznym z zapadłością spłaty kapitału i procentów w roku 1982 i w latach następnych. Rozmowy na ten temat podjęto w dniu 9 września w Paryżu z przedstawicielami rządów głównych państw wierzycielskich, USA, Niemiec Zachodnich, Francji i Wielkiej Brytanii, w asyście delegatów innych państw jako obserwatorów. Główna debata przewidziana jest w październiku, ale decyzją zapadnie prawdopodobnie dopiero w listopadzie lub grudniu. Stale jeszcze kraje wierzycielskie żądają od PRL konkretnych cyfr zadłużenia i wiarogodnego planu stabilizacji gospodarki. Plan, jaki na 60 stronicach doręczono na lutowej konferencji w Paryżu, wielokrotnie korygowany, z jednoczesnym żądaniem nowych kredytów w olbrzymiej sumie 10 mld dolarów, uznano za nierealny.

Kredyty bankowe

Z ogólnej sumy zadłużenia zachodniego PRL, szacowanego obecnie na 28 mld dolarów, połowa, a więc około 14 mld, przypada na zobowiązania wobec około 460 banków prywatnych. Te cyfry podawane są w prasie zachodnioeuropejskiej. Rozmowy na temat konsolidacji tych długów podjęto w marcu w Londynie. Wyłoniony z przedstawicieli banków wierzycielskich komitet, tzw. *Task Force*, w składzie 21 fachowców, opracował projekt regulacji, kierując się wytycznymi przyjętymi dla długów publicznych w protokole paryskim.

Komitet zaproponował początkowo *de facto* moratorium tylko dla długów średnio- i długoterminowych z zapadłością w roku 1981, z wyłączeniem długów krótkoterminowych. Żądano, aby te ostatnie były bezwarunkowo spłacone, jak również procenty od wszystkich zobowiązań, nawet objętych moratorium. Kredyty z zapadłością w roku 1982, podobnie jak kredyty państwowe, miały podlegać oddzielnej regulacji, najpóźniej do jesieni.

Po przewyciężeniu oporu banków amerykańskich, które bez konkretnych informacji i zobowiązań w sprawie reformy gospodarczej wzbierały się przystąpić do układu, zgodzono się na modyfikację projektu. Został on przedłożony delegacji PRL w dniu 22 lipca na konferencji w Zurychu. Nie opublikowano pełnego tekstu.

Z zachodnich informacji prasowych wiadomo, że projekt konsolidacji długów bankowych jest kompromisem zawartym między bankami zachodnioeuropejskimi i 60 bankami amerykańskimi. Uwzględnia on życzenie Amerykanów zamrożenia spłaty kredytów tylko do 10 grudnia 1981, jak również wniosek Europejczyków, zmierzający do moratorium i konwersji kredytów na 7-8 lat przy zasadzie jednakowego traktowania wszystkich długów.

W zasadniczych swych punktach projekt przewiduje:

- 1) Tymczasową karencję długów bankowych do 10 grudnia 1981. Do tego czasu PRL ma przedłożyć program stabilizacji gospodarki i dodatkowe informacje o sytuacji gospodarczej i stanie zadłużenia. Dla banków amerykańskich jest to zasadniczy warunek konsolidacji kredytów.
- 2) Po tym terminie i wypełnieniu warunku nastąpi zawieszenie płatności na 4 lata.
- 3) Oprocentowanie zawieszonych kredytów ma wynosić 1,75 % powyżej kosztów, które są różne w krajach wierzycielskich.
- 4) Po podpisaniu układu, niezależnie od dokonanych już spłat w I kwartale 1981, uiszczona ma być przypuszczalnie kwota 2,5 mld dolarów (5-10 % zadłużenia).

Krótko mówiąc komitet *Task Force* proponuje PRL moratorium dla długów bankowych na okres 7-8 lat przy zarachowywaniu większych procentów, zapłacie około 2,5-3,0 mld dolarów oraz przedłożeniu dokładnych informacji o stanie gospodarki i zadłużenia.

Delegacja PRL na konferencji zurychskiej w osobach Z. Karca (jako zastępcy ministra skarbu PRL Mariana Krzaka) i dyrektora Banku Handlowego w Warszawie Jana Wołoszyna zgodziła się w zasadzie z „tendencjami i duchem propozycji”, podniosła jednak zastrzeżenia. Odnoszą się one, jak można przypuszczać, nie tylko do wysokości oprocentowania kredytów podlegających moratorium, przeciętnie o 1,75 % ponad londyńska

stopę międzybankową (Libor). Najbardziej kłopotliwy dla administracji warszawskiej jest warunek dostarczenia dokładnych informacji i planu stabilizacyjnego. Dotychczasowe metody obliczeniowe w ramach komunistycznej gospodarki, negligowanie roli pieniądza i kursów przeliczeniowych, niedokładne i często zafałszowane statystyki powodują trudności techniczno-statystyczne, z którymi nie może sobie dać rady ministerstwo skarbu w Warszawie. Czas biegnie i ciągle jeszcze nie został dostarczony polski *letter of intent*.

Z tego powodu nowa konferencja w Wiedniu w dniu 5 sierpnia w siedzibie „Creditanstalt-Bankverein” nie dała rezultatu. Postanowiono jednak kontynuować prace nad prawniczym sformułowaniem układu. Ustalono nowy termin spotkania na 17/18 września, ale i ten termin przesunięto na 28/29 września i nie wiadomo, czy będzie dotrzymany.

„Trudno wymagać — pisał komentator dobrze zorientowanej w przebiegu pertraktacji *Neue Zürcher Zeitung* nr 167 z dnia 22 lipca — aby europejskie banki mogły zadowolnić się przedłożonym sprawozdaniem *on the state of the economy*, które nawet w nieco zmodyfikowanej formie odrzucone zostało przez polski Sejm jako całkowicie pozbawione treści (*vollständig inhalts-leer*)”.

Kredyty sowieckie

Tylko z polskich źródeł i ze skąpych informacji negocjatorów PRL można się czegoś dowiedzieć o stanie zadłużenia wobec ZSSR. Prasa obu krajów reklamuje stale „braterską pomoc”, wymienia 4,5 mld dolarów tej pomocy od sierpnia ubiegłego roku, ale zachodni ekonomiści łamią sobie głowę, ile w tym jest pomocy finansowej, ile towarowej i w ogóle po jakim kursie pomoc ta jest przeliczana.

Moskwa już w październiku — według tych informacji — miała udzielić PRL kredytu w wysokości 690 mln dolarów w trwałej walucie na spłatę polskich długów zachodnich i w grudniu 1980 przyznać nowy kredyt towarowy, w sumie 1,1 mld. 20 lutego udało się Kani osiągnąć w pertraktacjach z Breżniewem krótkoterminowe moratorium dla spłaty tych i innych zadłużeń do roku 1985. Okrzyknięto to w Warszawie jako wielki sukces. W rzeczywistości była to nie „pomoc”, ale działanie Sowietów we własnym interesie. ZSSR zdaje sobie dobrze sprawę, że bez ustabilizowania gospodarki polskiej plany RWPG leżą w gruzach. Jest to jeden, jak mi się wydaje, z głównych powodów, dla których ZSSR nie chce pogłębiać kryzysu gospodarczego w Polsce przez zbrojną interwencję.

Analiza pomocy sowieckiej dla Polski nie jest przedmiotem tego artykułu. W zestawieniu z odnośną pomocą finansową i towarową krajów zachodnich, którą tu również pomijam, jest ona na pewno o wiele mniejsza, choć o niej prasa partyjna najwięcej

pisze, a o zachodniej daje tylko szczupłe informacje, albo ją w ogóle pomija.

Jeśli chodzi o sprawę konsolidacji długów — a to jest naszym tematem — Kania uzyskał w dniu 15 sierpnia w czasie wizyty na Krymie nową koncesję od Breżniewa. Znów z wielkimi pochwałami podano do wiadomości, że ZSSR zgodził się na odroczenie na 5 lat spłaty długów zaciągniętych w latach 1976-1980, a więc na moratorium do nowego okresu pięcioletniego 1986-1990, które miało poszerzyć poprzedni układ z dnia 20 lutego. Nikt jednak nie wie, jakie sumy zostały poddane temu moratorium i na jakich warunkach. Na Zachodzie uznano ten nowy układ polsko-sowiecki za manewr propagandowy, a zarazem za zachętę do odpowiedniego uregulowania kredytów zachodnich z zapadłością w roku 1982 i w latach następnych.

Można przypuszczać, że nie więcej jak około 4 mld dolarów sowieckich kredytów zostało ujęte w nowym układzie, w tej sumie 965 mln dolarów w twardej walucie (Jagielski w Gdyni). Trzeba podkreślić, że na 35 dorocznym zebraniu Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej w Sofii w dniu 6 lipca nie powzięto żadnych uchwał w sprawie pomocy dla Polski. Partnerzy w RWPG uznali, że PRL musi najpierw sama wypracować plan uzdrowienia gospodarki.

Perspektywy

Sumując te rozważania można powiedzieć, że w dniu, w którym piszę te słowa, sprawa konsolidacji polskich długów zagranicznych nie rysuje się różowo. Pertraktacje przeciągają się i idą po kamienistej drodze. Z indolencją negocjatorów PRL, nie zaznajomionych należycie ze stosunkami finansowymi na Zachodzie i międzynarodowym obrotem kapitałów, niezdolnych do przedłożenia dokładnych cyfr zadłużenia i wiarygodnego programu reformy i polityki gospodarczej idzie w parze brak zaufania do komunistycznej gospodarki ze strony zachodnich wierzycieli. Stąd stawianie partnerowi polskiemu dość ciężkich warunków, asekurowanie się przez wysokie oprocentowanie długów objętych proponowanym moratorium, co nie jest żadną asekuracją i nie ułatwia PRL wywiązania się ze zobowiązań. Niemniej nie można odmówić wierzycielom zachodnim dobrej woli i chęci dopomożenia narodowi polskiemu (bo przecież nie rządzącej partii komunistycznej) w wyjściu z obecnej katastrofalnej sytuacji.

Przez nowe pomoce zachodnie, kredyty finansowe i towarowe długi PRL rosną. W studium *Poland: The Current Crisis and Outlook*, opublikowanym niedawno w Brukseli przewidywano, że zadłużenie PRL osiągnie pod koniec 1981 roku sumę 35 mld dolarów, co odpowiadać będzie mniej więcej wpływowi z 7 lat polskiego eksportu do krajów zachodnich i trzeciego świata. Zdaniem autorów tego studium, wyznawana w pewnych kołach

zachodnich teoria tzw. „parasola ochronnego”, według której Sowiety we własnym interesie przyjść powinny z pomocą mniejszym krajom RWPG, mogłaby mieć praktyczne zastosowanie tylko pod dwoma warunkami: jeśli Moskwa przekona się, że posłuszny jej rząd w Warszawie będzie panem sytuacji, lub też — jeśli wojska sowieckie wmaszerują do Polski.

Sytuacja jest na pewno poważna. Można tylko życzyć krajowi, aby w obliczu grożących mu ciągłe niebezpieczeństw wszystkie rozsądnie politycznie i gospodarczo myślące siły w partii, której niestety nie można dziś za jednym zamachem usunąć, w Kościele i w „Solidarności”, zdobyły się na realny program reformy i polityki gospodarczej. Tylko w tej drodze może być przywrócone zaufanie Zachodu do gospodarki w Polsce, zwiększony konieczny eksport do krajów zachodnich i umożliwiona spłata kredytów według układów, które w końcu tego roku powinny być sfinalizowane.

Janusz RAKOWSKI

Zurych, 13 września 1981

Problemy narodowościowe w PRL

NAPRAWA KRZYWD

Trzy teksty. Pierwszym jest artykuł Macieja Kozłowskiego *Łemkowie* w *Tygodniku Solidarność* z 14 sierpnia. Artykuł znakomity, godny najuważniejszej lektury. Przytoczymy z niego tylko fragmenty. Zaczyna się tak: „Uczeni do dziś spierają się: skąd przybyli? czy są narodowością, czy nie? Dla Pawła Czuchty, Stefana Dziama, Stefana Sysaka, Pawła Kaszczaka i pozostałych szesnastu mieszkańców wsi Zdymia, którzy przed dziesięciu laty podpisali zbiorowy list do premiera, spory te nie mają wielkiego znaczenia. Wiedzą jedno: są Łemkami i za to, że chcą nimi pozostać, od kilkudziesięciu lat spotykają ich krzywdy, szynki, prześladowania. Chcą odzyskać prawnie należną im własność: lasy, chcą sprawiedliwości, chcą korzystać z praw, które teoretycznie przysługują powinny wszystkim mieszkańcom naszego kraju, niezależnie od tego, czy świętują Wielkanoc dwa tygodnie wcześniej czy później, czy chrzczą swe dzieci w kościele czy w cerkwi”. Kozłowski pisze dalej: „Przed dziesięciu laty głośnym echem odbiła się sprawa cerkwi w Polanie, bezprawnie zajętej przez miejscowego księdza, który publicznie wyklął miejscowych Łemków, każąc im wynosić się z 'katolickiego' kraju. I nie były to bynajmniej wypadki odosobnione. Najgroźniejszy

jest jednak twardy zakaz władz nauczania w łemkowskich szkołach ich własnego języka. Jednocześnie różni 'uczeni' z satysfakcją badają procesy 'asymilacji'. Słowem — na naszych oczach, przy wyrażonej satysfakcji i pomocy władz, ginie kolejna grupa naszych rodaków, naród który w granicach Rzeczypospolitej żył przez wiele stuleci". I konkluduje: „Łemkowie zbyt są słabi, zbyt wiele doznali zła, by sami — po raz który już — dochodzić własnych praw, praw które w każdym cywilizowanym państwie powinny im przysługiwać bez żadnych zastrzeżeń, by mogli bez przeszkód wyznawać swą wiarę, by zdjęto z nich wreszcie niezaskuszone odium 'bandytów' i 'wrogów', by przywrócono im — tam gdzie to jest jeszcze możliwe — ich zagrabioną przed ćwierćwieczem własność. Powinniśmy im w tym pomóc. To właśnie w stosunku do słabszych i 'innych' przejawić się powinna prawdziwa solidarność”.

Tekst drugi ukazał się w *Tygodniku Powszechnym* z 23 sierpnia, nazywa się *Panachyda bieszczadzka*. Chodzi o krótką recenzję Włodzimierza Mokrego z wystawy fotograficznej Ewy Zaręby w lokalu Krakowskiego Stowarzyszenia Architektów. „Trzy cerkwie — dowiadujemy się z katalogu wystawy, której autorka nadała tytuł *Requiem bieszczadzkie* — zniknęły wiosną 1980. Dwie rozebrano, trzecią wysadzono”. Recenzent dodaje: „Czwartą, której szczątki uchwycone zostały na slajdy, wykonane na kilka dni przed otwarciem wystawy — spalono”.

I wreszcie trzeci tekst, *Bieszczadzkie „ziemie odzyskane”* Leszka Konarskiego w związanym z „Solidarnością” *Wiadomościach Krakowskich* z 30 czerwca. „Setki bieszczadzkich chłopów wiążą nadzieje na powiększenie swych gospodarstw z możliwością zakupu lub wydzierżawienia ziemi, będącej aktualnie w posiadaniu Urzędu Rady Ministrów”. W artykule — który jest częściowo rozmową z Antonim Wojnarowiczem, przewodniczącym Niezależnego Samorządnego Związku Rolników Indywidualnych „Solidarność” regionu Bieszczady i byłym szefem komitetu strajkowego w Ustrzykach Dolnych — mowa też o „akcji osadniczej” i o „zakładaniu nowych wiosek”. Bo „ziemi w Bieszczadach jest jeszcze bardzo dużo”, a „amatorów na tereny URM jest również bardzo dużo”. Ale wśród amatorów nie wymienia się ani jednym słowem tych, którym — według słusznego postulatu Kozłowskiego — należy „przywrócić, tam gdzie to jest jeszcze możliwe, ich zagrabioną przed ćwierćwieczem własność”. Więc jak to jest z ową „prawdziwą solidarnością”, do której zwraca Kozłowski w centralnym organie „Solidarności”?

NADZIEJA ŁEMKÓW

Dziękuję Wam serdecznie za artykuł pt. „Łemkowie”. W naszej wsi ja jeden prenumeruję *Solidarność*. Gazetę błyskawicz-

nie rozniostem po 6 naszych rodzinach, jest w tej chwili nie do poznania, bo tak silnie jest zalana łzami. Mam 38 lat i wszystkich tych szykan doznałem i doznaję do dziś na własnej skórze. Opiszę tylko fragmentek z moich dziecinnych lat. Dzieci ludzi zza Buga były tak wrogo nastawione do mnie, że w ciągu 14 lat jak chodziłem do szkoły (może tylko w niedzielę jak nie wychodziłem z domu) było parę dni, żebym nie był bity albo wśmiewany. Nigdy nie mogłem przejść do szkoły prostą drogą, a miałem do szkoły 3 km, tylko zawsze musiałem chodzić okrężną drogą przez mokradła około 4-5 km, dlatego bo na drodze już na mnie czekali, żeby pobić.

Szanowna Redakcjo, nie mogłem się powstrzymać, żeby nie napisać do Was, jak odebrałem Wasz artykuł. Cieszy mnie to, że są jeszcze ludzie, którzy chcą nam pomóc, którzy widzą jasno, jak nas skrzywdzono.

Nie traciłem nigdy nadziei a utwierdził mnie w tym przekonaniu Wasz artykuł, że być może przyjdzie taki dzień, że wrócę na ziemię moich przodków. Tam bym się czuł szczęśliwy. I że zdejmie się z nas miano bandyty — bo to jest nie do zniesienia.

Dymitr STAŃCZAK

SOLIDARNOŚĆ nr 24 z 11. 9. 1981.

JESZCZE O UKRAIŃCACH W POLSCE

Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem w nr. 7/8 *Kultury* artykuł „Aktywizacja mniejszości ukraińskiej w Polsce”. Jestem Ukraińcem z Polski od niedawna mieszkającym na Zachodzie. Sprawy ukraińskie znam zarówno z własnego doświadczenia jak i z relacji znajomych. W stosunku do fali wielkich wydarzeń w Polsce są one tylko cząstką całości. Tym większy mój szacunek i uznanie dla *Kultury* za tę publikację. Kontrast tu wyraźny w porównaniu z wieloletnim milczeniem prasy krajowej.

Aktywizacja mniejszości ukraińskiej w Polsce jest na tle ogólnokrajowej atmosfery ożywienia i procesu demokratyzacji zjawiskiem naturalnym. Idąc z duchem czasu, Ukraińcy w Polsce już w październiku 1980 roku zaczęli występować z postulatami na piśmie pod adresem władz centralnych. Na naradzie w Olsztynie (12 października 1980) uczestnicy dowiedzieli się nieoficjalnie, że środowisko ukraińskie z Przemysła wystąpiło z postulatami do KC PZPR. W następnych tygodniach postulaty do władz centralnych wysłały środowiska ukraińskie z Koszalina, Szczecina, Gdańska i innych miejscowości.

Zapewne dla utemperowania zapału mniejszości ukraińskiej sfabrykowano ulotkę rzekomo autoryzowaną przez nacjonalistów ukraińskich. Dla nadania temu odpowiedniego efektu zademonstrował ją generał Oliwa na posiedzeniu Sejmu. Przemówienie było transmitowane przez radio, telewizję, drukowane w prasie. Trudno pojąć, co było przyczyną tak mocnego zaakcentowania rzekomego istnienia ukraińskich sił nacjonalistycznych w Polsce. Praktycznie i tak nikt w to nie uwierzył. Chyba że sam generał.

Inaczej po cóż by miał podnosić tak marginesowe zjawisko do rangi problemu godnego trybuny sejmowej. Najbardziej charakterystycznym przy tym jest to, że treść ulotki nie jest znana środowiskom ukraińskim. Na zebraniu Zarządu Głównego Ukraińskiego Towarzystwa w Warszawie w marcu bież. roku poruszono sprawę ujawnienia autorów tej ulotki. Pracownik Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Demianuk wyjaśnił, że autorstwo nie jest ustalone, ale on jest przekonany, że zrobili to Ukraińcy.

Postulaty z jakimi wystąpili Ukraińcy nie zostały potraktowane z takim rozgłosem. Faktycznie nikt nie udzielił na nie pełnej odpowiedzi, poza ogólnymi mglistymi sformułowaniami przedstawicieli KC i MSW, że będą rozpatrywane i w miarę możliwości załatwiane.

Mniejszość ukraińska domaga się między innymi:

— umożliwienia wybierania posłów do Sejmu spośród mniejszości ukraińskiej;

— poprawy stanu szkolnictwa w języku ukraińskim, gdyż w porównaniu do lat poprzednich szkolnictwo istnieje w szczątkowej formie. Jako przykład dyskryminacyjnego traktowania szkolnictwa przez władze oświatowe podaje się szkołę zbiorczą w Białym Borze w województwie koszalińskim, znajdującą się w katastrofalnym stanie.

— transmitowania nabożeństw w języku ukraińskim w radio i telewizji z okazji wielkich świąt;

— nieingerencji służb Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w sprawy działalności kulturalnej (np. ograniczanie częstotliwości festiwalu zespołów amatorskich);

— przywrócenia poprzedniej struktury organizacyjnej Ukraińskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego tj. działalności zarządów wojewódzkich. Zarządy te zlikwidowano ogólnie przez władze;

— zapewnienia odpowiednich środków materialnych na działalność kulturalną Towarzystwa. Jako jedno z rozwiązań podaje się przywrócenie działalności gospodarczej Towarzystwa, która była prowadzona w początkowym okresie i zakazana po 1960 roku;

— stworzenia należytych warunków dla rozwoju działalności chóru męskiego „Żurawli”, którego koncerty cieszą się wielkim powodzeniem wśród ludności nie tylko ukraińskiej ale i polskiej. Dotychczas po wielu latach starań wydano jedną jedyną płytę, której jednak nie można było skierować do publicznej sieci handlowej.

Ponadto w różnych wystąpieniach na zebraniach w Olsztynie, Koszalinie, Warszawie Ukraińcy domagali się zaprzestania wzywiania na „rozmowy” ze służbą bezpieczeństwa działaczy i sympatyków Towarzystwa. „Rozmowy” te miały na celu zastraszenie i hamowanie aktywności poszczególnych członków.

Z ostatnich przykładów wynika chyba dość jasno, że sytuacja Ukraińców w Polsce daleka jest od tej, jaką można by nazwać normalną we współczesnym cywilizowanym świecie. Formalnie uznawane przez PRL prawa człowieka nie są w pełni przestrzegane wobec Polaków, a cóż dopiero wobec Ukraińców żyjących w rozproszeniu. Ukraińcy w Polsce są obywatelami niższej kategorii niezależnie od tego, czy sobie z tego zdają sprawę czy nie. Władze dotychczas podtrzymywały uprzejmie ten stan rzeczy. Na krajowych zjazdach Towarzystwa wybierano członków Zarządu Głównego i Komisji Rewizyjnej. Wybrani członkowie tych instytucji zbierali się oddzielnie celem wybrania spośród siebie przewodniczącego, zastępców i członków prezydium. Wówczas przedstawiciel KC PZPR wyciągał z kieszeni karteczkę i odczytywał, kto ma kim być. Było też szereg przypadków usuwania członków z Towarzystwa na polecenie władz.

Obecnie ujawniają się dążenia mniejszości ukraińskiej do pełnego uczestnictwa w życiu społecznym, do korzystania ze swobód obywatelskich bez potrzeby ukrywania swojej narodowości, do zachowania tożsamości narodowej. Wiele aktywności wykazuje młodzież, u której wzory patriotyzmu polskiego łączą się z silnym przywiązaniem do tradycji ukraińskich wynoszonych z domów rodzinnych. Posiada ona stosunkowo wysokie poczucie przynależności narodowej.

Z procesem demokratyzacji mniejszość ukraińska wiąże też nadzieje na kształtowanie krajowej opinii publicznej w duchu tolerancji i poszanowania godności ludzkiej bez względu na przynależność narodową. W tej mierze prasa krajowa pozostaje w tyle za emigracyjną (sądząc po *Kulturze*).

J.P.

STUDENCI UKRAIŃSCY

1 maja 1981 roku w Szczecinie powstał Komitet Założycielski Zrzeszenia Studentów Ukraińskich w Polsce. W jego skład weszli Wasi koledzy, przedstawiciele ośrodków akademickich Szczecina, Słupska, Koszalina, Gdańska, Olsztyna, Warszawy, Łodzi, Wrocławia i Zielonej Góry.

Przystąpiliśmy do tworzenia ZSUP złączeni dążeniem aktywnego włączenia się w nurt życia społecznego, kulturalnego i naukowego środowiska akademickiego oraz ukraińskiej społeczności Polski. Nasz cel to organizacja grupująca studentów narodowości ukraińskiej — obywateli PRL — otwarta zarazem dla wszystkich tych, którzy akceptują nasze idee i cele działania, bez względu na osobiste poglądy, język i nację.

Podstawową siłą naszej organizacji mają być głoszone i prezentowane wartości intelektualne i moralne jej członków. Swoim konsekwentnym działaniem pragniemy doprowadzić do wzmocnienia w świadomości ukraińskiej społeczności twórczej roli młodej inteligencji.

Nasza potrzeba aktywnego i zorganizowanego działania wynika w pewnej mierze z faktu, iż do tej pory w społeczności, w której żyjemy, nie zdołano zlikwidować wzajemnych uprzedzeń i barier moralno-psychologicznych. Iniejując swoją działalność wykorzystujemy to, iż na młodzieży obydwu stron nie ciąży brzemień przeszłości. Zastawszy określoną sytuację w ukraińsko-polskich stosunkach, deklarujemy swą gotowość nawiązania szeregów i partnerskiego dialogu. Uważamy, że pełne zbliżenie nie może nastąpić bez dogłębnej, obustronnej rzetelnej konfrontacji faktów wspólnej przeszłości naszych narodów, bez względu na drażliwość i częsty tragizm ich wymowy.

Jesteśmy w pełni świadomi niebezpieczeństwa utrwalania negatywnych procesów, na które narażone jest młode pokolenie Ukraińców w wyniku dalszego przemilczania tych kwestii. W naszym działaniu widzimy szansę zahamowania i wyeliminowania najgroźniejszych z nich, m.in. zjawiska poczucia znacznego niedowartościowania oraz wyobcowania społecznego i kulturalnego. Pragniemy uprzytomnić wszystkim prawdę najbardziej oczywistą, iż jako przedstawiciele mniejszości narodowej pracujemy w dwóch językach, czerpiąc z obydwu kultur, które wzajemnie się ząbają i stapiają wewnątrz nas w jedną całość, stanowią o istocie naszej formacji duchowej. Wierzmy, że zapoznanie społeczności mieszkających w Polsce z osiągnięciami przeszłości i teraźniejszości naszego narodu stworzy szansę ukazania się takimi, jakimi jesteśmy naprawdę. Poznanie wartości kultur narodowych, przy-

bliznie ich szerokim kręgom społeczności przyjmujemy za jedno z podstawowych kryteriów naszego działania.

Zachowując partnerską samodzielność i wyznając zasadę poszanowania suwerenności, pragniemy utrzymać ścisłą współpracę ze wszystkimi organizacjami studenckimi i młodzieżowymi. Jesteśmy ze zrozumiałych względów zainteresowani kontaktami z młodzieżowymi reprezentacjami mniejszości narodowych żyjących w PRL. Winny nas łączyć idee przyjaźni, pokoju, bliskie całemu młodemu pokoleniu.

KOMITET ZAŁOŻYCIELSKI
ZRZESZENIA STUDENTÓW UKRAIŃSKICH W POLSCE

Warszawa, 27. 05. 1981 r.

W Polsce powstała Komisja Porozumiewawcza Komitetów Założycielskich trzech studenckich organizacji mniejszości narodowych: Związku Studentów Litwinów w Polsce (powstał 20. 2. 1981), Zrzeszenia Studentów Ukraińskich w Polsce (powstało 30. 5. 1981) oraz Białoruskiego Zrzeszenia Studentów w Polsce (powstało 30. 5. 1981). Komisję powołano w odpowiedzi na odmowę zarejestrowania tych trzech organizacji (gdy równocześnie rejestruje się Związek Studentów Afrykańskich). Zadaniem jej jest działanie na rzecz prawnej legalizacji narodowościowych organizacji studenckich.

KTO GO UCZYŁ HISTORII?

W *Trybunie Ludu* z 13. VIII. 1981 natrafiłem na skrót wystąpienia w dyskusji na II plenum KC PZPR członka Biura Politycznego KC — Albina Siwaka, który wypowiedział tam następujące zdania: „Przed 1939 rokiem w Polsce były różne nacje narodowe. Mam na myśli Litwinów, Żydów, Ukraińców, a szczególnie Niemców. Było z czego budować tzw. piątą kolumnę. I praktycznie zbudowano ją. Padały wówczas strzały w plecy, działał wywiad i demontaż armii polskiej”.

Wiele różnych, delikatnie mówiąc, dziwnych rzeczy wypowiadano w Polsce z rozmaitych mównic i trybun w ciągu kolejnych tzw. okresów błędów i wypaczeń, a także po sierpniu 1980 roku, ale czegoś takiego chyba jeszcze nie było. Litwini, Żydzi i Ukraińcy wymieniani jednym tchem z Niemcami jako piątą kolumną strzelającą Polakom w plecy we wrześniu 1939 r... Poplątane i bolesne są dzieje — a w szczególności najnowsze, dwudziestowieczne — stosunków pomiędzy Polakami, a Litwinami, Żydami i Ukraińcami. Wiele krzywd, urazów i nieporozumień legło murem pomiędzy tymi narodami, zamieszkującymi wspólną dla nich wszystkich Rzeczpospolitą, wiele z tych urazów i nieporozumień trwa do dzisiejszego dnia i musimy czynić wszystko, aby je przezwyciężyć, mur ten rozbić. Dorzucać do tego hańbiącą, oszczerczą i absurdalną obelgę, nie mającą żadnego pokrycia w historycznych faktach, godzi — w moim zdaniem — w polską rację stanu, o której tyle się ostatnio mówi. Ponieważ nie można spodziewać się żadnych wyjaśnień ze strony Albina Siwaka, który co najwyżej powoła się na jakiś wykład historii, urządzony mu przez jakiegoś marcowego docenta, chciałbym w tym miejscu powiedzieć jedno jeszcze słowo: przepraszam.

Tadeusz KADENACY
Kraków

SOLIDARNOŚĆ nr 24 z 11. 9. 1981.

W sowieckiej prasie

Prasa sowiecka poświęciła zjazdowi „Solidarności” trzy korespondencje. Były to materiały TASS-a, które wszystkie gazety przedrukowały, nie zmieniając w nich ani słowa. Pierwsza wiadomość pojawiła się w prasie 9 września, czyli w cztery dni po rozpoczęciu zjazdu, pod pytającym tytułem: „Kogo oni reprezentują?”. Krótka notka podkreśla niedostateczną liczbę robotników na zjeździe (według obliczeń TASS-a mniej niż 25%), przewagę „etatowych pracowników Solidarności” i „stronników kontrrewolucyjnych grupek KSS KOR i Konfederacji Polski Niepodległej”. Ogólną atmosferę gdańskiego zjazdu określono jako „krytykę socjalistycznych podstaw Polski ludowej, ataki na PZPR, rząd, wybrane organy władzy, próby oczerniania zdobywcy kraju”.

Poza tym delegaci „nieodpowiedzialnie formułowali coraz to nowe żądania wobec państwa, w tym i żądania materialne”. Notatka kończy się ostrzeżeniem: „dyrygenci zjazdu zmierzają do objęcia władzy politycznej w Polsce i chcieliby zachwiać zaufaniem ludzi pracy do ludowego, socjalistycznego państwa”.

Następnego dnia — 10 września — artykuł z Gdańska był dłuższy, a w tytule wciąż widniał znak zapytania: „Dokąd zmierzają gdański zjazd?”. Ton stał się znacznie ostrzejszy; autorzy notatki są wstrząśnięci wystąpieniami delegatów: „W toku obrad gdańskiego zjazdu 'Solidarności' coraz wyraźniej ujawnia się jego antysocjalistyczny kierunek”. Autorzy podkreślają „aktywność takich przeciwników socjalizmu jak członkowie KSS KOR Kuroń, Michnik, Lityński... Z trybuny zjazdu rozlegają się apele o likwidację ustroju socjalistycznego w Polsce”. Za tym idzie straszne oskarżenie: „Występujący na zjeździe przywódcy 'Solidarności' podnoszą rękę na konstytucję PRL, na międzynarodowe więzy Polski”. Wreszcie autorzy notatki wskazują na główny „oczywisty fakt”: „Jest oczywiście, że 'Solidarność' zmierza do wyprowadzenia działań związku zawodowego poza ramy syndykalne i utwierdzenia go w roli opozycyjnej organizacji politycznej”.

Trzeci artykuł, opublikowany 11 września, jest nie tylko najdłuższy ale i jedyny, który w tytule nie ma pytania. Ma za to odpowiedź: „Gdański zjazd — antysocjalistycznym spędem”. Pierwsze zdanie artykułu rozszerza i uzupełnia tę charakterystykę zjazdu: „przeobraził się on mianowicie w „antysocjalistyczne i antysowieckie bachanalia”. Biorąc słowa „zjazd związków zawodowych” w cudzysłów, autorzy notatki nazywają go także „schadzką etatowych pracowników 'Solidarności', przedstawicielei kontrrewolucyjnych, antysocjalistycznych grupek”... W złodziejskim żargonie, który na stałe wszedł do języka prasy sowieckiej, „schadzka” oznacza spotkanie złodziei, kryminalistów. Nie ograniczając się do tych definicji, autorzy notatki cytują *Żołnierza Wolności*, który nazwał zjazd „prawdziwym sabatem antysocjalistycznym”.

Wściekły gniew autorów notatki wzbudził przede wszystkim list „Solidarności” do robotników Europy Wschodniej, wzywający ich do walki o wolne związki zawodowe. TASS określa ten dokument jako „apel do narodów Europy Wschodniej, wzywający do walki przeciw ustrojowi socjalistycznemu”. Nazywa go też „jawnie prowokacyjnym, bezczelnym wobec krajów socjalistycznych” i „nikczemnym wezwaniem”.

Koniec z pytaniami. TASS odpowiada: „Cały konglomerat kontrrewolucjonistów różnych maści, z agentami imperialistycznych służb specjalnych i wszystkimi, którym nienawistny jest socjalizm włącznie prowadzą akcję zmierzającą do podważenia podstaw socjalistycznego państwa polskiego, naruszenia międzynarodowych sojuszy PRL i nieuchronnej restauracji burżuazyjnego porządku w Polsce”.

Artykuł kończy się niezawołowaną pogrózką: „Ci panowie tak się zapędzili, że nie widzą prawdziwego wzburzenia i gniewu, jakie budzą ich prowokacyjne, awanturnicze posunięcia, pogłębiające położenie w Polsce, które i bez tego jest skomplikowane”.

11 września, w dniu w którym wszystkie sowieckie gazety opublikowały notatkę o „gdańskich bachanaliach”, w sowieckich fabrykach i zakładach pracy, przedsiębiorstwach i kołchozach „spontanicznie” zebrał się sowiecki lud pracujący, żeby wyrazić gniew i oburzenie, jakie wzbudził w nich list zjazdu „Solidarności”. Na wszystkich zebraniach, które pokazywała moskiewska telewizja, lud pracujący stał pod jednakowymi transparentami, które „spontanicznie” przygotował. Na transparentach widniało: „Nie opuścimy Polski w biedzie”, „Zjazd w Gdańsku — antysocjalistycznym spędem”, „Odpór prowokatorom z Solidarności”.

Masówki ludu pracującego jako forma mobilizacji „gniewu ludu” wprowadzono po raz pierwszy pod koniec lat dwudziestych. Szeroko posługiwał się nimi Nikita Chruszczow. Tak szeroko, że się przejadły. Aleksander Galicz w jednej ze swych piosenek opisuje, jak sowiecki przodownik pracy Klim Pietrowicz występował na masówce w obronie pokoju. Organizator „spontanicznego mitingu” wręczył mu tekst jego wystąpienia, ale

pomylił kartki, i Klim Pietrowicz „nie spiesząc się, surowo” zagrzmiał: „Izraelska sołdateska jest znana całemu światu! Jako matka i jako kobieta pociągam ich do odpowiedzialności”. Aleksander Galicz trafnie zauważył, że każdy może się omylić, rzecz wszak w tym, że Klim Pietrowicz domagał się pokoju jako „matka i kobieta” a nikt tego nie zauważył. Sam sekretarz *obkomu* podziękował mu: „Dobrze, brać, po robociarsku im dałeś! Bardzo słusnie naświetliłeś położenie!”.

Rytualnych mów i rytualnych oskarżeń nikt nie słucha. Nie znaczy to jednak, że nie są ważne. W Związku sowieckim rytuał ma znacznie większe znaczenie niż treść. Oficjalnie istnieje tylko to, o czym się oficjalnie mówi. Masowe „spontaniczne” mitingi oznaczają, że kierownictwo sowieckie oficjalnie przyznało, że Polska przeżywa ostry kryzys, który — po gdańskim liście — przedstawiają jako zagrożenie dla wszystkich krajów socjalistycznych.

W liście odczytanym na masówce w fabryce samochodów im. Lichaczewa (niegdyś im. Stalina) lud pracujący nalega na to, że Polska swoje istnienie zawdzięcza Związkowi sowieckiemu. W telewizji pokazano tę masówkę: setki ludzi słuchają z tępych wyrazem twarzy „Klimów Pietrowiczów” i mechanicznie podnoszą ręce, kiedy tego żąda przyzdyum. Ale wśród argumentów które oddziaływują na świadomość obywateli sowieckich najskuteczniejsza jest wciąż formuła: myśmy was wyzwalałi, my zapłaciłiśmy milionami istnień ludzkich na wojnie, a wy teraz jesteście niewdzięczni... *Literaturnaja Gazeta* opublikowała 9 września artykuł Bezimienskowo pt. „Jak Zachód sprzedał Polskę”. sowiecki dziennikarz wspomina dzień 3 września 1939 roku kiedy to warszawianie przyszli radośnie do angielskiego poselstwa witac postą Wielkiej Brytanii. Bezimienskiej przechodzi potem do oczywistego faktu: Anglia i Francja mogły pomóc Polsce w wojnie z Hitlerem, a nie pomogły. Pomoc okazał Polsce jedynie Związek sowiecki; zdrada Zachodu miała dla Polski „daleko idące skutki”, ale mogły one być „jeszcze straszniejsze, gdyby nie wielki zryw narodu sowieckiego...”.

Otwarte oskarżenia pod adresem Polski czyli „Solidarności” składają się z trzech punktów. Po pierwsze „Solidarności”, zwracając się do robotników krajów socjalistycznych, stała się zagrożeniem dla ustroju; po drugie, zagrażając reżymom socjalistycznym, „Solidarności” daje dowód zbrodniczej niewdzięczności; po trzecie wreszcie — „my was i dziś karmimy, a wy się buntujecie...”.

Ten trzeci punkt jest przekonywujący dla każdego obywatela sowieckiego: od 1946 roku sytuacja na rynku żywnościowym nie była tak zła jak dzisiaj. Nowy dowcip sowiecki ilustruje, jak sobie to tłumaczy większość obywateli sowieckich: Co to jest solidarność internacjonalistyczna? To kiedy strajkują w Polsce, a żreć nie ma co w Moskwie.

Masówki odbywające się od 11 września w całym kraju pod hasłem „obrona socjalizmu najświętszym obowiązkiem sowiec-

kiego i polskiego narodu" wieńczą akcję rozpoczętą na początku września „poufnym listem KC” o wprowadzeniu racjonowania żywności. „Poufne listy KC” to szczególna forma informacji w państwie sowieckim. W swoim czasie „Radio Erywań” na pytanie: skąd się dowiemy, że już nastał komunizm? odpowiedziało: z poufnego listu KC.

„Poufny list KC” czyta się na zamkniętych zebraniach partyjnych; dzięki członkom partii dochodzi on do publicznej wiadomości. Celem „poufnego” listu nie jest zachowanie tajemnicy, tylko rozprzestrzenienie jej w sposób nieoficjalny. W rezultacie racjonowanie żywności jest, a zarazem go nie ma, jako że oficjalnie nie wydano ustawy o wprowadzeniu systemu kartkowego.

Sowieckich obywateli „obrabia się” w ten sposób z dwu stron: poprzez organizacje partyjne, rozprzestrzeniające informacje zawarte w „poufnym” liście i poprzez masówki. Nasilenie „obróbki” wiąże się z tym, że sytuacja żywnościowa będzie się w toku najbliższych miesięcy pogarszać. Już trzeci rok z rządu będzie rokiem nieurodzaju. Plan przewidywał zbiór 236 mln ton zbóż, a według wstępnych obliczeń plony nie przekroczą zbiorów z 1980 roku, tzn. 189 mln ton. Na zaspokojenie potrzeb kraju potrzeba 225-230 mln ton.

Trzeci nieurodzajny rok nie tłumaczy jednak klęsk sowieckiego rolnictwa, trwających lat więcej niż pięćdziesiąt. Nieurodzaje ostatnich lat to wynik polityki, którą ZSSR prowadzi od około 15 lat. Jest to jedna z „reform” ery Breżniewa: kołchozy stopniowo przemianowuje się na sowchozy, toczy się „sowchozacja” sowieckiego rolnictwa. Właścicielem ziemi staje się bezpośrednio państwo, kołchoźnicy stają się robotnikami pracującymi na roli. Ziemia jednak nie poddaje się potężnemu naciskowi ideologii i nie chce zmienić swego charakteru: praca w polu od ósmej rano do piątej po południu z przerwą obiadową daje prawdziwie sowiecki wynik: system kartkowy.

Dwa dokumenty opublikowane w sowieckiej prasie w pierwszej dekadzie września doskonale ilustrują zamiary i możliwości państwa sowieckiego tj. KPZS. Występując na obiedzie na cześć pierwszego sekretarza KC KP Wietnamu Breżniew oświadczył (*Izwestia* z 9 września), że Związek Sowiecki „nie pozostanie obojętny wobec nowych typów broni” i „uzbroi się w odpowiedni kontrarsenał”. Breżniew raz jeszcze potwierdził, że Związek Sowiecki ma zamiar zająć pierwsze miejsce w wyścigu zbrojeń. Według amerykańskich danych Związek Sowiecki produkował w latach 1975-1980 3.000 czołgów, 1.300 samolotów bojowych i 400 rakiet taktycznych rocznie. W roku 1980 Stany Zjednoczone wyprodukowały 25 % sowieckich czołgów, 50 % samolotów i rakiet. W 1980 roku w stocznjach sowieckich zbudowano 11 łodzi podwodnych, a w amerykańskich — jedną. I tak dalej...

Ilościowa przewaga uzbrojenia armii sowieckiej nie ulega wątpliwości. Ale oto drugi dokument: 6 września *Prawda* opublikowała uchwałę KC KPZS, Prezydium Rały Najwyższej, Rady Ministrów ZSSR i WCSPS „o zwiększeniu pomocy państwa dla

rodzin obarczonych dziećmi i o dalszym polepszeniu zabezpieczenia emerytalnego ludności”. Uchwałę tę tłumaczy pewna zbieżność: w tym samym czasie, kiedy armia sowiecka osiągnęła zdecydowaną przewagę w dziedzinie uzbrojenia, Centralny Urząd Statystyczny ZSSR spostrzegł znaczny wzrost śmiertelności dzieci w kraju dojrzałego socjalizmu. Między rokiem 1970 a rokiem 1975 śmiertelność dzieci wzrosła w ZSSR o 1/3. Po roku 1975 przestano publikować dane na ten temat. Według obliczeń amerykańskiego demografa Murray Feshbacha w 1980 roku na 1.000 niemowląt w wieku do 1 roku w ZSSR umierało 40, a w Europie Zachodniej i USA — 13. W dziedzinie zbrojeń ZSSR dorównuje — jak twierdzi Breżniew — Stanom Zjednoczonym; zdaniem zachodnich ekspertów, wyprzedza je. W dziedzinie śmiertelności dzieci ZSSR dorównuje Chile, Republice Dominikańskiej i Trinidadowi.

Powody śmiertelności dzieci nie są tajemnicą: po pierwsze okropna jakość „mleka dla niemowląt”, po drugie stan zdrowia kobiet sowieckich, spowodowany m.in. skrobankami: statystycznie kobieta sowiecka robi 6-8 skrobanek w ciągu życia, podczas gdy na amerykańską kobietę przypada 0,5 skrobanki. Najważniejszą przyczyną jednak jest krach sowieckiej służby zdrowia: grypa, która w krajach rozwiniętych przestała się zaliczać do chorób śmiertelnych, w ZSSR kosi co rok dziesiątki tysięcy dzieci; rośnie tam też liczba dzieci umierających na zapalenie płuc, chorobę, którą na Zachodzie leczy się z łatwością; rachityzm, który w krajach przemysłowych dawno zniknął, w ZSSR szaleje. Krach sowieckiej medycyny polega na tym, że środki przeznaczane na ochronę zdrowia wydaje się nie na polepszenie usług medycznych, a na ich rozszerzenie. Sowiecka medycyna przypomina sowiecką armię — zwyciężyć ma przez ilość, nie przez jakość. ZSSR ma dwa razy więcej ludzi zatrudnionych w służbie zdrowia niż USA, ale środki przeznaczane na medycynę są znacznie mniejsze. Dlatego lekarzom brak niezbędnych leków, urządzeń, a szpitalom pościeli. Państwo, wydające miliardy na zbrojenia, oszczędza na zdrowiu obywateli, na zdrowiu dzieci.

Uchwała o „zwiększeniu pomocy rodzinom obciążonym dziećmi” dowodzi, że nic się nie zmieniło w polityce państwa sowieckiego. Jego dar polega na tym, że przyznaje kobietom rok płatnego urlopu macierzyńskiego. Średnia pensja wynosi 130-140 rubli. Podczas rocznego urlopu macierzyńskiego kobiety będą pobierały ok. 50 rubli miesięcznie „w rejonach Dalekiego Wschodu, Syberii i na Północy”, a 35 rubli miesięcznie w pozostałych. Charakterystyczne jest przy tym, że uchwała ta wchodzi w życie na Dalekim Wschodzie, Syberii, Północy 1 listopada 1981 roku, w RFSR, na Ukrainie, Białorusi i w Mołdawii i krajach nadbałtyckich — 1 listopada 1982 roku, a w republikach muzułmańskich, Kazachstanie, Środkowej Azji i na Zakaukaziu 1 listopada 1983 roku. Jak wiadomo, liczba ludności w krajach muzułmańskich bardzo szybko wzrasta, spada natomiast i to znacznie przede wszystkim w RFSR.

Zwiększa się o 50 rubli jednorazowy zasiłek porodowy przy pierwszym dziecku i o 100 rubli przy drugim i trzecim. Samotnym (tzn. żyjącym bez męża) matkom będzie się wypłacać zasiłek rodzinny w wysokości 20 rubli na dziecko.

Według uchwały wrosną też emerytury: najwyższa do 75 rubli na miesiąc, najniższa do 26 rubli. Szczególnie aktualny jest paragraf przewidujący renty dla „rodzin zabitych szeregowych żołnierzy”, jeśli zabity był żywicielem rodziny; renta wynosi 38 rubli. Od 1 listopada 1981 roku wojacy sowieccy w Afganistanie mogą umierać spokojnie: ich rodziny dostaną po 38 rubli na miesiąc!

Uchwała „o zwiększeniu” i „dalszym polepszeniu” kończy się podsumowaniem: „Na cele te przeznaczają się z budżetu państwowego ok. 2,5 mld rubli rocznie”. Raz jeszcze potwierdza się jak bardzo miał rację wódz całej postępowej ludzkości, towarzysz Stalin, kiedy oświadczył: najcenniejszy kapitał to człowiek. W tych dniach członek Biura Politycznego i najlepszy przyjaciel pierwszego sekretarza K. U. Czernienko wydał kolejną książkę pt. „KPZS a prawa człowieka”. Towarzysz Czernienko niemal dosłownie powtarza myśl towarzysza Stalina: „Człowiek to najwyższa wartość społeczeństwa socjalistycznego”.

Zdaniem K. U. Czernienko zbudowane zostało najsprawiedliwsze społeczeństwo, w którym „wszystko się dzieje w imię człowieka, dla dobra człowieka”. Doświadczenie ZSSR, liczącego sobie ponad 60 lat — stwierdza dalej członek Biura Politycznego — przekonywująco dowodzi: „socjalizm i prawa człowieka są nierozdzielne”. Ale, dorzuca z naciskiem teoretyk-marksista, „tak jak socjalizm jest nie do pomyślenia bez praw i wolności człowieka, tak prawdziwe prawa i wolność człowieka są nie do pomyślenia bez socjalizmu”. Dlatego właśnie członek Politbiura i minister obrony ZSSR marszałek Ustinow zapewnił obywateli sowieckich w swym wystąpieniu telewizyjnym 13 września, że choć administracja amerykańska wspiera „międzynarodowych gangsterów” i stara się wykorzystać „wydarzenia w Polsce” na szkodę całego obozu socjalistycznego, sowieckie siły zbrojne i ich sojusznicy gotowi są „bronić zdobyczy socjalizmu i interesów społeczeństwa socjalistycznego”.

Jeśli bez socjalizmu nie ma „prawdziwych praw i wolności człowieka”, to kto prócz wrogów roku ludzkiego zechce zrezygnować z błogosławieństw socjalizmu?

Adam KRUCZEK

14 września 1981

LIST KOMITETU ZAŁOŻYCIELSKIEGO WOLNYCH ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH W ZSSR

„To pozdrowienie przesyłamy Wam z kraju, którego klasa robotnicza praktycznie nigdy nie znała niezależnych związków zawodowych twardo i stanowczo broniących interesów mas pracujących.

O osiągnięciach polskiego proletariatu możemy jedynie marzyć. Nasz robotniczy ruch dopiero się rodzi. Ale w obecnym wirze zdarzeń i idei wystarczy mała iskra, aby buchnął on wielkim płomieniem i stał tych, którzy bezlitośnie wykorzystują ogromną cierpliwość rosyjskiego narodu. Wasza walka o sprawy zwykłych ludzi w Polsce jest też naszą walką. Wszystko to czym przyczyniacie się do śmierci kłamstwa i dwulicowości, do realizacji podstawowych potrzeb pracowniczych osłabia również i nasz reżym. Polska nie będzie wolną dopóki wolną nie będzie Rosja. Tylko demokratyczne zmiany po tej stronie Bugu pozwolą Wam nie oglądając się na nikogo budować wolny, kwitnący kraj. Jak bardzo chcielibyśmy, żeby wśród gości zjazdu byli przedstawiciele wolnego rosyjskiego ruchu robotniczego. Jak bardzo chcielibyśmy okazać Wam, nie oglądając się na nikogo, nasze bezwarunkowe wsparcie, nie takie jakie dają Wam nasze władze. Na razie to tylko marzenie, ale nastanie dzień (mocno w to wierzymy), kiedy polscy i rosyjscy robotnicy pójną ramię w ramię na spotkanie demokracji i postępu. Dziś 'Solidarność' jest nam drogowskazem. Za cenę prześladowań, krwi i cierpienia polscy robotnicy zerwali pęta reżymowych związków zawodowych. Przed obliczem zjazdu my, radzieccy robotnicy i inteligenci (choć jest nas dziś niewiele) uroczymy przysięgamy uczynić w swej ojczyźnie wszystko co możliwe, aby Wam pomóc i rozpowszechnić prawdę o Was, aby zdemaskować kłamstwa i jeśli będzie trzeba bronić Was wszystkimi dostępnymi sposobami.

Niech żyje przyjaźń narodu polskiego z narodami ZSRR!!!
Niech żyje międzynarodowa solidarność wszystkich ludzi pracy!!!
Niech Was Bóg wspomaga w Waszym historycznym dziele.

KOMITET ZAŁOŻYCIELSKI WOLNYCH
ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH W ZSRR”.

(List ten opublikowany został w nr. 34 biuletynu informacyjnego „Solidarność” AS z dnia 30. 8. 1981).

„PRZESŁANIE DO LUDZI PRACY EUROPY WSCHODNIEJ”

Zjazd „Solidarność” uchwalił „Przesłanie do ludzi pracy Europy Wschodniej”. Jak wynika z jego treści, zjazd „przesyła robotnikom Albanii, Bułgarii, Czechosłowacji, Niemieckiej Republiki Demokratycznej, Rumunii, Węgier i wszystkich narodów Związku Radzieckiego pozdrowienia i wyrazy poparcia. Jako pierwszy niezależny związek zawodowy w naszej powojennej historii głęboko czujemy wspólnotę naszych losów. Zapewniamy, że wbrew kłamstwu szerzonym w Waszych krajach jesteśmy autentyczną, 10-milionową reprezentacją pracowników, powstałą w wyniku robotniczych strajków. Naszym celem jest walka o poprawę bytu wszystkich ludzi pracy. Popieramy tych z Was, którzy zdecydowali się wejść na trudną drogę walki o wolny ruch związkowy. Wierzymy, że już niedługo Wasi i nasi przedstawiciele będą mogli się spotkać celem wymiany związkowych doświadczeń”.

Kraków, dn. 15. 09. 1980.

„BRACIOM NA OTUCHE”

W sierpniu bieżącego roku minęła 40-ta rocznica aneksji państw bałtyckich, dokonanej przez Związek Sowiecki.

W niespełna rok po agresji na Polskę, padły ofiarą zmywu stalinowskiego komunizmu z hitlerowskim faszyzmem pobratymcze nam narody: Litwy, Łotwy i Estonii. Utrata niepodległości i włączenie państw bałtyckich do imperium sowieckiego stało się początkiem bezmiar cierpień ludności zamieszkującej te obszary. Niczego im nie oszczędzono: od eksterminacji przez zsyłki, więzienia i łagry do bezwzględnej sowietyzacji: niszczenia kultury, religii i języka.

Nigdy nie patrzyliśmy obojętnie na te cierpienia, nigdy nie pogodził się z sowieckim imperializmem i nigdy nie uznamy jego grabieżczych zdobyczy. Szczególnie zaś przez wzgląd na wspólną naszą przeszłość oraz wspólnotę w wierze i miłości domagaliśmy się zawsze i domagać się będziemy:

WOLNOŚCI I NIEPODLEGŁOŚCI DLA LITWY, ŁOTWY I ESTONII!

Dramatyczna sytuacja w naszym kraju w sierpniu tego roku uniemożliwiła społeczeństwu polskiemu godne uczczenie owej bolesnej rocznicy — chociaż pamiętaliśmy i dziś pamięci tej dajemy wyraz.

W Krakowie dnia 14 września 1980 roku w godzinach rannych przedstawiciele AKCJI na rzecz NIEPODLEGŁOŚCI złożyli pod „Grupą Litewską” Pomnika Grunwaldzkiego udekorowanego flagami Litwy, Łotwy i Estonii oraz Polski kwiaty z szarfą: „Na otuchę w 40-lecie sowieckiej niewoli — Braciom z Litwy, Łotwy i Estonii — Polacy”.

AKCJA na rzecz NIEPODLEGŁOŚCI

GŁÓD W ZSSR Z POWODU... POLSKI

Herald Tribune z 3. 9. br. donosi o zaostrzeniu racjonowania żywności w ZSSR. Na zamkniętych zebraniach partyjnych informuje się członków partii o konieczności pilnych choć dyskretnych środków mających zrównoważyć tegoroczny zły urodzaj. Spodziewane zbiory zboża wyniosą nie więcej niż 190 mln ton — o 40-50 mln ton mniej niż rekordowe 236 mln zebrane w 1978 r. Również zbiory ziemniaków i innych płodów rolnych będą znacznie niższe niż przewidywał plan. Według listu KC KPZS do terenowych organizacji partyjnych, jedna osoba będzie mogła kupić jednorazowo nie więcej niż 2 kg mięsa lub 1 kurę, 2 kg chleba, 0,5 kg masła i 0,5 kg sera. Kierownikom moskiewskich sklepów spożywczych zapowiedziano, że odstępstwa od tej zasady będą surowo karane. Zdaniem wielu obserwatorów, obostrzenie racjonowania żywności skierowane jest przeciwko dziesiątkom tysięcy ludzi, przyjeżdżających codziennie do Moskwy na zakupy. O ile Moskwa i Leningrad, korzystające ze specjalnego uprzywilejowania, są względnie znośnie zaopatrzone, o tyle w całej reszcie kraju brak całkowicie wielu produktów, np. mięsa. Władze racjonowanie przypisują oficjalnie złemu urodzajowi, spowodowanemu złymi warunkami klimatycznymi ostatniego roku, nieoficjalnie zaś koniecznością pomocy Polsce. *Trybuna Ludu* doniosła niedawno, że ZSSR dostarcza do Polski ryby mrożone, konserwy, olej i inne produkty.

Kronika niemiecka

Izba Lekarska Berlina Zachodniego zgromadziła lekarstwa o wartości ponad miliona marek, stanowiące dar dla Polski. ■ Wrocławski oddział PCK otrzymał partię 20 ton odżywek — dar *Czerwonego Krzyża* z RFN. Artykuły te przeznaczone są dla pensjonariuszy domów pomocy społecznej i podopiecznych PCK. ■ Dr Richard Breyer, znany historyk niemiecki (współautor głośnej publikacji *Nachbarn seit Tausend Jahren*), został rzecznikiem *Ziomkostwa Wisła-Warta*, grupującego głównie Niemców z przedwojennej Polski, byłych obywateli R.P., opowiadających się zdecydowanie za pojednaniem z Polakami. ■ W krakowskim pawilonie BWA jest czynna wystawa zachodniemieckich artystów, zgrupowanych w *Nowej Darsztackiej Secesji*. Równocześnie w *Galerii ZPAP Pryzmat* otwarta została wystawa malarstwa i grafiki Barbary Bredow oraz rzeźby i grafiki Helmuta Landera. ■ *Patmos Verlag* w Düsseldorfie wydał zbiór polskiej liryki religijnej (po 1945 r.) — *Glaube, Hoffnung, Liebe (Wiara — Nadzieja — Miłość)*; wybór i tłumaczenie Karla Dedeciusa. Z poetów emigracyjnych m.in.: Bogdan Czaykowski, ks. Bonifacy Miązek, Czesław Miłosz, Alexander Wat. ■ 12 października br. rozpocznie się w Bonn proces 49-letniego Henryka Bimskiego, b. pracownika ambasady USA w Bonn, oskarżonego o prowadzenie działalności szpiegowskiej na zlecenie PRL-owskiej służby wywiadowczej. ■ Katolicka organizacja *PAX-Christi*, z siedzibą w Frankfurturze n/Menem, wysłała do Polski w okresie luty-sierpień 1981 r. 20 tys. paczek z produktami żywnościowymi o łącznej wartości 2 mln marek. ■ Wilhelm Kloch, lekarz z Weimaru (NRD), przekazał na ręce polskiej „Solidarności” 10 tys. marek (przeciętny zarobek miesięczny w Niemczech Wschodnich wynosi ok. 1 tys. marek). Skazano go za to na 4 lata więzienia. ■ W *Deutsches Polen-Institut* w Darsztacie odbyła się uroczystość wręczenia nagrody ufundowanej przez *Fundację im. Roberta Boscha* (5 tys. marek) Sławomirowi Błautowi z Warszawy, tłumaczowi poezji i prozy Ingeborgi Bachmann, Güntera Grassa, Petera Handke, Petera Härtlinga, Siegfrieda Lenza i Christy Wolf. ■ *Neues Deutschland* pisze, że „po ulicach miast i bezdrożach polskiej wsi snują się amerykańscy i niemieccy (z RFN) szpiegowie z teczkami pełnymi dolarów, a prawdziwi patrioci z organizacji *Grunwald*, publicznie szkalowani, walczą o dobre imię swego kraju. (...) Niedobitki sanacji wysuwają swe karle łby i splamione robotniczą krwią łapy po władzę”... ■ *Seewald Verlag* w Stuttgarcie wydał interesującą pracę Johanna Blacka — *Militärseelsorge in Polen 1918-1980 (Duszpasterstwo w Wojsku Polskim 1918-1980)*. ■ *Deutsch-Polnische Gesellschaft (Towarzystwo Niemiecko-Polskie)* z siedzibą w Düsseldorfie, prowadzące wydawnictwo *Rochus-Verlag*, które wydawało miesięcznik *Begegnung mit Polen (Spotkania z Polską)* ogłosiło bankructwo. *Begegnung mit Polen* atakowało w 1965 roku *Episkopat Polski* za podjęcie dialogu z *Konferencją Biskupów Niemieckich*; redakcja miesięcznika domagała się likwidacji *Wolnej Europy*, publikując fragmenty „wspomnień” Andrzeja Czechowicza. Redakcja *Begegnung mit Polen* stale twierdziła, że nie korzysta z żadnych subwencji; w oświadczeniu wydanym 22 sierpnia br. *Rochus-Verlag* powiadomił czytelników: „Kryzys w PRL dotknął również nasze wydawnictwo”... W związku z tym *Rochus-Verlag* zawiesiło swoją działalność; *Begegnung mit Polen* nie będzie się więcej ukazywało. Z oświadczenia nietrudno wywnioskować, że stojąca pod wpływem PRL-owskiego reżymu *Deutsch-Polnische Gesellschaft* była stale finansowana przez wiadomy resort

w Warszawie. ■ Bogate zbiory dokumentów do dziejów Polonii w Niemczech znajdują się w archiwach w Koblencji, Düsseldorfie i Münster. Raporty policji z XIX wieku, dotyczące polskich powstańców, którzy zbiegli do Nadrenii i Westfalii, znaleźć można w miejskim archiwum w Wupper-talu. ■ W poznańskim *Przeglądzie Zachodnim* (nr 3/1980) ukazały się cenne prace Janusza M. Kupczaka: *Z dziejów czasopiśmiennictwa „starej” emigracji polonijnej w Niemczech Zachodnich w latach 1945-1952* i Anny Poniatowskiej: *Polski Komitet Polityczny w Berlinie (1893-1919)*. ■ W pierwszym półroczu bież. roku Polska zrealizowała eksport węgla kamiennego do NRD załadowanie w 30,1 %; eksport koksu w 54,2 %; eksport siarki w omawianym okresie wyniósł 50,7 %. ■ Według oceny Instytutu *Badawczego Leśnictwa* polskie lasy mogłyby dawać około 32 tys. ton żywicę rocznie, gdyby je fachowo żywicować. W NRD na przykład, gdzie ożywcowa się każdą sosną, zbiera się rocznie 12 tys. ton żywicę, chociaż NRD ma o połowę mniej lasów sosnowych i o połowę mniej robotników. ■ *Życie Warszawy*: „Nam sprawia np. olbrzymie trudności niedostarczenie przez NRD części zamiennych do maszyn rolniczych i pojazdów, aparaty naukowej, farb i lakierów, tkanin metrowych, bielizny, dywanów, artykułów gospodarstwa domowego i innych. Szczególnie dotkliwie odczuwamy niedobór wyposażenia dla maszyn rolniczych. Kupiliśmy ich w ub. roku bardzo dużo i różnych. Przy braku części zamiennych nie możemy ich remontować (...). W efekcie stopień dostaw z Polski jest w obecnej fazie wyższy od stopnia zaawansowania z NRD dla naszego kraju (...). Dostawy towarowe w naszym eksporcie zrealizowano w ok. 39 %, podczas gdy odwrotnie realizacja importu z NRD osiągnęła poziom 32 % (...). W warunkach gospodarki planowej powiązań bilateralnych i w skali *RWPG* nikt nie może sobie pozwolić na niesumienne i nierytmiczne wywiązywanie się z zawartych porozumień i przyjętych zobowiązań”. ■ 26 nauczycieli historii z powiatu Siegen (Nadrenia) opracowało i wydało dokumentację *Die Juden im Siegerland zur NS-Zeit (Żydzi w Siegerlandzie w okresie nazistowskim)*. Podręcznik przeznaczony jest dla uczniów szkół średnich. ■ Prasa zachodnioniemiecka donosi, że dwa polskie tankowce, *Giewont II* i *Kasprowy Wierch* (po 100 tys. *BRT* każdy), zostały unieruchomione w Koryncie z powodu nieopłacalności; rafineria ropy w Gdańsku stanęła po wstrzymaniu importu surowca z Libii. ■ Rząd RFN zwrócił dyskretnie prywatnym bankom 1,1 mld marek, które w formie kredytów zostały udzielone Polsce na pokrycie eksportu towarów; w razie niewypłacalności dłużnika Bonn gwarantuje pokrycie kredytów do 85 % sumy. Do końca lipca br. kredyty rządu RFN udzielone Polsce na zakup żywności i towarów w 1981 r. wyniosły 700 mln marek. ■ Gerhard Zandekki, mieszkaniec wsi Salzhau-sen w Dolnej Saksonii, zawiózł do Polski 1.220 paczek żywnościowych o łącznej wadze 22 ton i wartości ok. 100 tys. marek. Na granicy w Świecku niewiele jednak brakowało, aby Zandekkiego... nie wpuśczone z tym ładunkiem do Polski! Ofiarodawca został obciążony kosztami obowiązkowej wymiany pieniędzy i słonymi opłatami wizowymi. Głównymi beneficjentami akcji Zandekkiego są: *Dom Dziecka* w Tczewie, *Państwowy Dom Pomocy Społecznej dla Dorosłych* i *Państwowy Dom Pomocy Społecznej dla Dzieci* w Pelplinie. ■ W NRD przebywała delegacja *NSZZ Pracowników Przemysłu Budowlanego* i *Spółdzielczości Budownictwa Mieszkaniowego*. W składzie delegacji m.in.: przewodniczący zarządu Henryk Fidecki i wiceprzewodniczący, członek *Biura Politycznego KC PZPR* Albin Siwak. ■ Xymena Zaniewska i Mariusz Chwedeżuk są autorami oprawy scenograficznej premiery drugiej części *Fausta* W. Goethego w zachodnioniemieckim mieście Bad Hersfeld. ■ Instytut im. J. G. Herdera w Marburgu posiada księgozbiór liczący ok. 200 tys. pozycji; ponad połowę stanowią publikacje w języku polskim. ■ *Po upadku Trzeciej Rzeszy — Niemiecy intelektualni a tradycja narodowa* (wybór tekstów Jerzego W. Borejszy i Stefana

H. Kaszyńskiego, *Czytelnik*, Warszawa 1981); cenna antologia pisarzy, filozofów, uczonych, polityków, reprezentujących różne poglądy polityczne. Wypowiadają się m.in. Bertolt Brecht, Willy Brandt, Karl Jaspers, Theodor Heuss, Heinrich Böll, Theodor W. Adorno, Günter Grass, Golo Mann i W. Heinemann. ■ We Frankfurcie n/Menem powstał komitet zbierający fundusze na żywność i lekarstwa dla Polski; inicjatywę poparł Heinrich Böll, laureat literackiej nagrody Nobla; akcja pn. *Moja polska rodzina* wysłała już do Polski żywność i lekarstwa o łącznej wartości 5 mln dolarów. ■ Berlin Wschodni nie odnowił na 1981 rok umów o pracę Polaków w NRD, angażując na ich miejsce pracowników z krajów trzeciego świata. ■ *Neues Deutschland*: „Pod Warszawą zwolennicy *Solidarności* w liczbie tysiąca podpalił komisariat, a podżegał ich według naocznych świadków superkontrewolucjonista Kuroń”... ■ Zachodnioniemiecka firma *Hipp* przesłała na ręce *Polskiego Czerwonego Krzyża* 1.800 ton odżywek dla dzieci. Wiceminister *Zdrowia i Opieki Społecznej* Stanisław Mlekodaj stwierdził, iż badania przeprowadzone przez *Państwowy Zakład Higieny* wykazały, że odżywki zawierają szkodliwe dla dzieci hormony. Ekspertyzę podpisał ośrodek prof. dr Maksym Nikonorow. Wobec tego *PCK* zdecydowało się przekazać ogromne ilości odżywek więźniom i ludziom starszym. Jak poinformował członek zarządu *Solidarności (Region Mazowsze)* Jacek Wójcicki, próbki odżywek przebadane w laboratorium *Centrum Zdrowia Dziecka* nie wykazały żadnych śladów hormonów. *Państwowy Zakład Higieny* przyznał, nawet bez specjalnych oporów, że nie posiada i nigdy nie posiadał aparatury koniecznej do badania zawartości hormonów w żywności. W Polsce taką aparaturę ma tylko *Centrum Zdrowia Dziecka*. Jak poinformowała zachodnioniemiecka telewizja, uratowanych 770 ton odżywek leży i psuje się w portowych magazynach Gdyni. Odżywki zawierały do 30 % czystego mięsa. *Tygodnik Solidarność*: „1.800 ton to, według naukowców, miesięczne wyżywienie całej populacji polskich dzieci — od 6 miesięcy do 3 lat”. ■ RFN jest wśród krajów zachodnich największym wierzycielem Polski — z obligacjami na sumę około 12 mld marek. ■ Polski rolnik produkuje w skali rocznej: 3,7 ton zboża, 0,6 ton mięsa; wyżywia tym samym 7 osób. Rolnik zachodnioniemiecki: 15,4 ton zboża, 3,2 ton mięsa; wyżywia 33 osoby. ■ *Diakonische Werk* i *Caritas* w Szlezewiku Holsztynie organizują zakrojoną na wielką skalę akcję pomocy żywnościowej dla Polski. Każda ciężarówka udająca się w drogę do PRL wiezie 1.000 paczek o łącznej wartości 50 tys. marek. ■ Pomoc dla ociemniałych w Polsce jest organizowana przez *Akcję Katolicką* w Düren (na zlecenie *Konferencji Biskupów Niemieckich*). Natomiast *Akcja Katolicka* w Kolonii wysłała do PRL różne produkty (głównie mleko w proszku i proszek do prania) dwudziestoma 38-tonowymi ciężarówkami. Łączna wartość darów — 1 mln marek. W okresie jesiennym wysyłana będzie do Polski ciepła odzież. ■ W bież. roku przez zachodnioniemieckie obozy dla przesiedleńców i uchodźców przeszło 16 tysięcy obywateli PRL, którzy ubiegają się o uzyskanie stałego pobytu w RFN. Zdecydowanie przeważają młodzi ludzie poszukujący pracy. ■ W lipcu bież. roku do obozu przejściowego we Friedlandzie przybyło 5.890 przesiedleńców z Polski. ■ Placówka *Polish-American Immigration and Relief Committee* znajduje się w obozie dla uchodźców w miejscowości Zirn-dorf k/Norymbergi. ■ W okresie styczeń-lipiec 1981 ambasada RFN wydała obywatelom PRL 240 tys. wiz. ■ Studenci z NRD mieszkający w domach akademickich we Wrocławiu opuścili Polskę; nagle przerwali wakacje i 7 września bież. roku przyjechali do Wrocławia, aby zabrać z pokoi swoje rzeczy. Nad ranem ich bagaże zabrała sprząda domu akademickiego ciężarówka z NRD. Ośmiu studentów uczyło się na wydziałach matematycznym i fizyczno-chemicznym od 2-3 lat. O niespodziewanej decyzji władz NRD nie powiadomiono ani dziekanatu Uniwersytetu Wrocławskiego, ani też dyrektora domu akademickiego. ■ Jan Paweł II przyjął w Watykanie

na specjalnej audyencji przewodniczącego Rady Nadzorczej koncernu Kruppa Bertholda Beitz. W czasie okupacji Beitz był zarządcą pól naftowych w Borystawiu. Ratował Polaków i Żydów przed wywózką do obozów koncentracyjnych. W 1974 roku władze PRL wręczyły Beitzowi Krzyż Komandorski z Gwiazdą. Jako przewodniczący Kuratorium Fundacji im. A. Kruppa Beitz przekazał sumę 4,5 mln marek na wyposażenie Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie. ■ Dr Jan Walc, b. współpracownik *Biuletynu Informacyjnego* i wykładowca na *Latającym Uniwersytecie*, oświadczył w wywiadzie udzielonym zachodnioniemieckiej telewizji, że pomoc z krajów RWPG napływająca rzekomo do Polski ma bardzo osobliwy charakter, ponieważ stale wiele się o niej w Polsce mówi i pisze, ale jej absolutnie nie widać. Natomiast widać paczki nadchodzące z Niemiec Zachodnich; co ma olbrzymie znaczenie w zbliżeniu obu narodów. ■ *Trybuna Ludu*, w korespondencji z Bonn pióra Jana Moszczeńskiego, stwierdziła autorytatywnie, że niemieccy dziennikarze prowadzący audycję *ZDF-Magazin* są znani z „dobrych kontaktów z *Radiem Wolna Europa* i *Federalną Służbą Wywiadowczą* z Pullach — BND”. Należy się tylko dziwić, że władze RFN za ten skandaliczny wybrzyk nie cofnęły Moszczeńskiemu akredytacji. ■ Władze NRD wprowadziły wobec Polaków powracających samochodami do kraju z RFN lub Berlina Zachodniego opłaty w zachodnioniemieckich markach za przewożone towary. Pracownicy warszawskiego *MSZ-tu* i *Polskiej Misji Wojskowej* w Berlinie bezskutecznie starają się wyjaśnić, na jakich podstawach prawnych celnicy NRD-owscy pobierają *myto* od obywateli polskich za towary przewożone *transztem* przez terytorium Niemiec Wschodnich.

Andrzej J. CHILECKI

— NOWOŚCI WYDAWNICZE —

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 324 — HENRYK GRYNBERG

ŻYCIE CODZIENNE I ARTYSTYCZNE

Powieść

Str. 180.

Cena F. 50,00.

TOM 335 — KAZIMIERZ BRANDYS

MIESIĄCE

(1978 - 1979)

Zapisy pamiętnikarskie o charakterze osobistym na tle wydarzeń kulturalno-politycznych.

Str. 256.

Cena F. 75,00.

Widziane inaczej

Czy zanudzą na śmierć?

Zabić nas wszystkich nie mogą, ale zanudzić nas na śmierć mogą — mówi się w Polsce o Rosjanach. Istotnie, rozliczne elementy nudy i nudzenia rozrastają się wzdłuż i wszerz. Jednym z takich codziennych elementów bytowania nad Wisłą jest nędza, rozszerzająca się namolnie i dokuczliwie, pożerająca czas, energię, nadzieję, obejmującą coraz to nowe dziedziny życia, odbierająca to, co wczoraj jeszcze uchodziło za normę, a dziś staje się mirażem nieuchwytnym, utęsknionym. W dodatku nędza to irracjonalna, nie wiadomo jak do niej doszło tak nagle, trudno też pojąć, że władze, co przed rokiem jeszcze skłonne były upiększać wszystko, teraz lubują się w czarnych kolorach i w najbardziej pesymistycznych przepowiedniach. Gdzie żyjemy właściwie? — pytają ludzie, którzy przywykli, że ustrój komunistyczny stał zawsze na „propagandzie sukcesu”, choćby najbardziej absurdalnej, ale nieugiętej, nieustępliwej. Ziemia spod nóg się usuwa, jeśli komunizm nie cofa się przed prawdą, zimną gospodarczą prawdą, jeśli ustrój komunistyczny przestaje być sobą, a wszakże innego ustroju na razie nie przewidziano, nawet buntownicy z Wałęsą na czele nie mają w tej chwili czasu ani chęci, by proponować czy projektować inny ustrój, nie mówiąc zgoła o scholastycznych rozważaniach apostołów reformy gospodarczej, o których teraz już wszyscy wiedzą, że są bezradni, trudno bowiem projektować, co się będzie budowało, gdy trwa trzęsienie ziemi. W czasie trzęsienia ziemi raczej się wszystko wywraca niż na nowo ustawia, toteż bicze ukręcone z piasku reformy ekonomicznej nikogo w tej chwili nie interesują — wszystkich absorbuje nuda, rozłożona na raty, boć trzęsienie ziemi powolne i wciąż metodycznie zapowiadane uniemożliwia zainteresowanie się czymkolwiek.

Zwłaszcza, że nadziei ekonomicznej nie widać, bo nawet wydzierżawiać poszczególnych dziedzin przemysłu kapitalistom nie

sposób, choć może i Moskwa by się na to zgodziła, sama robiła takie rzeczy w okresie Dnieprostroju, a i dziś od technicznych kooperacji z Zachodem nie stroni. Ale nie sposób, bo dług zagraniczny wisi nad głową i pracować by trzeba bez zysku, na jego spłaty, co z gustem i upodobaniem podkreślają przy lada okazji rządzący nami generałowie, ministrowie i sekretarze, zapominając dodać, że wszystko to, cała wielka plajta, dokonało się w ustroju socjalistycznym, a czy przez jego realizację czy też przez jego „wypaczenia”, to już oszukanej klienteli nie obchodzi. Tutaj rządzące marionetki przesadziły jednak w czarnej propagandzie i myślę, że ich prędzej czy później Moskwa za to ukarze, bo nie wolno komunistom tracić głowy i nadmierne społeczeństwa informować, a przez to spoufalac — zwłaszcza po wszystkim, co się i tak w Polsce stało. Michnik sądzi, że oni kłamią za dużo, ja myślę, że jak na potrzeby Moskwy — za mało, i zapłacą za to. Bo partia komunistyczna w sąsiedzkim kraju to nadal bardziej lub mniej tajna domena Moskwy, tu rządzić się ona może jak chce. A wszakże polityczny manewr rosyjski trwa, zaś polska Partia jest zarazem i jego przedmiotem i jego instrumentem. Tak bowiem, w takim schemacie działania, ukształtowana została psychika towarzyszy z Kremla, ekipy starej, która na inną taktykę i inne myślenie się już nie przestawi, a sprawę polską niezbyt rozumie, gdyż za bardzo to wszystko było niespodziewane, egzotyczne dla nich, psychologicznie i historycznie złożone. Owszem, są na Kremlu wielcy szachiści, lecz trudno grać poza szachownicą i zasadami gry, a tego wymaga „sprawa polska”, o ileż bardziej złożona niż schematyczny w ich pojęciu i rozszyfrowany system reakcji psychicznych Zachodu. Na Polskę działać tym samym schematem, co na inne kraje Bloku? To rzecz niewystarczająca, nieskuteczna, jak się okazało. A działać jak na kraj zachodni — nie wypada, po 35 latach komunizmu byłoby to przyznaniem się do porażki. Pozostaje dojutrujące jeszcze wciąż, nieoparte na żadnej ostatecznej decyzji (odpukać!?) manewrowanie grą psychologiczną, wojną nerwów, straszeniem. W gruncie rzeczy — nekająca ofensywa nudy.

Bo o ile nędza jest nudą ekonomiczną, rozwijającą swe zabójcze zapędy zmorą życia codziennego, o tyle „manewry strachu”, schematyczne i częstokroć teatralne, to nuda polityczna, mająca na celu sparaliżowanie rozbudzonej przed rokiem swobodnej psychiki narodowej, tak wewnątrz Partii, jak i poza nią. Te manewry, wojna nerwów, prowadzone są od zewnątrz i od wewnątrz, przy czym od wewnątrz realizują ową wojnę pewne czynniki rządowe, przymuszone do tego czy przekonane, nie wiadomo, boć to wciąż dziedzina działań ściśle tajnych, nad czym, niepoprawny utopista, ubolewać nie przestanę.

Na zewnątrz trwają stałe „działania onieśmielające”, szeroko w świecie reklamowane ruchy wojsk sowieckich w rozmaitych momentach polskiej sytuacji, kampania prasowa, radiowa, telewizyjna, do której zmuszane są także sąsiednie kraje „bratnie”, oraz różne formy bojkotu, szyan granicznych, paraliżu tranzy-

towego. Na wewnątrz narzędziem manewru, nie wiadomo o ile świadomym a o ile zdeorientowanym i spanikowanym, jest kierownictwo Partii i Rządu. Prowadzi ono teraz akcję osłabienia „Solidarności”, wciągania jej, celem wyczerpania i zdepopularyzowania, w spory nieistotne, scholastyczno-advokackie, zmuszania do zmiany frontu, zaskakiwania zmianą decyzji, denerwowania i rozbijania, dezorientowania, co na przykład udało się po trochu w środowisku dziennikarskim. Jednocześnie jednak rząd sam zdradza zdenerwowanie i dezorientację, nie szczędzi społeczeństwu zmiennych i histerycznych wypowiedzi, pogroźek oraz dziwacznych decyzji personalnych (nieprawdopodobnie „pomieszany” Urban), a także samobójczego wyjaskrawiania różnic w poglądach na poszczególne problemy, ustawy czy reformy, zachodzących pomiędzy władzą a „Solidarnością”. *Cui bono* ta uporczywa reklama różnic, często na pozór zupełnie bezsensowna, jak np. w znanej sprawie „Lotu”? Czy dla demonstracyjnego przypodobania się Moskwie, czy dla utwierdzenia swego rzekomego prestiżu oraz wątpliwej „praworządności”, czy w ogóle z braku rozeznania i psychicznej równowagi? Trudno wiedzieć, zwłaszcza gdy się w tej chwili tkwi z daleka, choćby pod skrzydłami p. Giedroycia. Ale nasuwa się nieodparcie pytanie, czy nie rozsądniej a także znacznie ostrożniej dla kierownictwa Partii byłoby „stanąć po stronie narodu”, zamiast zaostrzać sytuację bez możliwości całkowitego zadowolenia Moskwy? Zaniechać polityki marionetkowej i zaniechać liczenia na niezawodny skutek ofensywy nudy, która doprowadzić może do skutków nieobliczalnych dla stron obu. Stanąć po stronie narodu, a jeśli ten naród nie bardzo wie, czego chce, bo przez lata dyktatury utracił wiele ze swej świadomości, brak mu też pojęć ekonomicznych i prawnych, samemu ułatwić mu autokryształizację: wszakże wypada to zrobić jako ekspiację, jeśli się bądź co bądź reprezentuje 35-letnią ciągłość komunistycznej władzy i nie można w nieskończoność zwać wszystkiego na Gierka!

Może „oni” to rozumieją, a może nie, może tylko niektórzy rozumieją, a może zdecydują się stanąć po stronie narodu, kiedy już będzie za późno? Tego bym im nie życzył, dosyć w końcu mieliśmy w naszych dziejach tragedii znieawidzonej władzy. Na razie jednak komuniści wierzą, jak się zdaje, w przyszły sukces swojej ofensywy nudy, w niszczącą siłę odzierania życia z uroku, obrzydzenia ludziom epoki „Solidarności” z pomocą wszechpożerającej nudy ekonomicznej i politycznej. Pokazać że nuda rośnie i jest bezdena, że „Solidarność” nic na to nie może poradzić, a jej roczny zryw był sztucznym fajerwerkiem, słomianym ogniem, że przedtem w końcu żyło się lepiej i godniej, że wielomiesięczny narodowy zapał był rzekomy, że to tylko słowa, bezradne wobec życia. Walczyć z „nowym” na każdym odcinku, nie ustępować ani rezygnować, piętrzyć trudności i komplikacje, podpierając się nędzą, na którą nikt nie znajdzie rady, jątrzyć, judzić, obrzydzać, prowokować, dzielić, straszyć i — czekać na rezultat psychologiczny, aż społeczeństwo się zmęczy, rozgoryczy,

załamie i — zrezygnuje. Odda inicjatywę, nauczone tysiącem doświadczeń i przeżarte nudą nie do zwalczania.

Nuda to broń potężna, ale czy wszechmocna? Czy rzeczywiście zanudzą nas na śmierć?

Bolszewicy wymyślali różne bronie psychologiczne, nieraz na swój sposób genialne. Bolszewicy mają swój geniusz, ale geniusz to już chyba częściowo nieskuteczny, bo — niepotrzebny. Opiera się na anachronicznej, przestarzałej koncepcji historii, państwa, imperium, racji stanu, patriotyzmu, nie mówiąc już o marksizmie i socjalizmie. Na szerokim świecie sprawy poszły inaczej, oni, izolowani i upojeni sukcesami, zostali w tyle, w swoim świecie. I nas w nim zatrzymali korzystając z wyczynów Hitlera, z faktu, że to Stalin wymyślił i zagwarantował specyficzną sytuację i „rację stanu” nowego osobliwego państwa polskiego między Odrą a Bugiem, oraz że Polacy mają wciąż, od końca wieku XVIII, niewyżyta potrzebę państwowości, do tego zaś druga wojna światowa zademonstrowała jak na zamówienie germańską krwiożerczość, doprowadzając tychże Polaków wręcz na krawędź biologicznej zagłady, co zresztą i Stalin ułatwił upuszczeniem polskiej krwi z dawnych kresów wschodnich, a potem i skądinąd. Ze splotu specyficznych okoliczności i sugestii wyrósł w końcu państwowy patriotyzm PRL-u czy „Polski Ludowej” oraz specyficzne ujęcie jej racji stanu. Ten patriotyzm jest faktem, jako że innej Polski na mapie nie przewiduje się nawet w najbardziej antykomunistycznych projektach zachodnich. Patriotyzm ten cechuje również „Solidarność”, choć chce go ona połączyć z przemianami politycznymi i duchowymi, a w przyszłości (musi do tego dojść, choćby się wszyscy jednogłośnie zarzekali) z projektami zmiany ustroju. I to jest właśnie dla strategów z Kremla problem najtrudniejszy, i jak dotąd, nie do przełknięcia: zostawić w granicach swego geopolitycznego imperium kraj o innej strukturze politycznej i duchowej?! Takiej praktyki dotąd nie było, bo nie jest tu przykładem ani opuszczająca niegdyś Blok Jugosławia, ani podskakująca w polityce zagranicznej, lecz ściśle totalna i partyjna na wewnątrz Rumunia. Jak zachować się wobec całkiem nowego zjawiska, które w dodatku mogłoby zaimpresjonować i inne kraje Bloku?! — oto orzech nielada dla kremlewskich konserwatystów, mimo całego ich taktycznego i psychologicznego geniuszu.

Genialność polityczna bolszewików polega między innymi na ich bezbrzeżnej cierpliwości w wyzyskiwaniu przyrodzonej słabości demokratycznego Zachodu, co łączy się z leninowską jeszcze pogardą wobec wszelkiego liberalizmu, pluralizmu, wyborów, zmian władzy i polityki. Ta długooddechowa sowiecka cierpliwość powoduje jednak formowanie się po latach sztywnego konserwatyzmu taktyczno-politycznego, podczas gdy świat zachodni podlega jednak przemianom i trudno traktować go stale jako jakiś *constans*. Tymczasem taktyka sowiecka to jest wieloletni *constans*, który wreszcie ulec musi rozszyfrowaniu nawet przez zachodnich sybarytów politycznych. W roku 1977 napisałem w

Kulturze (nr 11) felieton, definiujący zasady sowieckiej polityki w Europie i świecie, „Moje prorocstwo”, dedykowany Zbigniewowi Brzezińskiemu. Cztery lata minęły, a ja nie zmieniłbym w mojej ówczesnej diagnozie ani słowa. Jakaż ona była? Oto Rosja za wszelką cenę utrzymać chce europejski pokój atomowy na Łabie, wysuwając jedynie wobec krajów zachodnioeuropejskich uspokajające pokusy „finlandyzacyjne”, zachęcając do odrzucenia zbędnego rzekomo amerykańskiego parasola i do dobrowolnej neutralizacji, połączonej z korzystną w dobie bezrobocia i nadprodukcji współpracą techniczno-gospodarczą z „Blokiem”. Natomiast w świecie, w Azji, Afryce, Ameryce Południowej, Rosja konsekwentnie popiera wszelkie rewolucyjno-dywersyjne ruchy antykapitalistyczne i antyamerykańskie, czyniąc to jednak w sposób elastyczny i skryty, unikając starcia frontalnego w przekonaniu (czy jeszcze słusznym?), że czas w tych częściach świata i tak pracuje dla niej.

Czy coś się w tym schemacie w ostatnich latach zmieniło? Ze strony rosyjskiej — nic. Natomiast ze strony zachodniej — jednak sporo. Mam tu na myśli np. decyzję prezydenta Reagana o produkcji i rozmieszczeniu bomby neutronowej. Jest to decyzja raczej o znaczeniu polityczno-psychologicznym niż militarnym, boć nikt w końcu nie wie, jak naprawdę wyglądać będzie wojna przyszłości, nie wiedzą też tego generałowie („generałowie przygotowują zawsze minioną wojnę” — powiedział to chyba de Gaulle). Najważniejsze, że neutronowa decyzja kładzie kres pewnej panikarskiej, defetystycznej legendzie, iż gdyby Rosjanie zaatakowali w Europie siłami konwencjonalnymi, Amerykanie, bojąc się nuklearnego rewanzu na swoim terenie, nie zdecydują się na uderzenie atomowe i pozostawią europejskich sojuszników własnemu losowi. Ta sowiecka sugestia odpada, przybliżenie do Europy „progu jądrowego” uniemożliwia jej izolację i pacyfikację. W praktyce — oddala groźbę sowieckiej zaczepnej wojny konwencjonalnej, czyli wschodnią presję na wolny świat.

Oczywiście, neutronowe posunięcie Reagana może mieć charakter taktyczno-przetargowy wobec Rosjan, może być po prostu próbą wymuszenia lepszych warunków w kolejnej fazie rosyjsko-amerykańskiego porozumiewania się, stanowiącego ramę, na której utrzymuje się wciąż w świecie jałtański stan formalnej równowagi. Także koniec pierwszej kadencji Reagana może przynieść nieuniknione w konsekwentnie stosowanej demokracji niepodziarki, tak bardzo nieraz denerwujące świat, a tak oczekiwane przez Rosjan. Prezydent USA już po dwóch latach rządów nastawia się na powtórny kampanię wyborczą, stając się niewolnikiem chwilowych nastrojów czy niezadowolonych obywateli. Tu zgadzam się w pełni z opinią red. Giedroycia, że dla świata niezwykle byłoby korzystne, gdyby prezydent Stanów Zjednoczonych wybierany był jednokrotnie na okres lat siedmiu, jak we Francji, mogąc za to przez ten czas realizować określoną, jednolitą politykę.

Przyjmijmy jednak optymistycznie, że Reagan chce i będzie

taką politykę prowadzić, że ma swoją filozofię, której pozostanie wierny. Świadczyłby o tym wybór na Sekretarza Stanu Haiga, człowieka na oko równie żarliwego i nerwowego jak niegdyś James Forrestal, wizjoner, który oszalał na myśl, jakie niebezpieczeństwo grozi światu i Ameryce wobec rozpowszechnienia się broni atomowej. Jeśli więc Reagan będzie rzeczycieście nieugięty, jakie konsekwencje wynikną z tego dla sprawy polskiej? Sformułował je prosto red. Giedroyc: zmasowana rosyjska interwencja militarna w Polsce byłaby początkiem trzeciej wojny światowej! I Rosjanie o tym wiedzą.

Za prawdziwością tej hipotezy świadczy fakt, że wybrali właśnie wojnę nerwów i nudy, demonstrowanie i straszenie, nie zdecydowali się natomiast na akcję całościową, która musiałaby być niespodziewana, szybka i skrajnie brutalna, taki Afganistan na wielką skalę. Uznali najwyraźniej, że w epoce Reagana rzecz jest ryzykowna, nie bez znaczenia byłoby tu i „polskie” papiesstwo, które wpływa w wielkim stopniu na moralną opinię świata. Wobec czego realistyczni kremłowscy szachiści wybrali ofensywę nudy i strachu, walkę na przetrzymanie psychiczne, w której sojusznikiem ich ma być przymuszone polskie kierownictwo partyjno-rządowe, a instrumentem pomocniczym — nędza nie do zreperowania.

Czy w tej walce na nerwy naród polski skazany jest na przegrana, czy Rosjanie muszą zanudzić nas na śmierć, czy też Wałęsa i towarzysze lub jeszcze inni znajdą atrakcyjne i ciekawe antidotum na ową niszczącą i podgryzającą nudę? Oto jest pytanie.

Nie podejmując się w tej chwili całościowej na tę kwestię odpowiedzi, chciałbym, jako przyczynek do niej, zwrócić uwagę na fakt, że wojna na nerwy i na nudę jest bronią obosieczną. Polacy śmiertelnie są znudzeni, słysząc o nowych, ostentacyjnych ruchach wojsk sowieckich czy o nowym, ostrzegawczym, grożącym „końcem narodowego bytu” przemówieniu Rakowskiego. Jednocześnie jednak wyobrażam sobie, jaką śmiertelną nudą i irytacją napawać musi Breżniewa i kremłowskich szachistów każda nowa wiadomość o zjeździe „Solidarności”, o demokratycznych głosowaniach i patriotycznych demonstracjach, o każdej solennej mszy oraz inauguracji pomnika przeszłości, o tysiącach spraw niepojętych, wśród których na nie ostatnim miejscu stoi dziwnie nieoczekiwany przebieg Zjazdu Partii. Wszystko to zmusza szachistów do REWIZJI taktycznego myślenia, do gry poza szachownicą, do spraw nowych i trudnych, jak choćby do zrozumienia faktu, że nawet historia naszego stulecia, wydawało się że raz na zawsze zafałszowana i „zaksięgowana”, wstaje oto dzięki Polakom z grobu, że młodzież polska nie zapomni już nigdy mszy za Piłsudskiego czy za poległych w Katyniu. Jakież to przykre, nudne, irytujące, sprzeczne z zasadami! I pomyśleć, że polscy towarzysze z Kierownictwa nie mogą temu zaradzić, że nawet biorą w tym udział, spiskując w dodatku na

spółkę z Kościołem! Co oni właściwie robią i po czyjej w gruncie rzeczy stoją stronie?!

Wyobrażam sobie, jaki potok wyrzutów i złorzeczeń spada na głowy Kani i Jaruzelskiego w Moskwie czy na Krymie. Ciekawe i psychicznie oszpecające byłoby, gdyby o tym publicznie opowiedzieli. Ale na razie ta rzecz stanowi jeszcze tabu, choć i tu pojawiły się pierwsze wyłomy. Wielokrotnie, w różnych formach, wyrażałem pogląd, że informowanie Rosjan o tym co myślą i czego chcą Polacy nie może być wyłącznym monopolem Partii, w dodatku sprawowanym tajnie, poza społeczeństwem. Proponowałem różne drogi „robocze”, np. domaganie się wzbogacenia składu polskich delegacji do Moskwy o reprezentantów różnych grup i elit społecznych („Solidarność”, Kościół, dziennikarze) i wyciągnięcia rokowań na forum publiczne. Wyśmiewano mnie za to nielitościwie jako fantastę i marzyciela (Socjusz, red. Giedroyc), a jednak... Pierwsze precedensowe wyłomy w nieugiętej dotąd tajemnicy „dwustronnych” rokowań już się dokonały. Choćby w postaci niebywałego od wielu lat faktu publicznego ogłoszenia listu sowieckiego KC do polskiej Partii, oraz polskiej na to odpowiedzi, co zmusiło Rosjan do podobnego, rzadkiego w „dwustronnych” stosunkach międzypartyjnych publicznego gestu. Zmiana metody i atmosfery niesłychana (przepowiedziałem ją zresztą, mam świadków), zaakcentowana jeszcze przez sejmowe przemówienie posła Karola Małcużyńskiego, odważnie krytykującego ton i treść sowieckiej noty. Ostatnio zaś, już tu w Paryżu, przeczytałem felieton Jerzego Andrzejewskiego w podobnym duchu, a w nim m.in. słowa: „Związek Radziecki oraz inne państwa sojusznicze nie mogą być traktowane jako zabytki pod specjalną ochroną. Współpartnerstwo nie musi być jednoznaczne ze śpiewaniem na jedną nutę i do tekstów tych samych” (*Literatura* z 27 sierpnia br.).

Fakt, że słowa takie i im podobne zostały PUSZCZONE przez cenzurę w piśmie oficjalnym, redagowanym przez Putramenta, coś przecież mówi. Są i inne sygnały, świadczące, iż świadomość konieczności „gry poza szachownicą” toruje sobie u nas drogę tu i ówdzie. Może i Rząd wraz ze swym rzecznikiem Urbanem zrozumie, że stanięcie po stronie narodu nie jest może największym ryzykiem, że w wojnie nerwów nie jesteśmy bez szans, że ofensywa nudy jest dwustronna i obosieczna, że fakt podjęcia jej, zamiast ofensywy czołgów, jest już sam przez się rezultatem, zachęcającym do optymizmu. Wojna nerwów na pewno będzie długotrwała, lecz nie musimy koniecznie umrzeć z nudów. Nie musimy też padać na serce z powodu każdej historycznej mowy czy ostentacyjnej prowokacji rządowej lub prokuratorskiej, podobnie jak wicepremierzy czy ministrowie nie powinni popadać w śmiertelny popłoch z powodu każdego objawu rodzącej się na nowo obywatelskiej swobody, czy z powodu każdego zmarszczenia brwi zaskoczoności nowością sytuacji sowieckiego marszałka. Spokój zaleca się również tym zachodnim środowiskom przekazu, które przy każdej okazji obwieszczają bliski ko-

niec Polski. Trzeba sobie uświadomić, że czeka nas wieloletnia wojna nerwów i nudy, wojna na przetrzymanie, która, jeśli nie przerodzi się w terror, to przerodzić się musi w taki czy inny DIALOG, choćby z ekipą kremlofskich następców, która kiedyś przyjdzie. Wierzyć bowiem wypada w ewolucję świata, nawet tego wschodniego, odciętego, zacofanego, totalistycznego. Bo w cóż innego można wierzyć?

Łatwo to zalecać komuś silne nerwy, siedząc w Paryżu — powie czytelnik. Nie zgadzam się: wcale nie łatwo.

KISIEL

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOMASZ STALIŃSKI
(STEFAN KISIELEWSKI)

ŚLEDZTWO

Pierwsza polska powieść o wypadkach gdańskich 1970

Str. 224.

Cena F. 25,00.

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 333 — PAWEŁ ZAREMBA

HISTORIA DWUDZIESTOLECIA

(1918 - 1939)
(w 2-ch tomach)

Do druku przygotował Marek Łatyński

Tom I-szy str. 240.

Tom II-gi str. 432.

Cena I/II F. 170,00.

„Historię” można nabywać tylko w całości.

Książki**Rzeczywistość**

„W polskiej powieści kupiec musi być romantykiem a przemysłowiec patriotą. Przez dwieście lat jedyną żywą postacią kobiecą w polskiej literaturze był cieni zmarłej dziewczynki”.

(K. Brandys, *Nierzeczywistość*)

Pierwszy, przypadkowy fragment *Miesiący*¹ na który się natknęłam, rozczarował mnie: speszony Brandys tłumaczy się przed krytykiem, że napisał dwa oddzielne utwory, *Nierzeczywistość* i *Rondo*, które później uległy osmozie. Krytyk nie wierzy, Brandys snuje refleksje na temat *Geistu* amorficzności, która trawi współczesną prozę. Ale krytyk powinien wierzyć pisarzowi na słowo i nie wymądrzać się. A pisarz nie powinien w *besserwisserstwie* krytyka dopatrywać się własnej naiwności, tylko go zdrowo ofuknąć.

Moja rezerwa w stosunku do *Miesiący* wyphywała jednak w znacznej mierze z docenienia ryzyka, które pisarz — tak zwany rasowy nowelista — podejmuje publikując najpierw wywiad z samym sobą, a niedługo potem pamiętnik, dziennik, zapis z te- raźniejszości. Dodajmy jeszcze owe trzy wielkie cienie, które kładą się na każdym polskim pisarzu piszącym autobiografię: *Rodzinną Europę* Miłosza, *Dziennik* Gombrowicza, *Dziennik pisa- ny nocą* Herlinga-Grudzińskiego.

Miesiące są w rzeczy samej powtórzeniem, uzupełnieniem i przedłużeniem *Nierzeczywistości*, i podobnie jak *Nierzeczywis- tość* wciągają w trakcie lektury. Jest to kalektwo gatunku, eseju literacko-autobiograficznego, w którym nie zawsze można zacząć od zdania „Ogary poszły w las”. Umiał to tylko Gombrowicz: szarpnąć czytelnika od razu pierwszym zdaniem, jakimkolwiek

1. Kazimierz Brandys, *Miesiące 1978-1979*, Instytut Literacki, Paryż 1981, str. 252.

zdaniem, nawet wyrwanym z kontekstu. *Miesiące* to jeden z wielu utworów Brandysa o nim samym i Polsce. Książka prywatna, środowiskowa i bardzo literacka. A także socjologiczna ankieta spisywana na gorąco i wielokrotnie analizowana *a priori*. To *Obywatele* napisani przez Brandysa po raz drugi, przeciw władzy i w innej konwencji, ale w gruncie rzeczy z podobnym zamiarem. Ani dziennik *sensu stricto*, ani autobiografia. Jedno i drugie, a także powieść o czasie, przemijaniu, o ciągłości życia i jego zwrotnych, powracających momentach. Książka pełna elegancji i sympatii dla własnej błyskotliwości i kunsztu. Książka pisana w poczuciu duchowej swobody i integracji psychicznej, chciałoby się powiedzieć: szczęśliwa, choć układana w okresie narastającego terroru, osobistej katastrofy spowodowanej chorobą żony, spotęgowanych pytań o sens i pożytek własnego piarstwa i o przyszłość Polski. Czytając *Miesiące* myślałam o tym liście Czechowa, w którym pisze on, że pewnego poranka człowiek budzi się czując, jak z jego żył, kropla po kropli, upływa krew niewolnika. Myślę, że tu leży podstawowa różnica między *Nierzeczywistością* a *Miesiącami*: między refleksją na temat uwarunkowań wolności a jej autentycznym odczuciem.

Miesiące przypominają *Dżokera* (1966), małą powieść z podtytułem *Wspomnienia z terazniejszości*. *Dżoker* przypomina *Listy do pani Z.* i kończy się początkiem wątku małżeńskiego, wątku M., który jest jednym z ciągle powracających planów *Miesiący*: „Panna żywotna i mądra, po wojnie została żoną pewnego literata, którego listy z podróży po Europie były przez jakiś czas dość poczytne. Ale to są już inne sprawy”.

„Inne sprawy” wracają w *Małej księdze* (1970), która przevertowana po lekturze *Miesiący* robi wrażenie ich skrótowego zapisu. W *Dżokerze* zaś znajduje się fragment, który zaowocował *Rondem* wplecionym w *Nierzeczywistość*: „Pokazać wojnę poprzez 'układ zamknięty'. Żadnej indywidualnej psychologii, bo to prowadzi do powieści, a tu idzie tylko o notowanie materiału. Powieść to jakby założyć rodzinę, tutaj natomiast chodzi o przygodę — więc wypłuć ten haczyk, zerwać ten wątek. Chodzi o wydzielenie z rzeczywistości (...), o wyabstrahowanie z układu otwartego, który tworzy historia”. Ideałem a zarazem parodią tej koncepcji jest *Pornografia* Witolda Gombrowicza. Dziwna tęsknota u pisarza, który od początku twórczości parał się powieścią i wielokrotnie zakładał „rodzinę”.

Miesiące są książką o wielowarstwowym układzie zamkniętym — status pisarza, którego cenzura odcięła od czytelnika, status członka warstwy społecznej trzebionej przez socjalizm, status całego społeczeństwa żyjącego na niby — w szerokim układzie otwartym. Książką polityczno-socjologiczną z historycznym kontekstem, z genealogią Polaka i jego mentalności. Książką o kurczowym przenikaniu się obydwu układów.

Pierwszym utworem Brandysa o „układzie zamkniętym” była powieść *Drewniany koń* (1946). Lubiłam ją niemal tak bardzo

jak *Jeziro Bodeńskie* Dygata, jedyny utwór w polskiej literaturze napisany w autentycznym duchu Gombrowicza. (Na marginesie: opowiadając o swoim pierwszym spotkaniu z Dygatem Brandys wspomina, iż zdumiało go, że Dygat z wspaniałych pisarzy najbardziej cenił sobie Gombrowicza i Hemingwaya. Jak mógł przeoczyć „ferdydurkizm” *Jeziro*?). „Egotyzm intelektualny i wspomnieniowy”, podsumował Wyka obydwie książki w *Pograniczu powieści*, w rozdziale zatytułowanym *Rozrachunki inteligentkie*. Wtedy nie było to jeszcze jednoznaczne z rzucając anatemi i nie pamiętam, aby Brandys kiedykolwiek później tłumaczył się ze swej inteligentkiej „skazy”. *Miesiące* są wyzwajającą bezwstydną apologią inteligencji, apologią w tonacji *requiem*. Co nie znaczy, że Brandys nie jest wyczulony na polskie idiosynkrazje — w tym idiosynkrazje intelektualnej elity — i to, co określa jako reagowanie „genetycznym skurczem”. Są w *Miesiącach* dwa wstrząsające w swojej nagości momenty: opis spontanicznego, masowego spaceru w warstwy do miejsca, w którym stawia się ołtarz, przed którym papież ma odprawić mszę. I pełen desperacji akapit o dzieciach znajomych i przyjaciół, które powyjeżdżały z Polski: poczucie pustki, przerwanej genealogii.

Miesiące zaczynają się w październiku 1978, kończą krótkim fragmentem z grudnia 1979. To zaledwie nieco więcej niż rok: „Od piętnastu miesięcy nie piszę (...). Paryż: choroba i szpital. Berlin: choroba i szpital. Warszawa: szpital i operacja”. Jakżeż to podobne do notatek Gombrowicza z ostatniej części *Dziennika*. Dalej: „Chorował kto inny, ja przez cały ten okres fizycznie czułem się dobrze. Przeżywałem jednak katastrofę zniszczenia wspólnego życia”. Dwie główne orbity po których Brandys porusza się w *Miesiącach*, to Dwudziestolecie z Piłsudskim w roli głównej i historia małżeństwa z M. Nie przesłodzona, nie zbrutalizowana, miejscami czuła, miejscami dowcipna: „Wieczorem po kinie rozmowa z M., która wpada w jedną ze swoich zapalczwych tyrad, z błyskami zębów i oczu, wspaniała, zapomina o wodzie kipiącej w czajniku. Przerwywamy sobie, chociaż między pokojem a kuchnią, i mówimy bardzo głośno, tak że na pewno słyszą nas w klatce schodowej. O czym — o małżeństwie. O związku kobiety z mężczyzną, jako sposobie przetrzymania natury. O naszym niemonogamicznym małżeństwie, które parokrotnie mogło być się rozpaść, gdyby nie spajały nas przystające do siebie różnice, tworząc ząbiony układ. (...) Oparliśmy się, no, przetrzymaliśmy. Jak by nazwać istotę takiego związku? Związek dusz — mówi M. z nożem w rękę, krając chleb”.

Historia małżeństwa w dzienniku, który jest polityczną, literacką i duchową autobiografią, a także pamiętnikiem z rocznego życia narodu w tak zwanym momencie dziejowym. Brandys pisze o swoim związku z M. — a także o innych miłośno-erotycznych związkach — w ładnych, luźno wiązanych, niemal filmowych kadrach. Bez pruderii i bez ekshibicjonizmu, świadomy że szczerść nie może obejść się bez dyskrecji. *Miesiące* — także i w tym

planie — robią wrażenie książki pisanej żywiołowo, asocjacyjnie, bez z góry powziętej koncepcji, a zarazem starannie komponowanej. Być może Brandys wybrał taki czas, w którym intuicyjnie wyczuł zwiększone napięcie życia i owo napięcie nadało książce kompozycyjny kształt.

Teza ideowa książki i jej linia artystyczna rodzą się w trakcie pisania, spontanicznie, lecz są poddawane selekcji. W planie literacko-osobistym jest to przerabianie „stanu niebycia” w stary, znajomy „sposób bycia”, w pisaniu. W planie szerszym — to modlitwa o odrodzenie narodu. Ani mniej, ani więcej. W tych miesiącach, w tym roku społeczeństwo polskie ulega przepoczwazrzeniu; to wypełzanie ze stanu, który opisał Herbert w *Heraldycznych rozważaniach pana Cogito*: „teraz/ze słońca/ z bełkotu/ z piasku/ jeszcze bez twarzy/z zasklepionymi oczami/szczecię/ ani żółć nienawiści/ani purpura słowa/ani zieleń nadziei/pusta tarcza/przez kraj/małych drzew/małych słów/świerszczy/snuje się/ślimak/na plecach/dom swój niesie/ciemny/niepewny”. Książkę na temat podobnego stanu nieważkości Woroszyłski nazwał *Literaturą*. Konwickiego *Wniebowstąpienie* było pierwszym, klasycznym już dziełem na temat nierzeczywistości. Brandys stanowczo nie jest jedynym pisarzem, który na przestrzeni ostatnich kilkunastu lat obrał narodową amnezję za temat swojej twórczości.

Miesiące nie są wolne od fragmentów o dużej językowej urodzie i tylko średniej głębi. Fragmentów jakich nie znajdzie się u Gombrowicza, gdzie wszystko jest atakującą czytelnika esencją, a u Herlinga-Grudzińskiego obecnych tylko wtedy, gdy ponosi go ponury diabeł nadmiernej literackości. Brandys zresztą świadomie lub instynktownie, wie kiedy je urwać. *Miesiące* — znowu jak *Nierzeczywistość* — będą różnie odbierane przez czytelników, w zależności od stopnia ich odczytania. Nie każdy wzruszy ramionami nad zdaniem: „Współczesny świat nie należy do epok Rozumu, miota nim pragnienie Wiary”. Brandys dzisiejszy, człowiek niewierzący, wierzy w wiarę, jak coraz więcej pisarzy i myślicieli zachodnich i rosyjskich. Wiara w potrzebę moralnego absolutu przepaja *Miesiące* nie tylko w rozważaniach o naprawie Rzeczypospolitej, lecz także w planie czysto osobistym. A przy tym, przez cały czas, utajony diabeł anarchii. Fascynacja mroczniejszą, bardziej luźną urodą życia. Źródła, które wytryskają zniemacka i równie naturalnie znikają. Duch przepajający *Miesiące*: „Wewnętrzna pewność, że poza bytem doczesnym istnieje prawo najwyższe i wartość jedyna, w których zawiera się cel ludzkiego życia, uzasadniający cierpienie i śmierć”. Retoryczny kadr zamknięty śmiercią Palacha.

Brandys jest jednak także racjonalistą i nie przestaje nim być, nawet kiedy opisuje polski antysemityzm. W swojej najistotniejszej warstwie *Miesiące* są tropieniem tego, co w substancji duchowej narodu przydeptane, lecz niezniszczalne. I trzeba mieć w sobie spory łądunek nadziei albo desperacji, a także

bystrość i odwagę antycypacji, aby się nie ułęknąć, że rzeczywistość, zamiast zaśpiewać — zaskrzeczy. Opisując głodówkę, zainicjowaną przeciw uwięzieniu członków KOR-u, Brandys podkreśla to, na co cały czas czeka w trakcie pisania książki: moment, w którym budzi się narodowa świadomość i samowiedza społeczna. I wierzy. Wierzy rozpaczliwie, głęboko, jak potrafi wierzyć tylko racjonalista — że cud się spełni. I jak prawdziwy mistyk, urywa swą modlitwę, aby pogрузić się w wizji. Spieszę dodać, że jawi mu się diabeł: „Głodujący w kościele na Piwnej wywoływali w różnych ludziach tę samą myśl: czy znają jakąś wartość trwającą ponad faktami i niezależną od ich historycznego czasu. Można by się długo zastanawiać nad tym, czy istnieją ważniejsze pytania skierowane do człowieka. Co prawda, nie stawałem tak zasadniczych pytań, ani innym ludziom, ani sobie. Dopóki nie odczułem, że w wysiłku pisania zawarty jest czynnik religijny, ta sfera moich przeżyć była ograniczona, nie wykraczała poza instynktowną czujność wobec funkcjonariuszy złych poczynań. Pewne ludzkie postacie budziły we mnie silny wstręt. Jedną z nich widzę dzisiaj niezwykle wyraźnie. Przykre widzenie — od karku, od tyłu głowy. Kiedyś wyobraziłem sobie tego diabła siedzącego okrakiem na skrzyni czy zydlu w pustej, niskiej izbie podobnej do wędzarni. Czuję niemal zapach gnijących ryb i skóry zabitych zwierząt. Mój diabeł polował i łowił”. Mniejsza z tym, czy chodzi o Putramenta, czy o kogoś z podobnej, duchowo-cieleśnej materii. Brandys z reguły — ładna, dżentelmeńska zasada — wymienia z nazwiska tylko tych, o których pisze do brze.

Miesiące są także książką o ludziach, zbiorem czułych portretów zaprzyjaźnionych pisarzy, i innych, w tonacji *clair-obscur*: Adama Pawlikowskiego, Jarosława Iwaszkiewicza. Brandys pisze o Iwaszkiewiczu: „Fotografia wydobyla mongolskość twarzy, złozonej z wypukłych grubizn, skosów (...), lata schowały mu oczy pod ubrwione czoło i nadały wyrazu nieszczerzej rozlewności. Jak gdyby z wiekiem przesunęło tę twarz na wschód”. *Miesiące* są także, w najgłębszym sensie, historią własną Brandysa: „... wyobraziłem sobie, że gdybym mógł do śmierci nie wstawać z fotela, w którym piszę, że gdybym się z niego nie ruszył ani na chwilę, żadne straszdyła nie miałyby do mnie dostępu, uwolniłbym się od wszelkiego zła, zabiłbym czas. I byłaby to jedyna możliwa dla mnie, przynajmniej do pomyślenia, forma głodówki, moja woda z solą”.

Na pytanie o akceptację komunizmu i socrealizmu Brandys odpowiada pośrednio, cytując fragment wywiadu M. Kundery dla francuskiego pisma: „Dzisiaj widzimy te lata poprzez naszą późniejszą wiedzę o nich, pod kątem gułagu, i widzimy zbrodnię, krew. Ale wtedy dla nas była w nich również idylla, utopijna arkadia”. Brandys broni „pryszczatych” (uczynił to już w opowiadaniu *Obrona Grenady* z roku 1955) i ma ciepłe uznanie dla tych, którzy nie dali się wciągnąć. W *Nierzeczywistości* traktuje ten problem mniej wymijająco, ale konkluzja pozostaje ta sama:

„Nie rozumieć tej sprawy to znaczy nie wiedzieć o jednej z bardziej niejasnych ludzkich prawd. Najmniej jasnej może właśnie dla tych, którzy ją przeżyli”. Może. Dodać jednak należy, że wyjaśnianiu tej sprawy cytowany przez niego Kundera poświęcił wszystkie swoje dotychczasowe książki.

Najsłabszy, zbyt przesłonięty cieniem Gombrowicza wydaje się notatnik z pobytu w Berlinie. Wyobrażenia Brandysa o autorze *Dziennika* grzeszą jednostronnością, a jego notatnik berliński jest tylko bladym odbiciem tego, co Gombrowicz w berlińskiej części *Dziennika* opowiedział o Niemcach i o sobie. Siła *Miesiące*, w każdym razie tej części, leży nie w rozważaniach na temat, co Gombrowicz uczynił dla języka polskiego, w co przekuł polski kompleks prowincji, ale w tym, co równie dobrze mogło stać się fabułą powieści. Ze wszystkich psychologicznych domysłów najtrafniejszy, najbardziej przejmujący jest ten krótki, końcowy obraz: „Ostatniego dnia Rita podała mu talerzyk malin z kieliszkiem białego wina. Skosztował, wypił łyk, po czym wskazał oczami wino i maliny, jakby ze zrozumieniem rzeczy: no, proszę, więc tak się umiera... i umarł”.

Brandys naprawdę jest sobą, kiedy opisuje swój kraj i swoich Polaków. Siła intelektualnego dyskursu jakby wyczerpała się w *Niereczywistości* i od tej strony *Miesiące* są książką słabszą. Styczeń 1979: „Ta zima coś ujawniła — nie tylko słabość gospodarki i administracji, coś znacznie ważniejszego: niejasność stanu rzeczy, który zaciera społeczne rozpoznanie. Od lat nie wiemy, na co nas stać i kim naprawdę jesteśmy. (...) Aż wreszcie pewnej zimy dowiadujemy się, że spadł śnieg. Wówczas zadajemy sobie pytanie: czy to jest nasz śnieg? czy mamy obowiązek go odgarnąć? (...) Zwracają się do nas z wołaniem o czyn społeczny. Tylko nie wiadomo, kto się do nas zwraca: społeczeństwo czy władza, której nie można zmienić. Rozglądamy się jednak za łopata, trzeba się jakoś przekopać, wyjechać. I wtedy okazuje się, że nie ma łopat. Wówczas znowu stawiamy sobie pytanie: łopatę ma sprokurować rząd czy naród? oni czy my? Stoimy w śniegu zadumani i jednocześnie niezdolni do wyciągnięcia wniosków”.

Cytane w tej chwili, *Miesiące* mają przede wszystkim znaczenie dokumentu historycznego: historia sama definiuje się w nich na oczach pisarza a wydarzenia, zaledwie w parę miesięcy później, uwypukliły jeszcze ten aspekt książki. Brandys tak pisze o KOR-owcach: „Nagle zastanowiła mnie myśl, czym będzie dla społeczeństwa ta garstka za rok, za dwa lata, za pięć? (...) Bo właśnie to, czym oni będą dla nas, to nas samych określi i przesądzi o tym, czym będziemy jako społeczeństwo”. Pytanie ciągle otwarte. I ta uwaga, w której okazał się prorokiem we własnym kraju: „Czasami tylko jedna myśl pociesza: że będzie inaczej. W chwilach najgorszych przewidywań sprawy przybierały zupełnie nieoczekiwany obrót, niekiedy dzięki jednemu wydarzeniu”.

Miesiące są książką niewolną od powtórzeń, od myślowych

natręctw, zdradzających stały, zresztą nietajony niepokój: „Męcząca w moim pisaniu jest świadomość, że przekazuję tylko część prawdy o sobie. Ale najlepszą”. I parę stronic dalej, na temat kazania Wojtyły: „Papież wyrażał myśli zgromadzonego polskiego tłumu, myśli i pamięć, które zafałszowano, mówił do niego z wnętrza jego doświadczeń, wypowiadał jego nadużyta prawdę. Powiedziałbym: jego najlepszą prawdę”.

Grudzień 1979, ostatni miesiąc książki. Brandys zastanawia się — i podoba mi się ta nieskrywana troska o literacką konstrukcję — jak zakończyć *Miesiące*. Jakim symbolicznym, a zarazem konkretnym obrazem, jaką kompozycyjną figurą, spajającą przeszłość z teraźniejszością. Oto próba zakończenia okraszona szczyptą złej literackiej wiary: noc sylwestrowa z podwojonymi ludźmi. Młodzi i starzy, żywi i umarli, obecni i odeszli. I w miesce pełnego obrazu — jego krótkie streszczenie, coś jak miniaturowa akcja *Ronda* w *Niereczywistości*. Streszczenie wystarczające, bo *Miesiące* są w całości tym ostatnim obrazem, którym Brandys chciał je zakończyć: „To, co mnie pociąga w tym napisanym epilogu, to ukazanie nas we wspólnym kręgu, którego nie przerywa śmierć ani oddalenie. Nas, tak nielicznych — garstki połączonej związkami trudnym do nazwania, zapewne nieistniejącym poza nami. (...) Czyżbyśmy byli duchami? Tak i nie. Gdyż na przekór wszystkiemu jesteśmy realni. Kto wie, czy nie jesteśmy bardziej realni od faktów. Jedyne nas nie da się zastąpić innymi i tylko nas się nie mianuje. Siłę daje nam poczucie naszej koniecznej obecności oraz pewność, że nie wzięliśmy się znikąd — że mamy przodków i zostawimy następców”.

Miesiące Brandysa to jedna z nielicznych polskich książek, które się dobrze kończą.

Janina KATZ HEWETSON

SAMODZIELNY OŚRODEK BADAŃ EMIGRACYJNYCH

Dr Jan Gruszyński, socjolog przeprowadzający indywidualnie od kilkunastu lat badania porównawcze wśród polskich społeczności emigracyjnych w różnych krajach, powołał w Warszawie Samodzielny Ośrodek Badań Emigracyjnych i zapowiedział przygotowywanie serii wydawniczej „Społeczność polska w świecie” pod hasłem „Emigranci”.

Inicjator Samodzielnego Ośrodka Badań Emigracyjnych stwierdza jako fakt społeczny, że w ostatnim 25-leciu (po październiku 1956 roku) miała miejsce największa w dziejach polskiego narodu emigracja (zarówno pod względem liczebności jak i przekroju społecznego). W okresie tym opuściły PRL w przybliżeniu 3 miliony osób. Do tej liczby dochodzi każdego roku wielotysięczna rzesza tzw. emigracji sezonowej, dorobkowej. Przybrała ona

szczególnie na sile w ostatnim okresie w związku z kryzysem ekonomicznym kraju, spowodowanym nieudolnymi rządami władz partyjnych. „Eksport” obywateli z PRL sprawił, że w niektórych krajach zachodnich ludność z Polski powiększyła się kilkakrotnie. Za rządów ekipy Gierka wyjechało do Niemiec Zachodnich ponad pół miliona obywateli polskich, w tym niewielki odsetek tzw. autochtonów. Obecnie zamierza wyjechać z PRL do Niemiec Zachodnich kilkaset tysięcy osób. Sondaże niemieckie wykazują, że ponad 2 % ludności zachodniemieckiej, czyli ponad milion osób mówi, pisze i czyta płynnie po polsku. W Szwecji w ostatnich kilkunastu latach liczba ludności polskiej powiększyła się kilkakrotnie. W bieżącym roku kilkanaście tysięcy obywateli PRL ubiega się o azyl polityczny, szczególnie poprzez Austrię, gdzie znajdują się przejściowe obozy dla uchodźców, starając się o wyjazd do Kanady, Australii i Stanów Zjednoczonych.

Ze względów politycznych władze PRL nie chcą masowego zjawiska emigracji nazwać po imieniu i najchętniej określają je jako turystykę, łączenie rodzin lub młodą Polonię. Dla wielu „turystyka” ta przedłuża się od kilku do kilkunastu lat lub jest zaplanowana dożywotnio. Rząd, pragnąc oddzielić naród polski w kraju od społeczności emigracyjnych, świadomie nazywa Polaków mieszkających za granicą „Polonią”. Instytucje, różne komórki i czasopisma dotyczące spraw Polaków za granicą mają w PRL w swojej nazwie słowo „Polonia”: Towarzystwo Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia”, Instytut Badań Polonijnych UJ, Komitet Badań Polonijnych PAN, Zakład Badań nad Polonią Zagraniczną PAN w Poznaniu, Pracownia Dziejów Polonii Instytutu Historycznego PAN, Zakład Duszpasterstwa i Migracji Polonijnej KUL, Polonijne Centrum Kulturalno-Oświatowe UMCS w Lublinie, Wydział do Spraw Polonii MSZ, Klub Zagadnień Polonijnych SDP, Rada Polonii PAX; czasopisma: *Przegląd Polonijny*, *Studia Polonijne*, *Almanach Polonii*, *Rocznik Polonii*, *Zeszyty Polonijne*, seria wydawnicza „Biblioteka Polonijna”, Redakcja Polonijna KAI itd. itp.

Obecnie ponad 200 osób na etacie naukowym zajmuje się w kraju Polonią, zwłaszcza zachodnioeuropejską i amerykańską. Natomiast nie ma odważnych do poświęcenia się problematyce emigracji polskiej w ostatnim okresie i Polaków w Związku Sowieckim. Samodzielny Ośrodek Badań Emigracyjnych pragnie uzupełnić tę lukę. Wiadomo, że w ZSSR żyje kilka milionów Polaków i osób pochodzenia polskiego i że władze Związku Sowieckiego od samego początku do dziś stosują administracyjną politykę wynarodowiania Polaków i innych narodowości.

Gruszyński zbiera materiały do trzech kolejnych tomów: Emigracja z PRL, Polityka emigracyjno-immigracyjna, Oblicze ideowe emigracji. Na VI Ogólnopolskim Zjeździe Socjologicznym w Łodzi w dniach 9-12 września br. będzie przewodniczył grupie badawczej „Problemy emigracji z Polski w ostatnim 25-leciu”.

Jan Gruszyński jest absolwentem Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie oraz Uniwersytetu Warszawskiego. Doktorat z zakresu socjologii ze specjalizacją problematyki emigracyjnej uzyskał w 1977 roku na Sorbonie. Zarówno pracę magisterską jak i doktorską pisał z zakresu problematyki emigracji polskiej. Wyniki swoich badań publikował w wielu artykułach w czasopiśmie naukowych oraz w książce pt. „Społeczność polska we Francji 1918-1978. Problemy integracyjne trzech pokoleń”, PWN, Warszawa 1981.

Na przestrzeni ostatnich kilkunastu miesięcy Jan Gruszyński przeprowadził badania socjologiczne wśród polskich społeczności emigracyjnych w Szwecji, Niemczech Zachodnich, Francji i Anglii, korzystając ze stypendium naukowego rządu szwedzkiego i francuskiego. W kraju przez wiele lat bezskutecznie zabiegał o upaństwowienie swojej prywatnej inicjatywy w naukach społecznych.

Organizator Samodzielnego Ośrodka Badań Emigracyjnych i serii wydawniczej „Społeczność polska w świecie” zaprasza osoby interesujące się problematyką Polaków za granicą do współpracy naukowej, do dostarczania i nadsyłania materiałów na następujące adresy:

Jan Gruszyński, Samodzielny Ośrodek Badań Emigracyjnych, 00-849 Warszawa, ul. Pereca 13-19 m. 1007, Polska.

Biblioteka Polska, 6, quai d'Orléans, 75004 Paris, France.

Biblioteka Polska—POSK, 238-246 King St., London W6 ORF, England.

Nadesłane nowości wydawnicze

EJBICH (Bogdan). *Wspomnienia stalowego munduru*. Str. 173 i 2 nlb. (Wyd. w Toronto, Kanada 1977).

EJBICH (Bogdan). *W rozbitym szkiele*. Str. 192 i 4 nlb. (Wyd. w Toronto, Kanada 1979).

EJBICH (Bogdan). *Kochanek siódmej wdowy*. Str. 192 i 4 nlb. (Wyd. w Toronto, Kanada 1981).

TISCHNER (Józef, ks.). *Polski kształt dialogu*. Str. 198 i 2 nlb. (Wyd. Editions „Spotkania”, Paryż 1981).

TOMASZEWSKI (Adam). *Gorzko pachną piotuny*. Str. 228. (Wyd. Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Toronto 1981).

KORASZEWSKI (Andrzej). *Ryccerze domniemanej oczywistości*. Str. 94 i 2 nlb. (Wyd. „Jedność”, Sztokholm 1981).

5 lat Polskiej Rzymo-Katolickiej Misji Pastoralnej św. Wojciecha w San Francisco. Księga pamiątkowa pod red. ks. Wojciecha Baryskiego. Str. 208. (Wyd. „Boży Siew”, San Francisco 1981).

OLEKSIK (Klemens). *Spalony*. Str. 160 (Wyd. II, wyd. „Pojezierze”, Olsztyn - Białystok 1981, cena zł 30).

NIENACKI (Zbigniew). *Księga strachów*. Str. 276. (Wyd. „Pojezierze”, Olsztyn - Białystok 1981, cena zł 42).

GOŁEBIOWSKI (Stefan). *Do nieznanym*. Str. 89 i 3 nlb. (Wyd. „Pojezierze”, Olsztyn 1981, cena zł 20).

KRAŚKO (Ryszard). *Czwarta twarz Światowita*. Str. 225 i 3 nlb. (Wyd. „Pojezierze”, Olsztyn - Białystok 1981, cena zł 35).

GOŁUBIEW (Antoni). *Największa przygoda mego życia. Lata nad „Bolesławem Chrobrym”*. Str. 455 i 7 nlb. (Wyd. Znak, 1981, cena zł 160).

VOISE (Waldemar). *Europolonica. La circulation de quelques thèmes polonais à travers l'Europe du XIV^e au XVIII^e siècle*. Str. 141 i 7 nlb. (Wyd. Ossolineum, 1981).

Tadeusz Kosciuszko 1746-1817. A Selective List of Reading Materials in English. Opr. Janina W. Hoskins. Str. 24. (Wyd. Library of Congress, European Division, Washington 1980).

Pieśń niepodległa. The invincible Song. A Clandestine Anthology, Warsaw 1942. Edited by Czesław Miłosz. Str. 127 i 5 nlb. (Przedruk wydania z 1942 roku, z przedmową Cz. Miłosza. Wyd. Michigan Slavic Publications, 1981).

STANKIEWICZ (W. J., prof.). *Teleology and Democratic Theory. (Nadbitka z Contemporary Review, vol. 237, nr 1378, listopad 1980, str. 267-272).*

- TABORSKI (Bolesław). *Byron's Theatre: Private Spleen, Or Cosmic Revolt. Theatrical Solutions* — Stanislawsky to Grotowski. (Nadbitka z *Salzburger Studien zur Anglistik und Amerikanistik*, Band 13, wyd. Institut für Anglistik und Amerikanistik, Universität Salzburg, 1981).
- ZAWODNY (J. K.). *Infrastructures of Terrorist Organizations*. (Nadbitka z *Conflict Quarterly*, University of New Brunswick, Canada, wiosna 1981, str. 24-31).
- LIPSKA (Ewa). *Such times. Selected poems*. Przekł. John R. Colombo i Waclaw Iwaniuk. Str. 67 i 3 nlb. (Wyd. Hounslow Press, Toronto 1981).
- Mitteilungen Nr 17*. Str. 420. (Wyd. Arbeits- und Förderungsgemeinschaft der ukrainischen Wissenschaften e. V., Monachium 1980).
- ZAGAJEWSKI (Adam). *Polen. Staat im Schatten der Sowjetunion*. Str. 207. (Wyd. Spiegel-Buch Rowohlt, 1981, cena DM 14).
- KOZŁOWSKI (Nina). *Politische Orientierungsversuche in der Schweiz internierter polnischer Soldaten (1940-1945)*. (Wyd. Osteuropa-Institut München, zeszyt nr 79, maj 1981).
- LAUB (Gabriel). *Der leichtgestörte Frieden*. Str. 126 i 4 nlb. (Wyd. Albrecht Knaus, Hamburg 1981).
- KORCZAK (Janusz). *Allein mit Gott. Gebete eines Menschen, der nicht betet*. Przekł. z polskiego Wolfgang Grycz. Str. 87. (Wyd. Gütersloher Vlg. Gerd Mohn, Gütersloh 1980).
- HERBERT (Zbigniew). *Hr. Cogito*. Przekł. z polskiego Janina Katz. Str. 136 i 8 nlb. (Wyd. Brondum, Dania 1980).
- ZILLI (Valdo). *La rivoluzione russa del 1905. La formazione della partii (1881-1904)*. Str. 769 i 3 nlb. (Wyd. Istituto Italiano per gli Studi Storici, Neapol 1963).
- ARTES. *Tidskrift för litteratur, konst och musik*. Nr 2/1981. Str. 127 i I nlb. (Wyd. Akademia Szwedzka i Szwedzka Akademia Muzyki i Sztuki, Sztokholm 1981).
- KATBORG (Kennie) i KELDORFF (Soren). *Den polske sommer. Socialistiske perspektiver*. Str. 191, liczne ilustracje. (Wyd. SP Forlag, Dania 1981).
- CHWYLOWYJ (Mykoła). *Twory*. Tom II. Str. 409 i 3 nlb. (Wyd. Ukraińskie Wydawnictwo „Smolenskyp”, New York - Baltimore - Toronto 1980).
- KROCHMALJUK (Jurij Tys). *Geneza powstania ukraińskiej dywizji Haliyczyna*. Str. 39-65, nadbitka z pisma *Dzwony*, Rzym - Detroit 1978).
- ŁUCKYJ (Jurij). *Kubijowyczewi — 80 roku. Z narodżenniam*. Str. 51-54. (Nadbitka z pisma *Suczastnist'*, 9/1980).
- Żyrowicy. Gistaryczny narys*. Str. 39 i 3 nlb. (Wyd. Biełaruckoje Prawosławnoje Żyrowickoje Bractwo na Czuzynie, Cleveland USA, 1980).
- WOYCENKO (Olha). *Profili diaziew ukraińskoj narodnoj respubliki*. Str. 48. (Wyd. Institute of Exile Studies of Ukrainian Mohylo-Mazepian Academy of Sciences w serii *Ukrainica Exiliana*, nr 5, 1981).
- RUDNYČKYJ (J. B.). *Ivan Franko i Nobelivska Nahoroda*. Str. 16. (Wyd. Ivan Franko International Society, San Francisco-Montreal 1980).
- RUDNYČKYJ (J. B.). *Z ukraińskoj ekzylnoj idioleksyky*. Str. 24. (Wyd. UMMAN i Ukrainian Language Ass., *Ukrainica Exiliana* nr 7).
- Proty hulajpyszczyny w politycznij diji* (*Ukrainica Exiliana* nr 8, München - Filadelfia - Ottawa 1981).
- SILNICKIJ (Frantiszek). *Nacionalnaja politika KPSS w pieriod s 1917 po 1922 god*. Str. 314 i 6 nlb. (Wyd. *Suczastnist'* 1981, wyd. II).
- STEPANENKO (Mykoła). *Szoste koto*. („*Pars pro toto*”). Str. 152. (Wyd. Wydawnictwo „Ukraina” Waszyngton 1979).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

1-7-81

Sejm PRL ma w najbliższym czasie uchwalić ustawę o ustanowieniu Warszawskiego Krzyża Powstańczego 1944. Odznaczenie to ma być przyznawane bez względu na obecne miejsce zamieszkania — w Kraju czy za granicą — a także pośmiertnie rodzinom powstańców. Inicjatywa ta wyszła ze ZBOWiD-u w osobach gen. Jana Mazurkiewicza, pisarza Lesława Bartelskiego oraz płk. Stanisława Komornickiego.

1-8-81

Polacy z Litwy przekazali na początku br. sztandar szkolny Gimnazjum Polskiego w Kownie do sali pamiętek przy akademickim kościele Św. Anny w Warszawie. Jest to sztandar prywatnego gimnazjum polskiego sprzed wojny, które zostało zlikwidowane w 1940 roku. ■ Zakład Higieny w Warszawie stwierdził niedawno, że rosyjski kawior zawiera niebezpieczną dla zdrowia ilość rtęci, w wyniku olbrzymiego zanieczyszczenia Morza Kaspijskiego. Podobno rezultaty badań zostały zniszczone, a lekarze zobowiązani do zachowania tajemnicy.

15-8-81

Według danych NIK-u w pierwszym półroczu bież. roku za granicę wyjechało służbowo 64 tys. osób. Sprawozdanie NIK-u zawiera rzeczywiście skandaliczne przykłady, jak np. 40-dniowy wyjazd naukowca do nieistniejącej firmy w Nigerii.

17-8-81

Na zebraniu przedstawicieli Komitetów Zakładowych regionu gdańskiego zawiadomiono zebranych, że w ciągu czerwca bież. roku zakupiono za dolary: 4 ton kawioru z ZSSR, 450 ton mrożonej papryki z Jugosławii i 500 ton przetworów warzywnych (w sezonie!) z Danii.

19-8-81

Tygodnik *Służba Zdrowia* informuje, że w ub. roku „na ucieczkę zdecydowało się 70 tys. młodych obywateli polskich, w bież. roku — istnieją ku temu uzasadnione prognozy — liczba ta przekroczy 100 tysięcy. Jest to prawie 1/3 naszego przyrostu naturalnego”.

20-8-81

W miejscowości Moletai na Litwie został aresztowany, pobity i skopany przez milicję 27-letni ksiądz Czerniauskas. Zatrzymano również, pobito i skopano dwudziestu młodych Litwinów z 50-osobowej grupy, która słuchała pogadanki księdza Czerniauskasa. 8 sierpnia „nieznani sprawcy” napadli i śmiertelnie zranili 63-letniego księdza Leonasa Mażejkę, proboszcza parafii Pamusis. W zeszłym roku „nieznani sprawcy” zamęczyli na śmierć księdza Leonasa Szapokę, proboszcza parafii Luoke w diecezji Telsiai. W zeszłym też roku zostali zranieni ksiądz Benediktas Povilanskis z Karmelawy, ksiądz Antanas Bitvinskas z Kulautuwy i ksiądz Juozas Zdebskis, proboszcz Slavantai.

26-8-81

Samopomoc Chłopska w Nowym Wiśniczu wprowadziła zasadę sprzedaży szeregów artykułów na zboże. Np. komplet mebli — za 500 kg zboża, lodów-

ka — za 100 kg, telewizor — za 100 kg (czyli tzw. metr zboża), motocykl — za 300 kg. Sprzedaż ta będzie realizowana według kolejności dostaw, a Samopomoc nie gwarantuje terminu odbioru zamówionych artykułów.

1-9-81

Na konferencji w sprawie eksportu żywności, która odbyła się w Gdańsku, minister Handlu Zagranicznego Nesterowicz poinformował, że w ciągu ubiegłego 10-lecia ujemne saldo obrotu żywnością z zagranicą wzrosło do 5,5 mld złotych dewizowych, w tym 5,1 mln z krajami kapitalistycznymi. Eksport żywności wzrósł dwukrotnie, a import o 8,5 razy. Towarem dominującym w eksporcie żywności było mięso (2 mln ton tj. 36 % obrotów), natomiast w imporcie zboże i pasza (ok. 60 % obrotów). W 1981 roku plan eksportu żywności nie będzie wykonany (na zaplanowane 146 tys. ton dotychczas zrealizowano 50 tys. ton), natomiast plan importu zostanie znacznie przekroczony. Projekt planu na 1982 r. przewiduje utrzymanie eksportu i importu żywności na poziomie 1980 r. (eksport — 3,5 mld zł dewizowych, import — 8,5 mld zł dewizowych). Przedstawiciel Animexu mówił o eksporcie i imporcie artykułów i przetworów pochodzenia zwierzęcego. Oświadczył, że ostatnio eksportowano mięso do Związku Sowieckiego w 1975 roku, obecnie Polska sprzedaje je tylko do krajów kapitalistycznych. Powiedział też, że wyeksportujemy w tym roku 110 tys. ton mięsa, a import wyniesie 133 tys. ton. Wystąpienie to przekształciło się w dyskusję, w trakcie której przedstawiciele „Solidarności” wyrażali brak zaufania do oficjalnych danych o eksporcie mięsa. Stwierdzili, że jawność eksportu jest koniecznym warunkiem odzyskania wiarygodności przez rząd. Zgłoszona została propozycja, aby podczas zawierania kontraktów handlowych obecny był obserwator z ramienia „Solidarności”. Wywołało to sprzeciw strony rządowej. Min. Nesterowicz stwierdził, że żaden kraj na świecie nie podaje informacji, co będzie kupował i sprzedawał. Zgodził się natomiast na przysyłanie co miesiąc danych o wykonaniu importu i eksportu z podziałem na rodzaje towarów i kraje.

2-9-81

Zmarł w Warszawie w wieku 53 lat Tadeusz Baird, jeden z najwybitniejszych polskich kompozytorów.

9-9-81

Na jesiennych Targach Lipskich polskie centrale handlowe zakupiły m.in. 20 milionów pudełek zapalek. Zamówiono także w NRD większe ilości tapet, przyborów szkolnych i biurowych.

10-9-81

Inflacja pomysłów: jak informuje *Kurier Polski*, rozważana jest możliwość wysłania do USA polskiej delegacji, w skład której oprócz przedstawicieli naczelnych władz „Solidarności” weszliby: biskup — jako przedstawiciel Episkopatu, oraz jeden z ministrów — jako reprezentant rządu. Wizyta miałaby służyć rozszerzeniu akcji zbierania w USA nadwyżek żywnościowych, które byłyby nieodpłatnie przekazywane Polsce. Z inicjatywą takiej wizyty wystąpił podczas niedawnego pobytu w Polsce znany działacz polonijny Edward Piszek, który prowadzi w Stanach Zjednoczonych akcję zbierania nadwyżek dla Polski.

12-9-81

Marian Jurczyk, przywódca szczecińskiej „Solidarności”, oświadczył reporterom że NSZZ posiada już ludzi zdolnych do utworzenia rządu. Jurczyk został zaatakowany przez rzecznika rządu za bardzo krytyczny sąd o wice-

premierze Rakowskim. *Życie Warszawy* ogłosiło list w obronie Jurczyka, przypominając, że krytyki pod adresem członków rządu są na Zachodzie rzeczą powszednią; krytykowani mogą je co najwyżej ignorować.

14-9-81

Zapytany co „Solidarność” robi, jeśli Sejm zignoruje żądanie referendum w sprawie samorządu, Bogdan Lis odpowiedział: „Być może rozwiążemy go”.

ZACHÓD — EMIGRACJA

4-6-81

Zmarł w Australii Ludwik Kruszelnicki, dziennikarz lwowski, po wojnie wieloletni współpracownik z terenu Australii rozgłośni polskiej Wolna Europa. Był również współpracownikiem *Wiadomości* londyńskich.

1-7-81

Litwini w Australii zbierają podpisy pod petycją do Papieża o przyspieszenie beatyfikacji arcybiskupa J. Matulajtisa (Matulewicz).

28-7-81

P. Karol Weyman, długoletni prezes Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Australii, otrzymał od rządu Izraela odznaczenie Męzą Sprawiedliwego za zasługi w ratowaniu Żydów w czasie okupacji hitlerowskiej w Polsce.

1-8-81

Prezsem S.P.K. w Argentynie na kadencję 1981/82 został wybrany płk Aleksander Florkowski.

8-8-81

Zmarł w Londynie w wieku 93 lat gen. Stanisław Skwarczyński, oficer Pierwszej Brygady Legionów, szef Obozu Zjednoczenia Narodowego w okresie międzywojennym, w kampanii wrześniowej dowodził południową grupą operacyjną, po wojnie był prezesem Instytutu i Rady Instytutu Józefa Piłsudskiego w Londynie.

30-8-81

Towarzystwo Uniwersyteckie im. Puszkina zorganizowało na Uniwersytecie Witwatersrand w Johannesburgu wieczór poświęcony twórczości Czesława Miłosza. Odczyt wygłosiła p. E. Lickindorf, lektorka literatury angielskiej. Wieczór ten został zorganizowany z inicjatywy p. W. Albińskiej.

1-9-81

Zmarł w Glasgow (Anglia) w wieku 81 lat prof. dr Leon Koczy, jeden z założycieli Instytutu Historycznego im. gen. Sikorskiego i długoletni kierownik oddziału tego Instytutu w Glasgow.

5-9-81

Londyński *Times* twierdzi, że eksperci z wywiadów zachodnich, szczególnie zachodni Niemcy, są obecnie prawie przekonani o pośrednim przynajmniej udziale KGB w zorganizowaniu zamachu na Papieża. Artykuł podkreśla watykańską reakcję niezadowolenia na sposób, w jaki przeprowadzono w Rzymie proces tureckiego zamachowca. Między innymi sąd włoski zignorował list Pierre Salinger, b. sekretarza prasowego prezydenta Kennedy, obecnie korespondenta amerykańskiej sieci telewizyjnej ABC w Paryżu.

z najbardziej dynamicznych Polaków w Kanadzie. ■ W ramach dorocznych konkursów na prace literackie w językach grup etnicznych Ontario Art Council przyznała w lipcu bież. roku nagrodę w wysokości \$ c. 2.000 p. Wacławowi Liebertowi za wybór opowiadań w języku polskim. ■ W lipcu i sierpniu bież. roku 12 polskich rybaków opuściło swoje statki w porcie Halifax i zwróciło się do władz kanadyjskich o przyznanie im prawa azylu. Otrzymali oni czasowe prawo pobytu i sprawa ich jest obecnie rozpatrywana przez urząd emigracyjny. ■ Trybunał Imigracyjny odrzucił ostatnio petycję pewnego Polaka o przyznanie mu statusu uchodźcy, ponieważ ogłosił on w prasie, iż nie zamierza wrócić do Polski i że gdyby został stąd wydalony, to zostałby w Polsce ukarany. ■ W odpowiedzi na apel rządu austriackiego o przyjęcie uchodźców polskich, przebywających obecnie na terenie Austrii rząd kanadyjski postanowił, jeśli idzie o uchodźców z Europy Wschodniej, przyjmować rocznie 5.000 osób, zamiast 4.000. Kongres Polonii Kanadyjskiej wystosował memoriał, w którym domagał się otwarcia bram dla polskich uchodźców; władze KPK przeprowadziły rozmowy z rządem w Ottawie, ale jak dotychczas uzyskały tylko podwyższenie kwoty o tysiąc osób, tym niemniej pozostało w mocy postanowienie, że każdy uchodźca musi być sponsorowany aż przez 5 osób. Zarząd Główny KPK wyłonił specjalną komisję, która zajmuje się tą sprawą.

UNIWERSAŁ POŁANIECKI SKONFISKOWANY

NSZZ „Solidarność”, region Mazowsza zamierzała wydać plakat z tekstem Uniwersału. Plakat ten został skonfiskowany, gdyż cenzura stwierdziła, że „jest tam zbyt wiele akcentów antyrządowych”. Szło o dwa pierwsze akapity Uniwersału: „Cały ciąg Tyranii Moskiewskiej jest dowodem, do jakiego stopnia ta przemoc miotła losem Naszym, i używając koleją przekupstwa, zwodniczych przyrzeczeń, podchlebiania przesądom, gwałtowania namiętności, burzenia iednych przeciwko drugim, czernienia u obcych, wszystkiego słowem co złość piekielną z chytrąścią najprzewrotniejszą połączona wymyślić może. W tylokrotnych zdarzeniach w których Polacy do broni przeciw niey się porywali, możeż ten Ród Rozbóyników liczyć iedno nad niemi zwycięstwo? a przecież zawsze koniec śmiałości Polskiej był ten, że zwyciężony nieprzyjaciel wracał na karki Zwycięzców iarżmo na moment ulżone. Zkąd więc pochodził taki Rzeczy Polskich obrót? czemu ten Naród ięczał bez sposobu wydobyć się? oto ztąd że chytróść Moskiewskich Intryg mocniejsza niż broń, gubiła zawsze Polaków samemi Polakami”.

KATASTROFALNA SYTUACJA BIBLIOTEK NAUKOWYCH W PRL

Ostatnio gen. Jaruzelski wydał zarządzenie zakazujące zakupywania i prenumerowania jakichkolwiek książek i czasopism naukowych z całej strefy dewizowej z Jugosławią włącznie. Wszystkim bibliotekom i instytutom badawczym cofnięto kredyty na zakup zachodnich publikacji. Objęło to nawet tak newralgiczne dziedziny jak technologia i rolnictwo. Odrzucono nawet wnioski o zapewnienie dopływu publikacji chociażby do Biblioteki Narodowej i kilku innych, wyspecjalizowanych księgozbiorów. Publikacje zachodnie docierają więc dziś do polskich bibliotek gorzej niż za czasów stalinowskich.

Listy do Redakcji

Ann Arbor, USA, 18 sierpnia 1981.

Szanowny Panie Redaktorze!

Nie tylko ze względu na ścisłość historyczną, ale z obawy, iż zostaną pomawiani o megalomanię, pragnę oświadczyć, iż moje nazwisko wśród „przeszło czterdziestu podpisów wybitnych amerykańskich uczonych...” pod znamionem płatnym ogłoszeniem w *New York Times*'ie (18 maja), znalazło się z tytułu pełnienia funkcji przewodniczącego Komitetu Wykonawczego Studium.

Do Studium bowiem zwróciło się z inicjatywą takiego ogłoszenia kilku wybitnych Amerykanów, m.in. Dr A. Brumberg i Ambasador R. T. Davies, a którzy na tej organizacji się nie zawiedli. Dodać należy, iż Kongres Polonii Amerykańskiej, pod przewodnictwem Prezesa A. A. Mazewskiego, wyasygnował na ten cel sumę 2.000 dolarów.

Pozostaję pełen prawdziwego szacunku,

Andrzej S. EHRENKREUTZ

Genewa, 19 sierpnia 1981.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W swych komentarzach na temat pobytu delegacji Solidarności w Japonii pan J. Mondry robi cały szereg uwag na temat związków zawodowych i praw robotniczych w Japonii, które moim zdaniem, opartym na długoletniej współpracy z japońskimi związkami, nie całkiem zgodnie są z rzeczywistością. Tak więc pisze p. Mondry, że oświadczenie Wałęsy o braku praw robotników japońskich „może być wytłumaczone tylko i wyłącznie brakiem dostatecznej wiedzy o istniejącym stanie rzeczy w Japonii. Nie tylko istnieje w Japonii w pełni zagwarantowane prawo do strajku...”. Otóż to również kolejarze, łącznościowcy, osoby zatrudnione w monopolach państwowych itd. nie mają prawa do strajku. Ustawy takie jak znany w tłumaczeniu angielskim *Public Corporations and National Enterprises Labour Relations Act* pozbawiają kilka milionów robotników japońskich prawa do strajku. Prawdą jest, że mimo to od czasu do czasu strajkują, ale czekają ich za to różne kary dyscyplinarne, które MOP uznała swego czasu, w odwołaniu na zażalenie organizacji międzynarodowej, której jestem sekretarzem generalnym, za twarde i przesadne. Parę lat temu związek kolejarzy skazany został przez sąd na zapłacenie olbrzymiego odszkodowania za straty spowodowane przez strajk właśnie na podstawie wyżej wymienionej ustawy. Związek wniósł apelację, ale jeżeli wyrok zostanie zatwierdzony, będzie zrujnowany.

Dużo można by powiedzieć na temat uwag p. Mondrego o strukturze związków zawodowych w Japonii, które zresztą wydają mi się oparte na źródłach nieprzyjaźnie do związków nastawionych. Tak więc pisze p. Mondry, że związki ogólnonarodowe „stanowią tylko bardzo luźne zrzeszenia, nie mające prawie żadnego wpływu na negocjacje z pracodawcami”. Tak jest w wielu, ale nie we wszystkich branżach. Tam gdzie pracodawca jest jeden na cały kraj, jak np. w telefonach, na poczcie itp., zasadnicze negocjacje toczą się pomiędzy tymże pracodawcą i związkiem krajowym. Poza tym w innych branżach związek ogólnonarodowy nieraz negocjuje ogólne podwyżki płac, a to nie bagatela.

Pisze pan Mondry, że federacje związkowe odgrywają właściwie tylko rolę politycznego ramienia partii politycznych i twierdzi, że „celem Sohyo jest nic innego jak polityczna agitacja wśród robotników na rzecz Japońskiej Partii Socjalistycznej”. A tę partię charakteryzuje p. Mondry jako opartą „na zasadach marksistowskiej filozofii ekonomicznej”. Tak rzeczywiście piszą o federacjach związkowych w Japonii i o Sohyo w szczególności ich przeciwnicy. Ale jaka jest rzeczywistość? Rok w rok — na wiosnę i pod koniec roku — federacje związkowe organizują tzw. *shunto* czyli manifestacje, pochody i strajki, w których biorą udział miliony robotników. W przeszłości główny nacisk kładziono na hasła i żądania polityczne, ale mam przed oczyma plakat z *shunto* zorganizowanego przez Sohyo w 1975 roku i na tym plakacie cele tej ofensywy określone są w ten sposób: znaczna podwyżka płac, ustawa wprowadzająca gwarantowane minimalne zarobki, prawo do strajku dla wszystkich i zniesienie kar dyscyplinarnych za udział w działalności związkowej. Rok w rok, na wiosnę i pod koniec roku, federacje związkowe ustalają, jakich podwyżek płac czy premii związki będą się domagać i w ten sposób określają bezpośrednie cele tych związków.

Jeśli chodzi o charakter Japońskiej Partii Socjalistycznej, to p. Mondry nie zauważył zmian jakie w niej zaszły w ostatnich co najmniej 15 latach. Co do Sohyo, to może wystarczy powiedzieć, że związki zrzeszające 2/3 wszystkich członków Sohyo należą do Międzynarodowych Zrzeszeń Branżowych (I.T.S.) związanych z Międzynarodową Konfederacją Wolnych Związków Zawodowych.

Jeśli chodzi o poparcie robotników, to trzeba powiedzieć, że ponad 4 miliony ich należy do Sohyo, a Japońska Partia Socjalistyczna jest drugą co do wielkości partią w kraju.

Lech Wałęsa pojechał do Japonii na czele delegacji Związku Zawodowego „Solidarność”, całkiem naturalnie na zaproszenie japońskiej organizacji związkowej. Zachowywał się jak związkowiec, zajmował stanowisko godne przywódcy związkowego i dlatego doskonale reprezentował polskich robotników w środowisku robotniczym w Japonii. A że ma doskonały instykt związkowego przywódcy, zrozumiał sytuację robotników w Japonii lepiej, wydaje mi się, aniżeli p. Mondry. Prawdą jest zapewne, że nie wszystkim to, co mówił Wałęsa w Japonii, się spodobało. Ale taki już jest los prawdziwego przywódcy robotników.

Łączę wyrazy najgłębszego szacunku,

Stefan NĘDZYŃSKI

Dokumenty

PRZEMÓWIENIE
PREZESA SDP RED. ST. BRATKOWSKIEGO
NA PRZEDJAZDOWEJ KONFERENCJI
SPRAWOZDAWCZO-WYBORCZEJ PZPR W WARSZAWIE
W DN. 28 CZERWCA 1981 R.
(według stenogramu do protokołu)

Towarzysze,

stając na tej mównicy, mam tylko jedną nadzieję: że moje słowa zdołają dotrzeć do tych, do których są adresowane i że będą cytowane bez zniekształceń.

Zacznę od paru zdań natury osobistej. Jak wiadomo, z usposobienia i poglądów jestem konstruktystą. Napisałem parę książek i sporo artykułów o tych, którzy nie tylko potrafili wznosić okrzyki i głosić hasła, ale zrobić coś pozytywnego dla kraju, nawet w najtrudniejszych warunkach. Przypominałem zapomniane wielkie postacie, którym Polska zawdzięcza przetrwanie swojej substancji narodowej przez ostatnie dwieście lat, ludzi, którzy potrafili pracować, a jeśli trzeba było — i umierać dla kraju. Dla romantyków byłem przy tym nie dość romantyczny, dla krytyków sytuacji w Polsce — nie dość radykalny. A ja, po prostu, starałem się kierować zdrowym rozsądkiem w tym co mówię i robię, razem zresztą z wieloma ludźmi dobrej woli w naszym kraju.

Sądzę, że również w tym, co chcę powiedzieć dzisiaj nie będzie nic poza zdrowym rozsądkiem, choć czasem bywa tak, że zdrowy rozsądek staje się dla niektórych — wywrotową propozycją. Ale to już nie ode mnie zależy.

Nadal dla wielu jestem nie dość radykalny. Przecież na łamach dodatku do *Życia Warszawy* pt. *Życie i nowoczesność*, który redaguję, nie było akcji rozliczeniowych, jeśli nie liczyć opinii o działalności b. Ministerstwa Przemysłu Maszynowego, a i to — z punktu dzisiejszych problemów, a nie przeszłości. Nie było akcji rozliczeniowych, ponieważ byliśmy zdania, moi koledzy i ja, że system zarządzania i sposób uprawiania polityki w Polsce w latach siedemdziesiątych doprowadziłby do katastrofy nawet gdyby na miejscu ludzi typu Gierka i Jaroszewicza znaleźli się sami geniusze i aniołowie. Ten proces rozkładu był nieuchronny i dość łatwy do przewidzenia. Nachalna, ostentacyjna pazerność naszych partyjnych nowobogackich w latach siedemdziesiątych przesłania tę prawdę: np. Babiuch żył skromnie i do mało inteligentnych nie należał, a co z tego?

Ale gdyby nawet ci towarzysze nowobogaccy powstrzymali się w swych namiętnościach, nie uchroniłoby to nas przed gigantycznym systemowym marnotrawstwem i demoralizacją, które wciągnęły w mechanizm korupcji wielu najwartościowszych ludzi

naszej gospodarki. Przykładowo: Jerzy Olszewski był — obok Komendera z paxowskich ZZG — bez wątpienia naszym najlepszym menadżerem przemysłowym ostatnich kilkunastu lat, a na jaką zszedł drogę. Ale przecież to, co ukradziono, przywłaszczono, to tylko drobny ułamek miliardów zmarnowanych, zaprzepaszczonych na skutek błędów, popełnianych przy założeniach w polityce zarządzania.

I dzisiejsza sytuacja nie jest tylko kwestią poszczególnych osób. Siana przez lata nieufność przerosła już w kompleks psychologiczny. Nieufność wobec władzy musiałaby sparaliżować zdolność rządu nawet gigantów, gdyby tacy byli wśród nas. Nawet kard. Wyszyńskiego, przypomnijmy sobie Sierpień, nie słuchano, gdy mówił coś, co mogłoby być przyjmowane jako wynik ukrytej gry. Również Krajowa Komisja Porozumiewawcza „Solidarności” także musi obradować publicznie, na oczach szeregowych członków tego związku, ponieważ domniemanie pełnej uczciwości nie obejmuje dzisiaj nikogo.

To jest najtrudniejszy chyba spadek po latach siedemdziesiątych: trudności odbudowy wzajemnych stosunków zaufania między społeczeństwem a wszelką władzą. No, ale takie są realia. Realia naszej sytuacji wewnętrznej, te najogólniejsze. Bo są i szczegóły, które ważą na szansach wyjścia z kryzysu. Rozuchwalona, otwarcie rozłamowa aktywność grup sekciarsko-dogmatycznych w naszej partii, a z drugiej strony — aktywność ludzi, którzy nie chcą zrozumieć, że w Polsce nie ma miejsca na manifestacyjną antyradzieckość, w ogóle — na żadną antyradzieckość, i to nie tylko ze strachu.

Broniłem tych ludzi przed stosowaniem wobec nich środków administracyjnych, miałem nadzieję, że zechcą przynajmniej powstrzymać się od działań i wypowiedzi, które mogą nasuwać wątpliwości co do charakteru i kierunku przemian w Polsce. Nie namawiałem ich, żeby pokochali władzę, nie namawiałem władzy, żeby ich pokochała. Proponowałem tylko *modus vivendi*, który by gwarantował realizację przynajmniej podstawowych interesów kraju, umożliwiał budowę szerokiego porozumienia narodowego. Ze smutkiem stwierdzam, że te usiłowania moich kolegów i moje nie odniosły skutku. Ambicje personalne, sekciarska jedynostusność i inne elementy okazały się tu silniejsze. Mogę powiedzieć z pełną odpowiedzialnością za słowo, że i ten czynnik ma swój pokaźny udział w dzisiejszym obrocie sytuacji w kraju. Warto było zastanowić się nad tym wcześniej.



Polska znalazła się dziś w miażdżących kleszczach. Nie wszyscy zdają sobie jeszcze w pełni sprawę z tego, że kraj nasz w stanie katastrofy gospodarczej przypomina pod wielu względami kraj pokonany w wyczerpującej wojnie, a który musi jeszcze płacić ponadto kontrybucję. Pokonany w dziwnej wojnie: armia nie poniosła klęski i istnieje nienaruszona, bo mamy wspierać, wykształcone po wojnie kadry świetnych robotników i in-

żynierów; mamy niezgorszy, zbudowany głównie już po wojnie, potencjał techniczny; mamy bogaty zasób surowców, nie w pełni jeszcze rozsprzedany przez poprzednią ekipę; ale gospodarka tego kraju nie może prawidłowo działać, bo nie ma energii, paliw, materiałów, bo struktura dowodzenia była przez lata krańcowo nieudolna, a obecnie rozleciała się już całkowicie. A na domiar złego — trzeba jeszcze płacić swoiste „reparacje wojenne” rządu dwudziestu kilku miliardów dolarów zagranicznych długów.

Zachodni biznes chciałby odzyskać te swoje pieniądze i wobec tego gotów byłby udzielać dalszych pożyczek, nie w celu udzielenia pomocy Polsce, ale w celu zapewnienia sobie łącznego ich zwrotu wraz z odsetkami. Ale klient — czyli Polska — przez cały rok nie zmienia swojego systemu zarządzania, brnie dalej w popełnianiu tych samych co przedtem błędów, ślamazarzy z reformą ekonomiczną, nie odzyskuje wiarygodności płatniczej, a na arenie wewnętrznej — nie robi nic, żeby doprowadzić do najważniejszego, do narodowej zgody.

Z kolei nie miała część amerykańskich polityków wcale nie jest zainteresowana w zapanowaniu w Polsce stabilizacji: niech tu kipi, niech się komuniści kompromitują, niech Moskwa ma możliwie największe kłopoty, niech musi — w ten, czy inny sposób — interweniować; niech w drgawkach Polski potwierdza się na oczach całego świata teza o tzw. niereformowalności tego systemu.

Trzeba sobie zdawać sprawę z tego, że w tej rozgrywce Polska jest tylko jednym z pół na światowej szachownicy, a ewentualna krew Polaków — jednym z żetonów w tej grze. Nie w naszej, nie w polskiej grze. Nie miała część prasy światowej ukazuje w Polsce to, co potwierdza takie właśnie diagnozy i czyjeś nadzieje.

Niestety podobnie zachowują się i nasi przyjaciele. Ogromna pomoc radziecka ostatnich miesięcy: dwa miliardy dolarów kredytu, stałe systematyczne dostawy mimo braku rewanżu z naszej strony, wszystko to traci na znaczeniu wobec działań politycznych, które — powiem otwarcie — mogą zaprowadzić naszą partię na skraj przepaści. Poparcie dla grup rozłamowych i sekciarskich w partii wynika zapewne z nieznajomości polskich realiów i odrębności; do odpowiedzialnych osób i instancji należy zatem, żeby je jak najszybciej przedstawić i wyjaśnić.

Ale wbrew temu, co słyszeliśmy na tej sali, odcinał naszą partię od narodu nie rewizjonizm, ale dogmatyzm i sekciarstwo. Można próbować odbudowywać tę partię bez robotników, bez młodzieży (której mamy dziś w partii przysłowioowo „jak na lekarstwo”), bez intelektualistów (których też już niewielu zostało), bez dziennikarzy również — samym tylko niemal aparatem zrobić partię z samych tylko pewnych, wiernych i dobrze opłacanych, można ją nawet rozwiązać i stworzyć nową, albo świadomie dokonać rozłamu, podzielić i na nowo formować. Tylko że to wszystko niczego w kraju nie załatwi, a narodu do

władzy i partii nie przybliży i nie zapewni im zaufania społecznego. Podobnie jak stosowanie, przy różnych okazjach, siły. Bo siła, stosowana wbrew społeczeństwu lub przeciw niemu, nie nada efektywności gospodarce, ani sprawności zdezelowanej strukturze władzy.

Mówi to tutaj człowiek, który nie ma żadnych ambicji osobistych, który jest za silną władzą w Polsce, ale władzą wiarygodną; który jest za sojuszem i przyjaźnią ze Związkiem Radzieckim i który argumentuje to nie tylko racjami geopolitycznymi, choć i one powinny się liczyć na serio, który nie zgadza się z bzdurami o „finlandyzacji” Polski, dlatego m.in., że obok ZSRR graniczy ona nie ze Szwecją i Norwegią, ale z NRD i Czechosłowacją. Sojusz, współpraca i przyjaźń ze Związkiem Radzieckim — to żywotny interes Polski. Pytanie tylko, czy nasi przyjaciele, ci znacznie od nas silniejsi, chcą mieć u władzy w Polsce autentycznych swoich przyjaciół, a przy tym faktycznie zdolnych poprowadzić swój naród, chociaż na pewne sprawy mogą mieć nieraz inne, swoje zdanie, czy też — kolejnych, choć może miłszych dla oka i ucha, deklamatorów, nikogo w praktyce nie reprezentujących i mających naród przeciwko sobie.

Moim zdaniem — stabilna, a zaprzyjaźniona i wiarygodna w sojuszach Polska, jest w interesie naszych sąsiadów. Ale nie uzyska stabilizacji kraj, żyjący od miesięcy w poczuciu zagrożenia z zewnątrz, z władzą atakowaną nieustannie od wewnątrz i z zewnątrz.

W sierpniu i wrześniu ub. roku, po największych napięciach polskiego przełomu, nie zanotowaliśmy żadnych akcentów antyradzieckich. Sami robotnicy pilnowali, żeby nie było wśród nich jakiejś prowokacji, a następnie wątpliwości co do tego, że nasze zmiany nie zagrażają nikomu: ani sąsiadom, ani własnemu ustrojowi także. Aż tu niemal po roku, tuż przed zjazdem partii nagle pojawiają się, kampanijnie i falowo, jak na zamówienie: a to zajścia przeciwko porządkowi publicznemu i organom MO w różnych miastach Polski i wkrótce równie nagle zanikają, a za to później — znowu wybryki antyradzieckie, jakże jednoznaczne, niemal stereotypowe, w swym powtarzaniu się i prawie jednostajnie, miarowo, co drugi dzień, kolejno w coraz to innym województwie, wprowadzie jednorazowo w nim, ale zdawałoby się, że obejmują lub obejmą wkrótce cały kraj, całe społeczeństwo. Zadziwiające, prawda?

Zewnętrzne ataki prasowe na przemiany w Polsce, skwapliwie podchwytywane przez radio „Wolna Europa”, zmarnowały już sporo z wieloletniej pracy mądrych ludzi nad zmianą nastawień psychologicznych w miejsce resentymentów. Bardzo źle rzutuje to obecnie na nastroje społeczne i na sytuację w Polsce; warto poważnie zastanowić się nad tym, aby poczynić odpowiednie kroki i temu zaradzić.

W kwietniu 1970 roku, na sympozjum w Jabłonnie, wiedząc o przygotowywanej akcji tzw. bodźców, a następnie planowanych podwyżek cen żywności, miałem okazję publicznie stwierdzić, jak Cassandra, że późną jesienią tegoż roku musi dojść do krwawych zająć na ulicach polskich miast; nie o wiele tygodni nie trafiłem. Później wraz z przyjaciółmi brałem udział w opracowaniu raportów konwersatorium „Doświadczenie i przyszłość”, które — pierwszy w 1979 roku oraz drugi wiosną 1980 roku — niemal scenariuszowo przedstawiły kryzys nadchodzącego polskiego lata 1980 roku, nawet z negocjacyjnym tokiem jego rozwiązywania. Nie trzeba było do tego wszystkiego być prorokami, a wystarczyło tylko dokonać obiektywnego przeglądu sytuacji i zwykłej naukowej — socjologicznej i ekonomicznej — analizy.

Podobnie dziś, chcę tu wyraźnie powiedzieć, że stoimy aktualnie wobec olbrzymiej groźby ogromnych napięć i konfliktów społecznych w związku ze świadomym niewykonywaniem przez stronę rządową porozumień z sierpnia i września ub. roku, nawet w tych punktach, które nie wiążą się z żadnymi kosztami ekonomicznymi. Chcę wyraźnie powiedzieć, że w następstwie tego stoimy w najbliższej przyszłości wobec realnej groźby rozpadu, a później może nawet samolikwidacji w praktyce naszej partii. Wystarczy porównać ilość należących do partii robotników, będących równocześnie członkami „Solidarności”, w których obronie żywotnych interesów materialnych codziennego życia ten związek wystąpi.

To nie jest kwestia dobrych chęci tych czy innych towarzyszy spośród nas. Społeczeństwo co najwyżej przyjmie biernie wybór tych lub innych, poszczególnych, nieakceptowanych powszechnie towarzyszy do naczelnych władz partii, niezależnie od czyichkolwiek walorów lub braków — jako wymuszony przez naszych sąsiadów i przyjaciół. Tak właśnie są powszechnie interpretowane ostatnie międzynarodowe wymiany listów. Osobiste zaangażowanie się I sekretarza KC, tow. Kania, w taki wybór niektórych towarzyszy, dowodzi tego właśnie w odczuciu opinii publicznej, choćby ani towarzysze radzieccy nie naciskali, ani tow. Kania — nie miał takich intencji.

Warszawska organizacja partyjna wzięła na siebie odium nierozwiązanej dotąd sprawy Grudnia 1970 roku, wybielając wprowadzie swojego I sekretarza, ale nie żądając przy tym pełnego wyjaśnienia, kto jest za Grudzień personalnie odpowiedzialny, chociaż jeszcze przed laty miał się na ten temat ukazać odpowiedni raport. Tak właśnie oceniła tę dyskusję na naszej konferencji szeroka opinia publiczna, ze wszystkimi konsekwencjami tego. Tak dzieje się w polityce, czy tego chcemy, czy nie chcemy.

Ale czy to ma może przyczynić się do zapanowania pokoju społecznego w kraju? Podobnie, jak wciąż niezakończone sprawy radomskie, bydgoskie, otwockie i tyle innych. Czy taki stan

ma przyczynić się do zmiany nastrojów w społeczeństwie, zwłaszcza w stosunku do władzy, i do powszechnego poparcia wysiłkiem społecznym naprawy naszej gospodarki?

Nie można przyjąć, że cały naród nagle zwariował, że jest wciąż ślepy i głuchy i nadal nic nie rozumie. Nie można — w polityce — obrazić się na cały naród: ani na swój, ani na cudzy!

Rozumiem w pełni niepokój towarzyszy radzieckich, ale powtarzam: wiarygodnym sojusznikiem może być w Polsce tylko władza i partia, akceptowana przez swoje własne społeczeństwo. Teraz, kiedy w ciągu najbliższych miesięcy, jeśli nie tygodni, może czekać nas kolejna zapaść — dno kryzysu gospodarczego, pogłębionego o nowy potężny wybuch niezadowolenia społecznego, m.in. na skutek niedopracowanej do końca i nie zaakceptowanej przez wszystkie związki zawodowe zamierzonej szeroko zmiany cen detalicznych na koszt znowu społeczeństwa, bez akceptacji społecznej i bez odpowiedniej rekompensaty, może dojść znowu do tego, jak w marcu bież. roku, że w rozstrzygnięciach generalnych rząd i partia będą miały przeciwko sobie całe społeczeństwo. Wtedy jedynym i ostatnim już rozwiązaniem może być wkrótce już tylko konieczność powołania rządu prawdziwego porozumienia narodowego, dla ratowania kraju wszystkimi możliwymi do zmobilizowania siłami. Nie wolno nikomu tej ostatniej deski ratunku zlekceważyć. Bo później może się okazać, że w tym porozumieniu narodowym już bardzo mało znaczącym czynnikiem i partnerem będzie nasza partia.

Jest źle. I bardzo trudno. Również we wszystkich dziedzinach działalności politycznej i społecznej, i trzeba to sobie wreszcie powszechnie w partii unaocznic. Praktycznie jeszcze tylko armia działa u nas normalnie, jak poprzednio, bo nic innego nie rozwija się już, jak powinno. Nawet Generał, który wziął na swoją głowę i barki cały ten „polski interes” grzeźnie coraz bardziej w naszej nieszczęsnej strukturze administracyjno-gospodarczej, jak w lotnych piaskach.

System jest nie sterowany praktycznie niemal od sześciu lat, a nie od wczoraj. Gospodarka nie rozwija się, stoi, cofa się, a właściwie „leży” według popularnego powiedzenia warszawskiej ulicy. Trzeba prawdziwych zasadniczych reform i wielkiej mądrości władzy, żeby ruszyć z martwego punktu. Ale trzeba też wielkiej mobilizacji narodu do tego dzieła, trzeba umieć ten naród zmobilizować! Kto ma to zrobić? Dotychczas stosowanymi środkami?

Bo co się robi? W całkowitym oderwaniu od społeczeństwa, według najgorszych dotychczasowych wzorów, powierzono naprawę tego zegarka rękóm starców, którzy go uprzednio przez wiele lat psuli i którym naprawę nie zależy, żeby go zreperować,

bo wówczas stracą swoje wygodne stołki i ciepłe fotele. Wobec tego będą go naprawiać pozornie i jak najdłużej, czego dowody mamy przez ostatnie miesiące.

A za to strofuje się coraz częściej intelektualistów i dziennikarzy, którzy to i inne niekonsekwencje wytykają. Nie ma za co ich strofować, bo to jest ich obowiązek zawodowy. Trzeba zatem samemu powiedzieć społeczeństwu publicznie i otwarcie całą prawdę, bez ogródek: jak jest naprawdę w tym kraju i — co najważniejsze — dlaczego? I co możemy, co powinniśmy i musimy zrobić wszyscy razem, wspólnie całym społeczeństwem, zgodnie i nie pozornie, jak dotąd, ale faktycznie, zaspokajając żądania społeczeństwa w takim zakresie, jak to jest obecnie możliwe, zwłaszcza w dziedzinach nieekonomicznych; a co do reszty — podać przypuszczalne terminy, w jakich przystąpi się do realizacji pozostałych punktów Umowy Społecznej. Byle uczciwie i bez prób dotychczasowych wybiegów, jeżeli ta władza chce uzyskać tożsamość i odzyskać zaufanie społeczeństwa.

Słyszę głosy, że na to wszystko już za późno, że czeka nas nieuchronna katastrofa i że najlepszy program nas nie uratuje, bo trzeba okresu całego pokolenia, żeby wrócić do pełnej stabilizacji ekonomicznej. Nie zgadzam się z tym. W naszym narodzie tkwią niezmiernie siły i możliwości, jeżeli uzyska się jego wiarę i zaufanie. Platforma prawdziwej zgody społecznej uratuje kraj i naród, a może i partię. Byle ta zgoda się narodziła. Brak takiej zgody społecznej, w pełnym porozumieniu z większością narodu, sianie z różnych stron niepokoju przyniosłoby na nasz kraj w najbliższych miesiącach po zjeździe partii najcięższe chwile w naszej historii obecnego wieku.

A tymczasem martwić musi wewnątrzpartyjna optyka w rozgrywkach ostatnich miesięcy. Ścisłe personalna optyka wąskich osobistych interesów, tych nie najlepiej rozumianych prób szukania oparcia. Wczoraj tow. Olszowski jeszcze raz potwierdził tu swoją akceptację dla organizacji, która przybrała świętą dla mnie, syna zachodnich kresów, nazwę „Zjednoczenie Grunwald”. Otóż niezależnie od moich osobistych poglądów w tej kwestii — a jestem synem jednego z tych Polaków, którzy wyciągali Żydów z rąk hitlerowskich — otóż niezależnie od moich poglądów muszę tu głośno, dobitnie podkreślić, że polskie środowisko intelektualne nie potraktuje jako partnera politycznego kogoś, kto akceptuje jeszcze dzisiaj ruch faszyzujący o antysemickim obliczu; i to niezależnie od pozycji, jaką on gdziekolwiek zajmuje. I po co to było mojemu dawnemu przyjacielowi, nie wiem. Tak skreśla się właśnie wielu wartościowych ludzi tej partii.

Bo cóż z tego, jeśli ich nawet tu wybierzemy, skoro całą czołwkę życia umysłowego kraju będą mieli — na skutek postawy zajmowanej w różnych dziedzinach — przeciwko sobie. Nie zdzierzą, jak ich poprzednicy. Można, oczywiście, po pewnym czasie i tę elitę życia umysłowego zepchnąć, jak kiedyś, na

margines. Ale na jak długo? Można — również — pod jakimś pozorem — nawet wypędzić ich nową falą z kraju. Ale co do brego może to przynieść Polsce? W jakim stopniu ma to pomóc krajowi w jego obecnej sytuacji?

Na zakończenie jeszcze kilka słów o sobie. Nie odmawiałem i nie odmawiam współpracy nikomu, kto chciałby i próbował zrobić coś pożytecznego dla kraju. Nawet ludziom, którzy mnie permanentnie nie lubili. Zakładałem dobrą wolę nawet u tych, którzy kiedyś spodziewali się, że zmarnieję wraz z rodziną z głodu bez etatu. Od miesiący jestem adresatem nie zawsze humorystycznych wręcz paszkwili, wymysłów i ataków. Nie robi to już na mnie wrażenia, bo nigdy nie traktowałem poważnie tchórz, nawet tych odważnych, od tupania pod stołem. Gdyby to miało pomóc naszej partii lub mojemu środowisku zawodowemu, gotów jestem w każdej chwili dobrowolnie zrezygnować z prezesury w Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich. Chętnie zrezygnuję również z udziału w zjeździe, gdybym miał być wybrany. Ale zależy mi na jednym tylko, żeby to, co dziś tu powiedziałem dotarło nie tylko do serc i umysłów ludzi tu na tej sali, na tej konferencji.

Stefan BRATKOWSKI

LIST DO RADY PAŃSTWA PRL

Warszawa, 31 sierpnia 1981.

Do Rady Państwa
Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej
W a r s z a w a

Sejm PRL uchwalił w lipcu 1981 roku ustawę o ustanowieniu Warszawskiego Krzyża Powstańczego 1944. W uzasadnieniu wniosku o jej uchwalenie stwierdzono, że odznaczenie „będzie widocznym znakiem uznania dla walczących, tych co przeżyli i tych co polegli”.

Niżej podpisani, byli uczestnicy Powstania Warszawskiego, uważają za swój moralny i obywatelski obowiązek zwrócić się do Rady Państwa PRL z następującymi uwagami, z którymi pragną równocześnie zapoznać opinię publiczną:

1. Jest faktem pozytywnym, że uznano w sposób uroczysty znaczenie Powstania Warszawskiego w walce o niepodległość oraz znaczenie bohaterstwa i ofiary uczestników Powstania w historii narodu. Pominięto jednak podstawowy fakt historyczny, że Powstanie przygotowane było, nakazane, dowodzone i przeprowadzone przez dowództwo Armii Krajowej, która stanowiła integralną część Wojska Polskiego (Polskich Sił Zbrojnych), walczącego nieprzerwanie od 1 września 1939 roku o niepodległość i suwerenność państwa polskiego. Jest faktem bezspornym, że Powstaniu udzielili czynnego poparcia żołnierze innych organizacji wojskowych i politycznych wtedy działających w Warszawie, że w nim wspólnie bohatersko walczyli i ginęli. Jest również faktem bezspornym, że Powstaniu udzieliła powszechnego poparcia ludność Warszawy, że w nim uczestniczyła i ponosiła wielkie ofiary. To wszystko jednak nie może zwalniać przy ustanowieniu Warszawskiego Krzyża Powstańczego 1944 od stwierdzenia — w uzasadnieniu ustawy — że Powstanie Warszawskie było dziełem Armii Krajowej.

2. W ciągu ponad trzydziestu lat wielokrotnie oczerniano i zozydzano Armię Krajową, jej żołnierzy i dowódców w centralnie kierowanych i kontrolowanych środkach przekazu PRL, w licznych oświadczeniach oficjalnych, w podręcznikach szkolnych, a nawet z okazji akademii rocznicowych. Niektórych twierdzeń propagandowych, a w tym szkodliwego politycznie i historycznie (również z punktu widzenia historiografii innych państw) twierdzenia, jakoby Armia Krajowa „stała z bronią u nogi”, nigdy nie odwołano i nie skorygowano. Nie anulowano również — z podaniem motywacji — wielu wyroków sądów PRL i ich uzasadnień, że Armia Krajowa współpracowała z Gestapo, była na usługach Gestapo i walczyła przeciwko większej części narodu polskiego.

Tendencja do dzielenia byłych żołnierzy Armii Krajowej na dobrych i złych z punktu widzenia doraźnych ocen politycznych była powszechna i występuje niejednokrotnie do dziś. Znajduje to wyraz między innymi w różnym traktowaniu ludzi należących i nie należących do monopolistycznej organizacji kombatanckiej, jaką jest ZBoWiD.

Jak powszechnie wiadomo, w pierwszym dziesięcioleciu powojennym, eufemicznie określanym jako „okres błędów i wypaczeń”, więziono niesłusznie żołnierzy AK, uczestników Powstania Warszawskiego i skazywano ich pod hańbiącymi zarzutami. Wielu aresztowanych przypłaciło to życiem, a bardzo wielu — latami pozbawienia wolności, poniżania i utratą zdrowia. Dotychczas nie zostali zrehabilitowani przywódcy Polski Podziemnej jak Delegat Rządu RP Jan Stanisław Jankowski, Przewodniczący Rady Jedności Narodowej Kazimierz Pużak, Komendant Główny Armii Krajowej gen. bryg. Leopold Okulicki i inni.

Do wyjątków jednak należało podawanie do wiadomości publicznej tych faktów, publiczna i pełna rehabilitacja niesłusznie skazanych. Są przypadki utajenia do dnia dzisiejszego miejsca pochowania żołnierzy i dowódców AK niewinnie straconych w tym okresie. Powszechne też były różne formy dyskryminacji żołnierzy AK uniemożliwiające kształcenie się i normalną pracę zawodową.

3. Siedemdziesięciu sześciu generałów i wyższych oficerów Wojska Polskiego, bohaterów walk o niepodległość, w tym dowódców Powstania Warszawskiego, a wśród nich dowódcę Korpusu Warszawskiego AK gen. bryg. Antoniego Chruściela „Montera”, pozbawionych zostało obywatelstwa polskiego uchwałą Rady Ministrów z 26 września 1946 roku.

4. Do dziś przemilcza się w Polsce, nawet w nekrologach — w wyniku zaleconej ingerencji cenzury — fakt posiadania Krzyża Armii Krajowej, nadawanego przez Kapitułę złożoną z byłych żołnierzy AK w Londynie. Bardzo wielu uczestników Powstania Warszawskiego żyjących w Polsce szczerzy się posiadaniem tego pamiątkowego odznaczenia. Jednym z takich był zmarły niedawno ksiądz Stefan Kardynał Wyszyński, Prymas Polski, kapelan AK.

5. Jedynym wnioskodawcą nadawania Krzyża (dla osób nie pełniących służby wojskowej) ustawa wyznacza ZBoWiD. Organizacja ta nie zrzesza wszystkich uczestników Powstania Warszawskiego, a jej dotychczasowa praktyka wskazuje, że dyskryminuje świadomie między innymi wielu żołnierzy AK, uczestników Powstania. Dotyczy to choćby nieprzestrzegania obowiązujących zasad zatarcia kary i ujawniania karalności oraz odmawiania weryfikacji odznaczeń i uprawnień kombatanekich. ZBoWiD może być odpowiednim wnioskodawcą wobec swoich członków. Tymczasem ustawa o ustanowieniu Warszawskiego Krzyża Powstańczego 1944 przewiduje dość szeroki zakres uprawnień do jego otrzymania.

Zdaniem podpisanych tylko Kapituła Krzyża z decydującym udziałem niezależnych czynników społecznych mogłaby zapewnić w oczach ogółu pożądaną wiarygodność tej akcji odznaczeniowej.

Ustawa o ustanowieniu Warszawskiego Krzyża Powstańczego 1944 powinna być związana z zasadniczych względów moralnych i wychowawczych z odważnym mówieniem prawdy, nawet gdyby nie było to łatwe, oraz z otwartością zarówno motywacji teoretycznych, jak i praktyki.

Uznajemy w pełni, że każdy żołnierz AK kieruje się własną decyzją dotyczącą między innymi przyjmowania odznaczeń. Stojąc jednak na stanowisku równości wobec historii wszystkich uczestników Powstania Warszawskiego, bez względu na ich ówczesne czy obecne poglądy, czy przynależność organizacyjną — niżej podpisani czują się w obowiązku stwierdzić, że nie widzą dla siebie moralnej możliwości pretendowania do Warszawskiego Krzyża Powstańczego 1944 dopóki wyżej przedstawione problemy i wątpliwości nie zostaną pozytywnie rozstrzygnięte wraz z podaniem tego do wiadomości publicznej.

Władysław Bartoszewski „Teofil”, Jadwiga Beaupré „Malina”, Adam Borys „Ptug”, Stanisław Broniewski „Orsza”, Hanna Budzyńska „Zula”, Wiesław Chrzanowski „Poraj”, Stanisław Dziewulski „Poroniec”, Zbigniew Gąsior „Garbaty”, Aleksander Gięsztor „Borodziej”, Stanisław Jankowski „Agaton”, O. Krzysztof A. Kasznica OP „Ostoja”, Jerzy Kłoczowski „Piotrus”, Leopold Kummant „Ryski”, Wincenty Kwieciński „Lotny”, Kazimierz Leski „Brad”, Jan Józef Lipski „Grabie”, Stefan Mirowski „Bolek”, Kazimierz Ostrowski „Olesza”, Zbigniew Pawelski „Jastrząb”, Kazimierz Piechotka „Jacek”, Witold Rudowski „Prus”, Józef Rybicki „Andrzej”, Władysław Siła-Nowicki „Bogdaniec”, Zbigniew Skoworodko „Jarko”, Stefan Smarzyński „Balon”, Jan Strzelecki „Władek”, Wojciech Świątkowski „Korczak”, Andrzej Tymowski „Nowakowski”, Anna Zawadzka, Aleksander Zawadzki „Andrzejewski”, Ks. Jan Zieja „Rybak”.

NA NIEZALEŻNE WYDAWNICTWA W POLSCE

M. A., Perth (Australia) — \$ A. 88,00 (gotówka) F. 432,00
 Dr Danuta M. Podkomska, Winnipeg, Man. (Kanada) —
 \$ 100,00 (gotówka) F. 540,00

Andrzej J. Chilecki, Kolonia (RFN) — na NOW-ą —
 DM 200,00 F. 480,00

Czesław Bałdowski, Waterbury, Conn. (USA) na ROPCiO
 — \$ 10,00 F. 54,00

Tadeusz Brzostek, Paryż i St. Stankiewicz, Nancy — na obronę
 przywódców KPN F. 200,00
 Grzegorz Jezierski, Camden, N.J. (USA) — na K.P.N. — \$ 20,00 F. 108,00

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
 Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
 Commission Paritaire N° 60789.
 Dépôt légal: 4^e trim. 1981.

Imprimé en France

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002		F. 115,00	F. 210,00
ARGENTYNA: « Liberia Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00
AUSTRALIA: Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, Tel. 212-2013	\$A. 4,50	\$A. 26,00	\$A 48,00
AUSTRIA: Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönla-ternegasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00
BELGIA: Janina Korab Brzozowska-Csalky, 19, Amédée Lynen, app. 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 218-69-23	F.B. 190,00	F.B. 1100,00	F.B. 2000,00
BRAZYLIA: prosimy o przesyłanie czeków do administracji « Kultury »	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
DANIA: O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji « Kultury » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00
HOLANDIA: Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, Tel. (01 184) 14073, Postgiro 1379176	Fl h 10,50	Fl h 60,00	Fl h 110,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5. Tel. (514) 465-2362; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man R2V 2P2, Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin-Lopuszczański, 90 Hilliard Avenue, Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen St. W. Toronto 145 Ont. Polish Alliance Presse, Ltd. (« Zwiakowiec », 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	\$ Can. 6,00 DM 10,00	\$ Can. 35,00 DM 60,00	\$ Can. 60,00 DM 100,00 F. 210,00
NIEMCY: St Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1.	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00
NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F.S. 10,00	F.S. 60,00	F.S. 100,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärgatan 3/IV, 115 33 Stockholm, Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonto Nr 48 82 34-6	K.S. 20,00	K.S. 115,00	K.S. 210,00
U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 121 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009, Tel. 475-8886. Ada Dztewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211. T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34-th St., San Diego, Cal. 92104, Tel. 284-6271; Krystyna Leser, 1725 - 17-th St., N.W., Washington D.C. 20009; M. Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich. 48234; F. Orzechowski, Book, 2036 Chestnut St., Philadelphia, Pa. 19103. POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Ave., Chicago, Il. 60618, Tel. (312) 489-2554; E. I. Suszynski, 4923 Merrill St., Torrance, Cal. 90503. Tel. (213) 540-2398; Jan Wojcik, 674, Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene St., Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233 El Camino Real, Palo Alto, Cal., 94306, Tel. (415) 327-5590 & 851-0748.	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W.5. ORD. Tel. (01) 370 2210	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00
WŁOCHY: Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.210; półroczna — F.115.
 Przesyłka pojedynczego numeru — F.2,20.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
 INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
 par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
 lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 337 — STANISŁAW BARAŃCZAK

TRYPTYK Z BETONU, ZMĘCZENIA I ŚNIEGU

Nowy tom wierszy

Str. 68.

Cena F. 25,00.



TOM 340 — MACIEJ BROŃSKI

TEKSTY I PRETEKSTY

Zbiór esejów
z dziedziny literatury i kultury.

Str. 272.

Cena F. 75,00.



TOM 341 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT PIĘCDZIESIĄTY SIÓDMY

Zawiera m.in. opracowania: Marcelego Handelsmana — *Absolutyzm oświecony*; Recenzja z Moskwy o polskich podręcznikach historii; Jana Ciechanowskiego: *Armia Polska w Rosji w świetle dziennika szefa sztabu z 1942 r.*; obszernie działy: WSPOMNIENIA, CI, CO ODESZLI, RECENZJE I LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 45,00.



TOM 342 — JÓZEF CZAPSKI

TUMULT I WIDMA

Szkice, wspomnienia, opowiadania
Część I — Z PIERWSZYCH LAT PARYŻA.

Część II — TUMULT I WIDMA.

Część III — LUDZIE I KSIĄŻKI.

Str. 352.

Cena F. 85,00.